





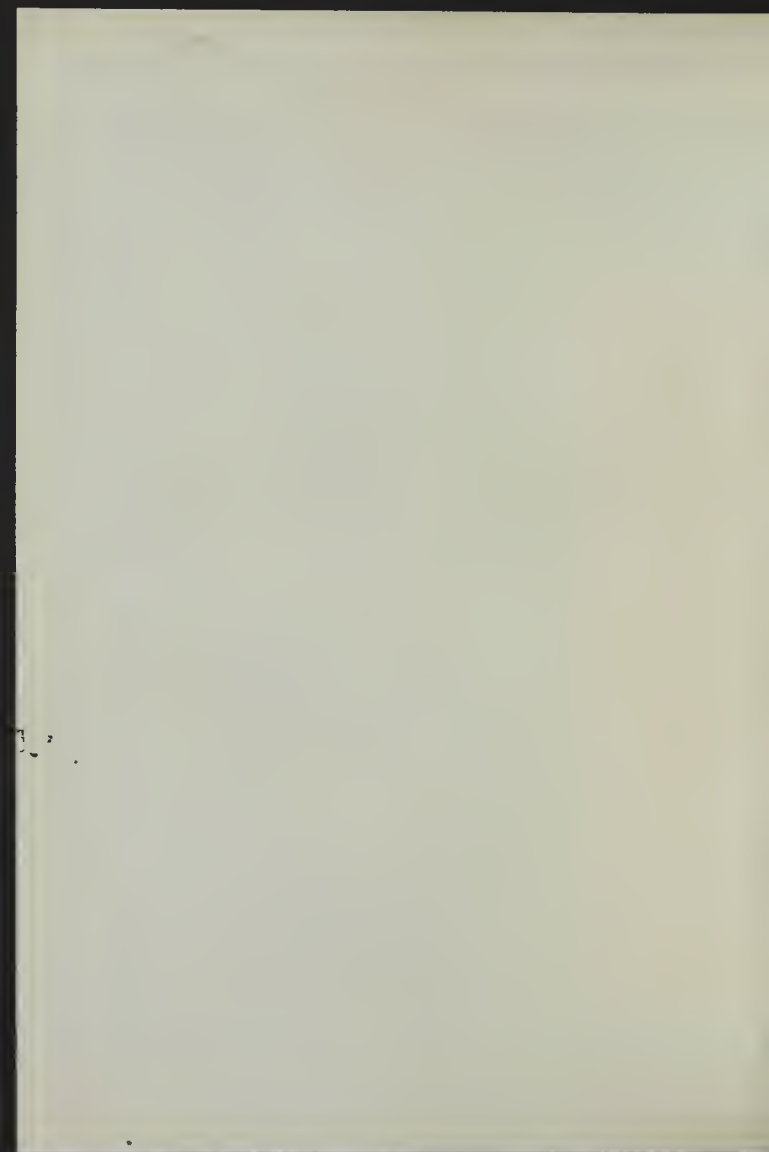


ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom czternasty.



DZIWAŁA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez autora.

TOM II.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 43.

1872.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

IX.

Każdy pewnie z czytelników moich zna przynajmniej kilka naszego kraju powiatowych miasteczek. Ten w życiu prowincji tak niezbęduy pierwiastek, z małemi odmianami powierzchowności, wszędzie przedstawia się mniej więcej jednakowo. Brukowane, dyłowane lub nawnie piaszczyste albo błotniste, drewniane, kilką domami murowanemi strojne, z parafjalnym kościołem, czasem jednym lub dwoma klasztorami, soborną cerkwią świeżą i piękną, ostrogiem, kasnaczejstwem, hauptwachem, w którym najczęściej bawią się dzieci żydowskie, z rogatką, przy której dwóch żydów z żelaznemi pretami pilnuje w słomianej lub drewnianej budce, żeby się wódka do miasta nie przekradła, zwykle położone nad rzeczką i stawem, obfitujące w żydowstwo; każde powiatowe miasteczko ma przytem traktjer i bilard, cukiernię, pocztę i metra muzyki. W każdym też znajduje się sąd powiatowy, sąd ziemski. Marszałek szlachty, naczelnik, który najczęściej bywa tylko współobywatelem, traktjernikiem i nic więcej, kasnacej, kilku duchownych, kilku nauczycieli szkoły powiatowej, a w ostatku inwa-

lidna komenda, pod zwierzchnem dowództwem pana horodniczego, kilku czerwono nosych kwartalnych: stanowią pierwiastki tutejszej społeczności.

Do ważniejszych jeszcze postaci, o których wspomnieć zapomnieliśmy, należą: sekretarz pana marszałka, daleko więcej od marszałka znaczący w kancelarji, choć marszałek wyżej głowę podnosi na ulicy, lekarz powiatowy, kilku wolnopraktykujących lekarzy i t. d. i t. d., bo spis byłby już za długi.

Tłem ludności tutejszej są żydzi i mieszczenie, w długich szaraczkowych i granatowych kapotach, wysokich barankowych czapkach i czarnych za kolana butach z podkówkami, na niedzielę; w kozuchach i świtach a boso, na dni powszednie. Jeden, dwa, dziesięć domów zajezdnych, z których jakiś główny służy za gospodę uprzywilejowaną dostojniejszym; cukiernia, lichy traktjer (w którym obywatele jadają tylko kiedy marszałka nie ma w domu), sklepiki mniej więcej obfite w towar swojski i zagraniczny: oto resursa miasteczka.

Na Boga! zapomnieliśmy, że w wielu jeszcze bywa i... księgarnia. Jest to sklepik sytuowany między dwoma innemi, w których sprzedają z jednej strony podeszwy, z drugiej perkaliki. Naczelnik tego handlu, który w języku pospolitym zowie się nie księgarnią ale „bibljoteką”, sprzedaje oprócz książek wyrobu warszawskiego, i inne wyroby warszawskie z nowego srebra, ze skóry i ze słomy, trudni się też czasem handlem zbożowym; słowem, łąta się jak może: bo książki i tym co je piszą i tym co je sprzedają, na chleb powszedni wystarczyć nie mogą.

W tej bibljotece miejskiej pierwsze miejsca zajmują tłumaczenia powieści pana Sue, tłumaczenia Dumas'a,

tlumaczenia Thiers'a (tych nie kupują mieszkańcy miasteczka: do tak surowych nie przywykli pokarmów) i tlumaczenia de Kock'a; w ostatku dwu- i trzy-tomikowe romanse i powieści pana Laskowskiego, Boguckiego i t. p. Czytelnia zawiera oprócz tego dwadzieścia tomików brukselskiego wydania francuskich nowości (wyszłych temu lat dziesięć), które dodzierające się powoli, zastępują równie nowemi. Tu *Tajemnice Paryża* dotąd są jeszcze w obiegu. Żydek, mniej więcej roztropny i zręczny, nie czekając przybywających do sklepu, codziennie obchodzi wszystkie domy zajezdne i czestuje książkami swemi u wszystkich drzwi, pod wszystkimi oknami.

Lecz dajmy pokój biednej księgarni, a wróćmy się do miasteczek naszych, które, pomimo tych ogólnych rysów fizjognomji, nie wyglądają tak jednostajnie, jakbyśmy myśleli. Tu, jak w ludzkich twarzach, długich lub krótkich, szerokich i wąskich, pękatych i brodawkowatych, usta i oczy zmieniają wyraz i odróżniają od siebie z jednakich pierwiastków złożone oblicza. Nie ma też dwóch miasteczek całkiem do siebie podobnych, a każde ma jakąś właściwość, choćby to jak w K... miało polegać na pięknym ogródku nad drogą, lub na ruinach zamku, lub na wspaniałym domu zajezdnym, lub na karecie sześćcio-konnej marszałkowskiej. W powiatowem miasteczku, o którym mowa, położonem najbliżej Turzej-Góry i Rumianej (na żadnej mapie dotąd znaleźć go nie mogłem), było przecie wszystko to, cośmy wyżej jako części składowe wyliczyli, ale i wiele więcej. Najprzód, miasteczko siedziało na starej sadybie odwiecznego gródka, było całe brukowane, leżało nad rzeką prawie spławną i stawami, któreby były piękne, gdyby ich żydowskie domki i żydowskie brudy nie otaczały;

miało ku rozmyślaniu i pociesze starożytników: waly zamczyska odwiecznego, murowaną poważną synagogę z XVI. wieku, i stary ratusz z nadłamaną wieżą; oprócz tego cerkiew nową i świeżutką, jak z pudełka wyjętą, kilka starych kościołów posępnych i szarych, ulic dwie wcale porządných, na których nawet rozminąć się było można, rynek obszerny, domów drewnianych ze sztachetami białymi i zielonemi dość dużo, a murowanych kilkanaście. W pośrodku, dziesięć zajezdnych domów szeregowe i czarne swe otwierały paszcze; rząd kramów murowanych poglądał oczek tysiącem na przechodniów, i pusty hauptwacht, ozdobiony smugłemi topolami, spoczywał, służąc tymczasowo dzieciom za plac igraszki, a żonie bliskiego budnika za miejsce wygodne do rozwieszania wypranej bielizny. Naprzeciw niego i takzwanego dotąd ratusza, w którym sowy i wróble tylko zasiadały, stała najporządniejsza w mieście całem i za najpierwszą nznana gospoda, naturalnie utrzymywana przez żyda, obszerna, wygodna, nawet wykwintna, bo okienice miała malowane zielono, żółto i niebiesko, baryery zielono i żółto, a dach czerwono. Położenie czyniło ją nieskończenie powabną, gdyż sklepy i traktjer były niedaleko, cukiernia bardzo blisko, poczta tylko o kilkanaście kroków, sąd powiatowy pod bokiem, sąd ziemski naprzeciw w kamienicy. Przyjezdni więc mieli urozmaicony widok niezmiernie przyjemny: wchodzących i wychodzących z traktjern, zajeżdżających przed pocztę bryczek, idących na sądy kancelistów, prowadzonych z turmy do sądu zbiegów, i pijanych zataczających się przed najslawniejszym szynkiem w miasteczku.

Gospodarz, dostojny Abraham, z długą swą brodą, w czarnym surducie po pięty, używał dokola na mil

cztery, a nawet pięć i sześć, nieskażonej sławy najuczciwszego z gospodarzy; trafiało się bowiem, że stare koperty zapomniane w swym domu, dzinrawe miednice i połamane prawidła od butów oddawał właścicielom; a nie brał tylko dwa razy tyle co inni. Malowane okienice upoważniały go do tego dostatecznie. Pięćdziesiąt rubli srebrem można mu było powierzyć do zmiany bez obawy ich utraty; a za dogodzenie, nie brał tylko po groszu od rubla. Dom Abrahama nie darmo zwał się austerją, gdy wszystkie inne w mieście tytułowano tylko karczmami poprostu, lub domami zajezdnymi. Dwie latarnie na słupach, zupełnie takie jak przy domu pocztowym stały, nadając mu fizjognomję uroczystą; świece się w nich nigdy nie palily, równie jak na pocztocie: ale w takich latarniach nigdy się świece nie palą. Abraham nie poczuwał się do obowiązku dawania przykładu: czekał i gotów był iść z nim. Abraham nie bez pewnej dumy zwykł był powtarzać każdemu nowemu gościowi, że u niego stali trzej generałowie dywizji, jeden książe niemiecki (dodawał *zagraniczny*), dwóch zaś powiatowych hrabiów nigdzieby indziej jak do niego zajechać nie mogli: furmani ich nie znieśliiby takiego poniżenia, cóż dopiero lokaje?

Nigdy bryczka ochlapana błotem, ostawiona słomą i lichymi szkapami ciągniona, z furmanem w siermiedzo z kapturem na koziolku, nie śmiała przejechać wysokiego proggu gospody. Same karety tylko, koczki, koczo-karety i kryte (na resorach) nejtyczanki poważnie się tu wsnwały. Lada hetka-petelka nie śmiałaby się pokusić o nocleg w austerji, a myszures miejscowy (który miał czapkę aksamitną) nie puściłby go na łono Abrahamowe, przeznaczone dla wybranych. Myszures ten

(między nawiasami) płacił gospodarzowi za prawo posługiwania w jego domu, kilkadziesiąt rubli, co daje miarę ważności stanowiska.

Z jednej strony sieni ciągnęły się izby gościnne, z drugiej w mniejszej liczbie także pośledniejsze pokoje, a za nimi bilard i rodzaj cukierni, którą miejscowi znawcy przenosili nad patentowaną cukiernię Szwajcara Caricato, mieszczącą się niedaleko na rogu, ozdobną wprawdzie szyldem ogromnym, malowanym w puszkach lodów, torty, obwarzanki i czekoladnice; zawieszoną wewnątrz historją Wilhelma Tella i Atalji, ale niższą pod względem rumu i kombinacji z niego wypływających.

Abraham mieścił się z rodziną swą tuż przy bilardzie i cukierni. Żyd to był niepospolicie dumny, dość nawet czasem dla przybywających nejtyczan ką niegrzeczny, z panami trochę hardy, w obliczu pospolitej szlachty nadymający się nieźnośnie; ale właściciel takiego domu, jak nie mógł wbić się w pychę?

Bogaty, wzięty, faktor większej części obywateli, często pożyczający im pieniędzy lub ułatwiający pożyczkę, był najlepiej świadomym historii całego powiatu i znał interesa wszystkich swych klientów z dokładnością księgi hipotecznej. To nawet, co w żadną księgę wchodzić nie zwykło, a wielce na stan interesów wpływa: charaktery, obyczaje, skłonności, tajemne sprawy i nalogi, czytał jak z książki. Pamiętniki Abrahama byłyby bez wątpienia najlepszą kroniką powiatu, ale niestety! on ich pisać nie myślał, i księga rachunków była jedynem jego dziełem w tym rodzaju.

Trafiamy do miasteczka w chmurny wieczór późnej jesieni: niebo osłania się zewsząd sinemi zimnych tonów

obłokami, wiatr przechadza się po opustoszałym rynku, w kościołach odzywają się dzwonki wieczorne, a jedna za drugą toczące się po bruku bryczki, koczyki, nejtyczanki, wózki, oznajmują ruchem niezwyčajnym jakąś ważną w życiu miasteczka epokę.

Cukiernia wspaniałe oświetlona czterema świecami łojowemi; traktjer wywiesił czerwoną latarnię, której jeden bok zalepiono sinym od cukru papierem; u drzwi zajezdnych domów krzyczą pilni myszuresowie, zapraszając podróżnych; słysząc klótnie i przekleństwa na rynku między żydkami z zajezdnych domów, furmani pałą z batów zamasyście, dom Abrahama jaśnieje wszystkimi oknami swemi; nawet wielka brama, jeszcze stojąca otworem, a pełna światła, zajęcie stajni zwiastuje. W innych karczmach miasteczka ten sam ruch przybywających, przybyłych, mieszczących się, poznających, witających, krzyczących żydków, tłoczących furmanów, dzwoniących koni, zatraskiwanych drzwi. Wśród tego gwaru, fałszywy głosik szejne-katarynki wygrywa co pięć minut pierwszą część walea, przypisywanego z kolei to Beethovenowi, to Schubertowi, którego z pewnością ani jeden ani drugi nie składał. Na twardym, oschłym bruku miasteczka kłapią pantofle i stukają buty uwijających się żydów i brzęczą rygle kramików, otwieranych z niezwykłym pospiechem, pomimo spóźnionej pory.

Nigdzie lepiej nie potrafimy się dowiedzieć o tem, co się dzieje w miasteczku, jak u Abrahama. Tu, w izbie bilardowej, zamiast zwykłego towarzystwa, złożonego z kancelistów sądu ziemskiego i powiatowego, opowiadających sobieienne figle wyrządzone szlachcie przy-

byłej za interesami, zasiedli dostojni goście, tylko co ze wsi tłumem przybyli.

Na czele ich, jeżeli nie głową i urzędem, to ogromnym żołądkiem, jaśnieje niegdyś dziedzic trzech wiosek, dziś posiadacz małej tylko części odłужonej, pan Jeremiasz Petryllo, z sumiastym wąsem, błyszczącą łysiną, pałący tytuł z długiego cybucha, i popijający szklankę herbaty, rumem zalanej. Niekiedy pokręci wąsa lub klapnie się po brzuchu, i mruknie coś niezrozumiałego. Dobre człowieczysko, ale jak wszystkim dobrym sobie ludziom, i jemu w końcu zaczyna być niebardzo dobrze na świecie i z nim nie ciekawie.

Trzy wioski poszły z dymem fajki za hulanką, a gdy z nich została tylko częśćka maleńka, Petryllo jeszcze całkiem nie stracił humoru, i jakto u nas mówią, rozum i fantazji. Straciło się: coż robić? Ludzie go kochają, troska czasem mu poorze czoło na chwilę, bo dwoje dzieci zostawi tak jak bez chleba: ale małożto ludzi bez chleba na świecie? Trzeba się pocieszać jak można: w szklance topi się pamięć wszystkiego, na dnie jej złocistem toną smutki. Za młodu służył Petryllo wojskowo; nigdzie jak w wojsku złego i dobrego nanczyć się nie można: wychodzą ztąd i najzawołąnsi gospodarze i najteżsi próżniacy. Trafiło się, że Petryllo wyszedł ztąd z namiętnościami podbudzonymi, a po śmierci ojca, gdy mu się fortunka dostała, puścił ją wesolo i prędko.

Żona, potulna kobiecina, nie śmiała się nigdy sprzeciwić poczciwemu mężowi, który dla niej miał tylko jedną wadę: że był straszny bałamut, kobieciarz, i do mu nie lubił, chyba gdy w uim gości przyjmował. Ona wszystko mu przebaczała, bo go kochała. Nie sama

też rozpusta i nierząd zjadły majątność: wzięła jej częśćkę nierozważna jałmużna i prawdziwie dobre uczynki. Bóg tylko mógł policzyć czego w życiu Petrylly więcej było: złego czy dobrego?

Za nim suchy, prosty, chudy, czarny, z wąsikiem tylko na twarzy ogorzalej, siedzi pan Tyburcy Kaletyński, szlachcie co z pięćdziesięciu tysięcy dorobił się fortunki dziś liczącej na krocie. Ożeniwszy się z majątną panienką, której lata i fizjognomja spokojnyu go czyniły o przyszłość w zawodzie małżeńskim, pracował, pracuje, i grosz do grosza składając, skromnie żyjąc, nikomu nic nie czyniąc, wychodzi powoli na podpanka. Prawda, że pożał się Boże być jego poddanym, lepiej koniem lub psem, bo te karmi i szanuje, a ludzi nie szczędzi; ale za to co gotówki, ile stert, jakie zapasy. Wszyscy mówią: nie ma lepszego gospodarza nad Kaletyńskiego, to wzór dla wszystkich! Prawda, że sumienia niewiele, ale pieniędzy ma dosyć: a pieniądze u nas, to grunt. Kaletyński niewiele mówi, uśmiecha się szydersko, ponieważ wie, że mu potakiwać będą, a w każdej okoliczności o grosz każdy targuje się zajadle i bez wstydu. Co się tyczy ubogich, tych ma wszystkich w ogólności za skrytych bogaczów, którzy żebrzą tylko przez chciwość, lenistwo i chytrość, dając ukradkiem kapitały na procenta. Ile razy pod jego okno przyjdzie ubogi, opowiada zawsze powiastkę o żebraku, który nosił w kiju tysiąc czerwonych złotych. Z tego powodu żadnemu nic nie daje. Szczęściem jeszcze nie nauczył się aksjomatu, że nie godzi się, dając jałmużnę, sprzeciwiać woli Bożej, boby go pewnie używał.

Trzeci z rzędu, pan Ogolewicz, znający tylko z namiętności do kart, którym życie poświęcił, wesoly a

glupi, pewien siebie nie wiedzieć na mocy czego, zbudowany na herkulesa, krzyczący głośno, gotów do bójki, do konia, do kieliszka: typem jest nadto znajomym, żeby go warto opisywać. Każdy powiat ma swego Ogolewicza: *mutatis mutandis*.

Dalej, w szarej kapocie, z podstrzyżoną krótko siwą głową, bladą twarzą, podłyły już starszek, sączący po kropelce w milczeniu herbatę przed nim postawioną, chrzając niekiedy, lub jeżeli się uda głos zabierając z powagą, deklamuje nieskończenie długo, ze szczególnym doborem wyrazów, a niewielką logiką. Jestto dosyć majątny obywatel, który całe życie starał się i stara ożenić, na poszukiwaniu tem mozolnem tracąc lata, a tysiącem zawodów stetryczały, skwaśniały, zdziczony; jeżeli mu się nadzieja uśmiechnie, wesół do dzieciństwa i wysmienity gaduła. Zowią go w powiecie kawalerem *per excellentiam*: jestto pan M. Rzeżycki.

Przy nim młody jego krewny, z Berlina niedawno wracający, Paweł-Chryzostom Rzeżycki, dopala cygaro z gracją zupełnie endzoziemską, zdumionym parafianom okazując niesłychanej długości kamizelkę, a nadzwyczaj krótki surdneik. Cały czas przeznaczony na naukę za granicą przebulal; mimo to coś mu się z lekcji, rozmów i dorywczo czytanych książek w głowie płacze: płecie więc androny, zwłaszcza gdy trafi na nieuków, między którymi za bardzo mądrego uchodzi. W innem towarzystwie, posępny i milczący, dowodzi, że nie tak jest głupi, jak się zdaje. Próżnowanie jest w nim pierwszą namiętnością.

Obok z pokorą przysiadł się pocziwy i nieoszaczany Cyncyrankiewicz, człowiek nieświadomego pochodzenia, całego powiatu najniższy sluga, pieczeniarz i

przyjaciół domu wszystkich, u których dobrze i obficie najęść się można. Cyucyrankiewicz siada chętnie do małego preferansa, do wista po trzy grosze i do djabelka po dwa złote (gdy trochę podpije), nadewszystko zaś do stołu w sali jadalnej z największą ochotą. W oczy chwali wszystkich nadzwyczaj, w cudzym domu ogaduje zrecznie i życzliwie, to jest z ubolewaniem, z kiwaniem głową i westchnieniami. Zapotrzebowany, potakuje wszystkim i bez wyjątku, a wiele mając talentów, gotów grać na fortepianie mazura całą noc, stroić iustrument (fortepiano), ujeżdżać konie, pilnować strzyży owiec, rysować deseniki panienkom, przepisywać przepisy kucharskie, nawet umizgać się zajadle do starych panien.

Nie probowano dotąd, czy umie także czyścić buty, ale wnosząc z jego własnego obuwia, zdaje się, że i ten talent nie jest mu obcym, i że głęboką posiada wiadomość natury i użycia szuwaksu. Wedle wszelkiego podobieństwa, życzyłby sobie ożenić się z kimkolwiek, byle bogato; ale oczekuje na jaki przypadek, w którymby osobą swoją mógł zasłonić kogo i poświęcić się.

Ma odłużoną częśćkę w jednej wsi, którą dostał z eksdywizji: ta od lat dziesięciu zostaje w administracji; posiada także trzy konie, z których jeden ślepy oczywiście, drugi tajemnie, ostatni pada na nogę, ale niewyraźnie; furmana, który mu służy razem za lokaja, fajkę piankową obszytą w rekawiczkę cerowaną, strzelbę dwururną i szkatułkę pelną tajemnic.

Nigdy nie je i nie pije za swój grosz, ale też jedząc i pijąc za cudzy, pelen jest przyjemności, i wezwany na świadectwo, nigdy się z niem nie droży. Cyncyrankiewiczza wszyscy popychają, on wszystkim się kłania, wszystkich ściska, i wypchnięty drzwiami, powraca nie-

spodzianie oknem, bez gniewu, bez żółci: takato pocziwa natura.

Na wysunionem pod piec krzeselku rozsiadł się, nogę pod siebie podłożywszy (zwyczaj to wschodni: ktoś nie wie, że pochodzimy ze Wschodu? może służyć za dowód genealogji), rozsiadł się pan marszałek, głowa powiatu. Od niego nieopodal stoi nieodłączny sekretarz Szerepetka, otyły, czarno zarastający, ogromnego wzrostu mężczyzna, z wielkim pierścieniem na palcu w wice-mundurze zielonym ze sprzączką za piętnastoletnią służbę. Marszałek, otyły także, w surdencie czarnym przyzwocie wytartym, mówi bardzo głośno czegoś i pocichu mówić nie warto.

Dobro to także człeczysko, a jeszczeby był lepszy, gdyby pieniędzy nie lubił nadewszystko. Gotów on nawet dobrze zrobić, byleby mu się to choć trochę wypłaciło: bo krom własnego interesu, nie może nic pojąć i zrozumieć. Obejść się bez sekretarza nie potrafi na chwilę, gdyż rozum jego jest tego rodzaju, że mu tylko służy do spraw kieszeniowych; więcej do niczego się nie zdał. Głowa jego, która dla formy tylko nosi na karku, pełna płaskich konceptów, łarcików, tłustek i gadek, dwóch myśli poważniejszych sprządz nigdy nie potrafiła. Ztąd niezbędna potrzeba sekretarza wszędzie i zawsze, oprócz do kontraktów z żydami, bo tu marszałek da sobie sam radę. Jeżeli zaś wypadnie interes jaki z urzędu lub opieki, marszałek nigdy się nawet o rozwiązanie jego nie kusi i zwleka dopóty z odpowiedzią, dopóki nie nadejdzie pan sekretarz: przy nim dopiero nowa się rozpoczyna rozmowa, a jeden z umówionych trzech znaków zręcznie dany, kieruje przyrzeczeniem pomyślnego skutku, odmową zupełną lub

odroczeniem interesu na czas dalszy. Jeżeli sekretarz głową potrząsie, napróżnoby obywatel dowodził, że jego majątek nieprawnie i niesprawiedliwie zostaje w administracji; jeżeli schyli ją na piersi, marszałek cieszy się, że sprawę tę może natychmiast pomyślnie rozwiązać; jeżeli ręce złoży na żołądku, odkłada ją do namyslenia. Przytem zwykle wypada konieczna potrzeba, aby interesant rozmówił się na osobności z panem sekretarzem. Nie wiem z jakiego powodu sekretarz tak zwykł już był do składania rąk na żołądku, że je prawie ciągle na nim trzymał. Przypisywano to w miasteczku obawie cholery, i potrzebie ogrzania tak ważnego organu życia.

Oprócz wymienionych znajdujemy tu jeszcze Kapitaną z Kurzylówki, którego już znamy dawniej nieco, zawsze ubranego niepozornie, brzydkim tytuniem swym zapowietrzającego pokój, a ukłonami i uściskami obdzielającego wszystkich dokoła nadzwyczaj hojnie; pana Samurskiego, głośno rozprawiającego, z miną raczej żołnierza niż dyplomaty, i młodego Paliwodę, który stara się zasiąść dostojne krzesło marszałkowskie, lechząc jeżeli nie czem innem, to otwartym stołem i nadzieją trzechletnich traktamentów panów wyborców.

Trzebaż nam wspomnieć i o Paliwodzie: typ to bowiem pospolity i charakterystyczny u nas, jakże go nie przedstawić czytelnikom ze szczególną troskliwością? Wysoki, jasno-blondyn, zdrów, krzepki i silny, rysy twarzy miałby piękne, gdyby ich dobrowolnie nie szpecił najdziwniejszymi minami, dowodzić mającemi ciężnymi. Raz przymruża oczy, oddymniając dolną wargę, to znów otwiera je, bez miary wznosząc górną; czasem połową tylko mruga, gdy druga zostaje spokojną, lub

chmurzy i podnosi brwi, jakby je kto pociągał sznurkami. Ręce, nogi, głowa, ramiona, wszystkie części ciała są u niego w ruchu gwałtownym bez najmniejszej przyczyny; nigdy nie stanie naturalnie, nie usiadzie spokojnie, nie podejdzie po ludzku; stojąc kołysze się aż strach żeby nie upadł; siadając pada i wywraca się w krzesło; idąc skacze, wykręca się i konwulsyjnie rozpręża. Tak nawet nic nie robiąc, prowadzi życie bardzo czynne.

Dłgi wąż białawy spada mu na wygoloną twarz, włos na głowie wcześniej podłysiał, resztę zarzucił na tył. Nosi zwykle krótką lisińkę lub kozaczkę, w zimie podbitą najzwyczajniej prostym kozuszką; szarawary ogromnie szerokie skórą wyszywane, pasek kaukaski srebrem nabijany, na szyi chusteczkę jasno-ponsową lub niebieską, zawiązaną niedbale. Na piątym palcu ręki połyska maleńki pierścionek. Piękny wyżeł siedzi u jego kolan, potrząsając obrozą brązową; młodego otacza; on rozprawia o swoich siwkach, których cuda opowiada z tą pewnością siebie, jaką daje siła pięści, młodość i pieniądze.

Byłby śmiesznym, gdyby straszonym nie był; tymczasem choćby kto i rad pośmiać się z niego lub zaprzeczyć dziejów koni, psa i dubeltówki, nie odważy się, bojąc się kulaka, szabli, pistoletów i wszystkich następności, jakie za sobą pociągnąć może zaczepka Paliwody.

Paliwodzie, pomimo wad charakteru, a raczej wychowania, szlachetności, dobrego serca, uczciwości nawet, nikt zaprzeczyć nie może; jednakże codziennie robi srogie głupstwa, które często na charakter jego cień rzucają. Z matką, najlepszą kobietą, poróżnił się

z poduszczenia towarzyszków, powiedziawszy sobie, gdy mu puste jego życie wymawiała: — At! coto tam te baby rozumieją!

Odtąd, chociaż się już nie widuje ze słusznie obrażoną matką, zachowuje dla niej należne względy, i pamięta zdaleka o wszystkich jej potrzebach.

Pomimo szlachetności, zdarza mu się przez brak zastanowienia nie dotrzymać słowa żydowi. — Co tam żyd! pijawka! albowiem on nie obdziera nas? — woła, tłumacząc się sam przed sobą: a nie widzi, że czarność żyda nie wymawia wcale własnego zasmolenia się.

Lekkomyślność i zamilowanie próżniactwa wszystkich wad jego są źródłem. Z młodu nienawykły widzieć na czele wszystkiego obowiązków, teraz dojrzeć ich nie umie za przyjemnościami życia; pierwszą a najważniejszą dla niego rzeczą jest: żyć. I ileżto jest podobnych w różnych klasach i różnych stronach ludzi, którzy zdają się, wątpiąc o wszelkiej przyszłości, dzień tylko dzisiejszy ze wszystkiego wyciskać dla siebie.

Paliwoda nie ma żadnego zatrudnienia poważniejszego: poluje, gra w karty, pije choćby o zakład, szuka łatwych umizgów, unika towarzystw dla których frak i białe rękawiczki włożyć potrzeba, strzela do celu i jeździ konno, lubi gawędę swobodną itd.; sam jeden pozostawszy, nudzi się. Jeżeli co, to to daje miarę człowiekowi: kto sam sobie zostawiony nudzi się, ten nie ma podstawy w sobie, i prędzej czy później zmuszony osamotnić, puści się w brzydkie nałogi, ażeby sobie uniknąć. Będzie się podwajał pijaństwem, lub odurzał rozpustą.

Tymczasem gdy złotku, brzęczącemu jeszcze w sakiewce, echem odpowiada głos przyjaciół Paliwody,

bardzo mu z tem życiem dobrze. Nie ma dnia żeby nie miał chętnego towarzystwa do zabawy.

Dzisiaj właśnie grono przyjaciół mniemanych poważnie, ale wrzawliwie, naradza się o przyszłym marszałkowstwie Paliwody. Niekiedy z gwaru wysforuje się głos potężny, dobitnie przekonywający o potrzebie jakiego kroku: to znów monolog zastępuje polylogja okropna.

Samurski, głowa sojuszu, szepce pocichu kandydatowi rady, i opowiada mu do ucha odwiedzin swe u pana Graby. Młodzień przysnuwa się i podsłuchuje ciekawie.

— Zobaczymy! — wołają niektórzy śmielsi — niechno się raz pokaże, damy mu porządną naukę!

— Dajcie mu pokój, nie zaczepiajcie lepiej — odparł zadumany Paliwoda.

— Coto lepiej nie zaczepiać? jakto! — zawołał z boku młodzik z czarnym wąsem. — Co? lepiej sobie dać jeździć po nosie? Co? jakiś stary partola będzie ci prawił kazania i moralę, a ty mu się będziesz jeszcze za to kłaniał? Nie! nie! chce nauki, to ją będzie miał!

— Zwolna, zwolna, panie Józefie! nie gorączkuj się, bo się poderwiesz! — rzekł Paliwoda. — Jak go zobaczysz, zaręczam ci, że ostygniesz. Ja się nie gniewam za to co mówił, bo może i miał słuszość, a zaczepiać go, jak cię szczerze kocham, niezdrowo.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

I głośniejsza rozmowa znowu przeszła w szepty, wykrzykniki i mruczenia.

Koniuszy Sumin, który z innymi przybył także do

miasteczka, więcej dla dowiedzenia się o handlu zbożowym niż dla narady wyhoreczej, przez oszczędność zajął kwatere lichą i smrodliwą, ale taną, w domu żydowskim krewnych swego arendarza, i nie znajdował się na przygotowanym zgromadzeniu u Abrahama. Nie było też ani Grabów, ani młodego Sumina, bo ci tylko co wysiedli, i nie mieli jeszcze czasu wyjść do miasteczka, rozpakowując się i spoczywając po drodze.

Tymczasem ponad billardem żywe toczyły się rozmowy, których głównym przedmiotem był wybór pana marszałka. Stary marszałek chciał bardzo i nadal się utrzymać; Paliwoda i inni usilowali go zastąpić, nie przestając jednak zapewniać, że podtrzymywają go będą. Cichą partją prowadziła pana Kaletyńskiego, który widząc w marszałkowstwie wiele zysków przyszłych na podradach, bezkarność w wielu potrzebnych mu nadużyciach, rozrachowawszy zyski i straty, choć wahał się jeszcze, przyjąłby może przez wzgląd na *serca obywatelskie* (termin właściwy) i urzędowe ciężary, i tytuł, i korzyści marszałkowskie.

Wielu, jak kapitan, przez skrytość charakteru właściwą, Cyncyrankiewicz przez dworstwo, do którego nawykł, nie dawali po sobie poznać komu swoje głosy przyrzekli. Cyncyrankiewicz bacznie oglądał u kogo objady mogłyby być najsmaczniejsze i najobfitsze, gdyby został naczelnikiem powiatu, nie chcąc się przytem nikomu narazić, bo czuł, że najgorszy objad lepszy jest od żadnego; w nikim więc nie chciał mieć nieprzyjaciela. Przytomność marszałka siedzącego pod piecem, nie dozwalała ani strennietwu Paliwody, ani innym głośno się naradzić; lecz jak tylko marszałek z sekreta-

rzem wynieśli się za drzwi, coraz głośniejsze rozprawy słyszeć się dały.

Kapitan długo podumawszy, wyczyścił wreszcie fajkę bardzo porządnie, aż do dna jej przy świecy zajrzawszy, wydymuchnął ją, wyskrobał szczypcami od lojowej świecy (nie był wcale wybrednym w wyborze środków), zawiązał szczelnie kapcinch i obmotawszy go koło guzika, po namyśle skierował się ku stronnictwu, które nie łącząc się do przyjaciół Paliwody, naradzało się w kącie pociechu. Policzywszy osoby oczyma, zastanowiwszy się jeszcze nieco, pokorny kapitan wetknął powoli nosa między naradzających się, a upatrzawszy chwilę potem, ciachutko, pokorniutko począł w te słowa :

— Za pozwoleniem panów dobrodziejów!

— A! i pan kapitan z nami — odezwał się pan Cyn-cyrankiewicz, który rad był liczyć się za coś. — Mowa o przyszłym marszałku.

— Tak jest — odparł ktoś z boku.

— Pozwolicie mi panowie podać sobie myśl jedną? — spytał kapitan.

— Choćby dwie! — rzekł, śmiejąc się mocno i trzęsąc brzuchem, tak rad był swemu konceptowi pocziwy pan Petryllo.

— Ale to, między nami — dodał kapitan ciszej jeszcze i ogłędając się baczenie, a wsikając to środka koła — niech o tem ludzie nie wiedzą, że to odemnie poszło.

— No! no! strzelaj kapitanie, strzelaj a śmiało!

— Ot, krótko a wezłowato. Czemubysmy za kandydata wziąć sobie nie mieli pana koniuszego Sumina?

— Co panu w głowie!

— Co w głowie? — powtórzył obrażony kapitan,

prostując się — posłuchajcie tylko!

— Słuchamy.

— Stary, majątny, swobodny, czemużby to nie mógł jak drudzy powiatowi i współobywatelom posłużyć? Kucharza ma dobrego to wiem, a jeżeli i nie ma takiego jak dla marszałka przystało, bo marszałek stoi na sekretarzu i na kucharzu, to go mieć bardzo może. Sekretarz będzie za niego robił wszystko, jak i za drugiego, kucharz będzie gotował, bo jest z czego i za co; a człowiek skrupulatny, uczciwy, magazynowych i innych naszych groszy nie ruszy, to pewna, i wziąć nie da.

— Doprawdy, to niezła myśl — rzekł Petryllo. — Mógłby na przykład w dniu niepocztowe sprawić polowania dla całego powiatu, ze śniadaniem i szampanem!

Wszyscy się w głos rozśmiali; kapitan nie ustąpił.

— No, no, śmieJCie się, śmieJCie! Śmiech śmiechem, ale ja nie widzę dobrej racji, dla którejbyśmy nie mieli o tem pomyśleć.

— To domator! — odezwał się jeden.

— To starzec! — dodał drugi.

— I nudziarz gdera! — rzekł trzeci.

— Ale człowiek uczciwy i bogaty! — przerwał ktoś inny.

— I zwierzyŃa u niego *non plus ultra!* — szepnęła zcieha Cyncyrankiewicz. — Sarny ze stolu nie zehodzą.

— I wino stare S. S. S. — dorzucił Petryllo powoli. — Prawda, że go żaluje, ale jakby go *unanimitate* wyniosło obywatelstwo na pierwsze dostojehstwo powiatu, kto wie. kluczem od serca dobralibyśmy się i do lochu.

— To wiem — gorąco poczał kapitan, rozpalając się — że niczegoby nie pożałował: ale z tem cicho!

Jakby się dowiedział o projekcie, wcześniaby zaprote-
stował: a więc język za zębami: zobaczymy dopiero
w gubernskim mieście. Ja obowiązuję się wnieść go na
kandydata. Cała rzecz, żebyśmy pocichu mogli wszystkich
przekonać, że najlepiej wybrać koniuszego. Teraźniej-
szemu szanownemu marszałkowi naszemu, którego ko-
cham i poważam...

— Szacuję i miłuję! — dodał Cyncyrankiewicz, nie
omieszkując wtrącić swego wyznania wiary.

— Dystyluję i preparuję — sparodjował po cichu Pa-
liwoda.

— Którego poważam! — kończył kapitan — uznajcie
panowie sami, że czas odpocząć. Nie ujmnie zacnemu
Paliwodzie... (Stał z boku niewidziany.)

— Najzacniejszy z ludzi, młodzieniec pełen nadziei—
rzekł poważnie Cyncyrankiewicz — i *honestus*, choć o
północku, stół nakryty.

— No! ale Paliwoda — mówił kapitan — może na
marszałkowstwo poczekać. Koniuszy dobry człowiek.

— Najgodniejszy z ludzi! — wtórował ciągle pie-
czeniarz.

— Koniuszy dostojny, poważny, godny, godnie przed-
stawi powiat, ani słowa...

— Jakto głodnie? — spytał niespokojny Cyncyrankie-
wicz niedosłyszawszy, a wszyscy, nie wyjmując kapitana,
do rozpuku śmiać się poczęli i śmiejąc rozeszli. Cyn-
cyrankiewicz sam także chichocząc ndał się do pijących
herbatę, w nadziei przypytania się do zdala ujrzanej
szklanki, która dotąd była bezpańska.

Nowa myśl, rzucona przez kapitana, poszła natych-
miast między ludzi, a sprawca jej chyłkiem wyniósł się
z gospody Abrahama, uśmiechając się do siebie.

Obok domu Abrahama, w murowanej kamienicy Icka, jednej z najpokaźniejszych w miasteczku, nazajutrz rano widać było kilku sług ugalowanych, w granatowych frakach, uwijających się od drzwi do drzwi. Piękna karetka wiedeńska jeszcze obwieszona pakami i paczkami, dowodzącemi, że nią przyjechały kobiety, stała w sieniach, a żwawe żywe służące, rozmawiając z męską służbą, co chwila wybiegały po coś do powozu.

— Janie! — wołała jedna — wody dla pani!

— Pawle! — wybiegłszy krzyczała druga — kaszka dla pani czy gotowa?

— Zielonej herbaty dla pani! — odzywała się trzecia.

— Janie! z okna wieje: potrzeba zabić dywanem — dodała pierwsza, w chwilę potem wylatując pospiesznie z pokoju.

Na kuchni, w sieniach, kucharz w białym fartuchu i dwóch kuchtów w spencerkach gotowali, smażyli, krzątali się i pracowali już, choć ledwie była dziewiąta.

W pokojach od ulicy, przybranych starannie, powybijanych dywanami, wykadzonych, ozdobionych mnóstwem fraszek niepotrzebnych, bez których wszakże kobiety dobrego wychowania ohejść się nie mogą: zapach żydom właściwy ustąpił przed wytwornem kadzidłem, sprzęty miejscowe tak zrecznie poprzykrywano, pozastawiano, że choć żydowskie, uchodziły. Widać było z tego wszystkiego, że „jakaś wielka pani“, według definicji żydowskiej, przybyła do powiatowego miasteczka, apewne w nadziei zabaw, które młodzież przygotowała, korzystając ze zjazdu. Dwór tej wielkiej pani zajmował drogo najętą drugą domną połowę, i w domu całym nikt więcej, prócz przekradających się po cichu gospodarzy, zepchniętych gdzieś do kąta, nie wstąpił już za próg.

O dziewiątej rano otwarte były okienice i służące latały jedna po drugiej za herbatą, po wodę, po kaszkę, po dywan, po Jana i Pawła, dla pani. i do pani, siedzącej w głównym pokoju na kanapie, ostawionej poduszkami, poduszczkami, ze stołeczkiem pod nogami. Stół przed nią obwieszony wzorzystą serwetą, zarzucony był mnóstwem gracików. przeznaczonych na zaspokojenie tysiąca potrzeb mogących się przytrafić. Każda łaszczyzka postawiona była na pewien obmyślony przypadek, każde pudełeczko, często raz w rok nie otwierane, czekało jakiegś szczególnej niedyspozycji, na której uleczenie służyło; były chusteczki na różne chłodu rodzaje, wonie na wszelkie usposobienia, posiłki na różne okliwości i t. d.

Pani, w białym tyfetykowym szlafrocuku, ściągniętym sznurem jedwabnym, w świeżym czepeczku, w popielatych jasnych rękawiczkach na malutkich rączkach, z książką, której nie czytała, rozparta, dumiała w milczeniu. Był to typ znajomy kobiety trzydziesto-letniej, mającej więcej niż lat trzydzieści, ale skutkiem usilnych starań, pielęgnowania, dozoru, nie dającej uciec piękności, która by się już innej, mniej baczonej, wymknąć potrafiła. Bardzo szczęśliwie piękność tej pani utrzymała się świeżo i w całym dawnym blasku. Lata jej nie zniszczyły, strapienia nie zostawiły na niej śladu; zaledwie usilny badacz zbliżanie się lat niemiłych zwiędnięcia, byłby dostrzegł na twarzy pełnej jeszcze młodocianego wdzięku, w niedostrzeżonych zarysach ukryty z nadzwyczajną sztuką. Miała lat trzydzieści kilka, ale twarz, ale oczy zadawały kłamstwo metryce.

Biała jak kość słoniowa. z lekkim a nie kupionym rumieńcem. z ząbkami jak perłki równemi i błyszczą-

cemi w nśmiechu, z ogromnym kruczej czarności war-
koczem, wydawała się jeszcze młodziuchną mężatką.
Przecież dwadzieścia kilka lat temu jak szła do ołtarza!
Piękne czarne oczy, pokryte długą rzęsą, którą poeta
jakiś porównał do skrzydła jaskółki, błyszczały życiem,
choć wyraz ich, jak całej twarzy, zdradzał chorobliwe
usposobienie do tęsknoty, do smutku, choćby bez przy-
czyny. Przy rumieńcu zdrowia, przy pozorach dostatku
i szczęścia, widać było w tej kobiecie wieczne niezado-
wolenie ze wszystkiego, ciągłą potrzebę utyskiwania na l-
losem. Zdawała się szukać powodów tylko do uzalenia,
do oplakiwania nieszczęść, które rozdrażniona tworzyła
wyobraźnia.

Ta chorobliwa skłonność nietylko że nie ujmowała
jej wdzięku, ale może ją miłszą jeszcze i ponętniejszą
czyniła, dodając jakiegoś nieopisanego uroku. Była jak
dziecię pieszczotliwe, któremu z tem do twarzy.

Wprawdzie tak pięknej kobiecie nie mogło z czem-
kolwiekbyć być niepięknie: nie jej zeszpeciłyby nie
potrafiło. Twarz ze wszystkimi składającymi ją rysy,
kibić, nóżkę, rękę, miała zadziwiającej doskonałości
kształtów. Napróżnoby się siłił kto znaleźć w niej coś
mniej pięknego, mniej wdzięcznego, nie odpowiadającego
całości: nie obawiała się wpatżenia. wyzywała najzu-
chwalszych krytyków, i widać też było, że piękność ta
wysoko się ceniła: znała się pięknością i sama sobie
będąc drogą, pieściła się, lubiła troszczyć o siebie: to
jej wybitną nadawało cechę.

Obok tak pięknej pani, na niskim stoleczku, wypro-
stowana, wyszuurowana, ale nie tak już piękna, lat
piętnastu może dziewczynka, siedziała schyłona nad ro-
botą. Podobna do matki, nie była tak urocza: wszystko

w niej potrosze zmieniła natura, choć ogół rysów był ten sam; kibić nie miała tej giętkości, oczy tego ławego wejrzenia, ręka tych kształtów wytwornych, nóżka tej małości bajecznej, włosy tak głębokiej czarności, ani obfitości matczynego warkocza. Ale za to pokorny wdzięk dobrego, potulnego, umiejącego kochać stworzenia, czynił ją zajmującą i powabną. Robiła pończoszkę, spoglądając na matkę troskliwie, niespokojnie, jakby myśli jej zgadnąć, rozkaz jej uprzedzić chciała. Coraz to czułem. ukradkowem wejrzeniem mierzyła ją z jakąś bojaźnią, i znów wlepiała oczy w robotę, którą zdawała się niezmiernie i wyłącznie zajętą. Pani wciąż zamyślona, z oczyma wlepionemi w otwartą książkę francuską, milczała.

W tem otworzyły się drzwi przedpokoju i szelest kobiecej jedwabnej sukni oznajmiał wchodzącą. Piękna pani zacięła usta, położyła rękę na czole: córka chciała podbiedz, aby natrętnego gościa odprosić; gdy już w progu ukazała się pani Lacka, i gospodyni porwała się z kanapy, rzucając książkę na ziemię i z wielkim radosnym krzykiem wolając:

— Lasia! Lasia! kochana moja Lasia!

Potem dwie panie uściśniły się tak serdecznie, tak serdecznie, jakby przynajmniej połowa tej serdeczności nie z serca pochodziła (o co je przecież nie posądzam). Córka dygnawszy, poklepana po twarzy, gdyż, mimo lat piętnastu, musiała jeszcze krótką sukienkę, pantaloniki obszywane nosić, i traktowana była jak dziecko, cofnęła się zaraz do drugiego pokoju.

Zmęczona wysiłkiem, podziwieniem i radością, bo cóż nie zmeczy człowieka? piękna pani upadła na kanapę, orzeźwiając się wódka kolońska.

— A! niech odetchnę! tyle radości, takie wzruszenie, widzę cię tak niespodzianie! — zawołała słabym i prze-
rywany glosem. — *Quelle bonheur, quelle surprise!*
Zkądże przybywasz? co tu robisz?

I nim pani Lacka, ze zwykłą sobie obojętnością szy-
derską, miała czas zebrać się na odpowiedź, już pierwsza,
nie doczekawszy się jej, mówiła sama dalej, wolnym i
harmonijnym głosikiem, w którym wiele było przesady:

— Ja wczoraj dopiero przybyłam. Drogi okropne, za-
bójcze, powietrze duszące, mieszkanie szkaradne, swęd,
czujesz jaki? i ciasnota, i sufity tak niskie, i wszędzie
wieje! A moje zdrowie co dzień gorsze!

— Mój Boże! cóż to jest? — spytała przybyła. —
Mnie się zdawało, kochana Tereniu, że ty teraz lepiej
daleko wyglądasz.

— O! to znużenie zwykle taki na mnie skutek wy-
wiera: trochę gorączki z podróży, dostaję kolorów,
zdaje się nawet, że twarz mi nieco zbrzękła i oczy za-
czerwieniły się. A piersi! zawsze bołą, zawsze bołą! —
dodała, kładąc rękę na nich, potem przenosząc ją na
czoło, które pocisnęła, jakby ją głowa bolała.

Obie zamilkły.

— Moje życie — odezwiała się po chwili — to nieu-
stanny łańcuch cierpienia, łańcuch przykutego do galer:
le boulet est loin de moi, mais je le traîne toujours.

I znowu ciężkie westchnienie.

— Ale powiedz-że mi, kochana Lasiu, co się z tobą
dzieje? gdzie jesteś? jak ci się to twoje biedne życie
wlecz?

— Ja — odpowiedziała pani Lacka z ironją zwy-
czajną — ja, zachciałaś Tereniu pytać, żyję. Ty znasz
moje życie: w nic nie wierzę, niczego się nie spodzie-

wam, nikogo nie boję, nikogo nie kocham...

— Jakto, Lasiu, nawet mnie?...

— Kocham! — przerwała pani Lacka smutnie, ale z uśmiechem.— Ty wiesz znaczenia tego wyrazu pełnego tajemnic: kocham. Kocham kobiecie od kobiety znaczy całkiem co innego.

— Zawsze taż sama! — szepnęła piękna pani.

— Zawsze! — powtórzyła pani Lacka — więc i pytać nie ma o co. Ale ty?

— Ja? ja zawsze cierpię, zawsze cierpię.

— Ty masz przynajmniej pociechę w dziecięciu.

— Pociechę lub strapienie. Ukochanego dziecka nie chciał mi oddać; dal mi, dla którego serce moje nie bije, na które patrzę płacząc wcześniej nad losem oczekującym ją jako kobietę. Co za pociecha!

— Nie jesteś tak sama, tak okrutnie sama jak ja — odparła pani Lacka.

— A! moja Lasiu, jest coś straszniejszego nad osamotnienie: jest to być we dwojgu, a samą, zawsze jedną, niezrozumianą, niepojętą, gdy nas nikt nie chce, nie może, nie umie uczuć i pojąć. *Toujours incomprise, seule toujours!* — dodała, wachając wódkę kolońską. — Cale moje życie tak ubiegło! Ale ty, moja Lasiu, ty — dodała z westchnieniem, z głębi piersi bardzo umiejętnie wydobytem — ty masz towarzyszkę życia, która cie kocha, szacuje, pojmuje, *car enfin on dit beaucoup de bien de mademoiselle Irena.*

Pani Lacka uśmiechnęła się szydersko, zdradziecko, a razem boleśnie:

— *Mais si vous voulez* — odparła, spuszczaając główkę — *c'est une femme modele, c'est un ange, une heroine;* to tylko bieda, że ani ja jej jak warta ocenić, ani ona

mnie pojąć nigdy nie potrafimy. *Il y a incompatibilité d'humeur entre nous.*

— Co mówisz? *Deception!* a ja się tak cieszyłam dla ciebie tym domem, ja myślałam...

— O! zdaleka wszystko tak piękne.

— Ależ cuda o niej mówią.

— Chyba cudaetwa, bo to istny cudak *entre nous soit dit.*

— Cóż to jest? co to jest? powiedz-że mi wszystko a wszystko, jestem niezmiernie ciekawa; żywo! — zadowolając o osłabieniu swojem poczęła piękna Terenia, pochylając się ku pani Lackiej.

— Żeby ci ją odmalowała dostatecznie jednym słowem, powiem ci, że najmiłszem jej towarzystwem jest... pan Hutor-Graba.

Piękna Terenia krzyknęła, odskoczyła jak oparzona, wstrząsnęła się, i padła z wyrazem najogromniejszego wzruszenia, zamykając oczy, przyciskając dłoń do serca.

— Teraz może już rozumiesz co to za kobieta? — dodała pani Lacka.

— O! dziwaczka jakaś!

— Ekscentryczna jak Anglik, nuda jak książka o moralności, zapalona jak Niemiec, kiedy się namyśli zapalić.

— I *ten pan* tam bywa?

— Bardzo często.

— Tyś go widywała?

— Niemal co dni kilka; to nasz najbliższy sąsiad.

Pani Teresa zdawała się przybita tą wiadomością.

— Więc i ty mnie już pewnie potępiasz? — dodała cicho.

— Ja? dla czego?

— Nie kryj się! mów mi otwarcie! on tak umie zręcznie się tłumaczyć.

— Ale ja go nienawidzę! — zawołała Lasia. — Jest to najnudniejszy dziwak, najdziwniejszy nudziarz, jakiegom w życiu spotkała.

— Szczerze to mówisz? — radośnie spytała, zrywając się znowu z kanapy pani Teresa.

— Możesz wątpić?

— Cieszy mnie twoje wyznaenie: to mnie wymawia w oczach własnych; gdyż wyznam ci, nieraz wyrzucałam sobie postępowanie moje, nieraz wątpiłam czy miałam słusność.

Pani Lacka ruszyła ramionami.

— Ale potrzeba zuać moje biedne życie, potrzeba czuć je, jak ja je znam i czuję, żeby mieć litość nademną, a wzgardę zasłużoną dla tego człowieka. Jest to istota najtwardsza, uajnielitościwsza, najokrutniejsza. O! nie wiem, czy ci to kiedy opowiadałam?

Pani Lacka, wiedząc jak Teresa lubiła opowiadać o sobie, nie przerwała jej; a ona, wzdychając i wdzięcząc się sama do siebie i trochę do wiszącego naprzeciw zwierciadła, tak mówiła dalej:

— Wystaw sobie młode rozpieszczone dziecko, jakim ja byłam, jedynaczkę ukochaną, dostającą się w ręce, w szpony takiego człowieka. Mnie uśmiechał się świat, dla mnie potrzebą, koniecznością, życiem były zabawy, podróże, boski Paryż, czarowue Włochy, stroje, teatru, bale, wszystko, co bawi młodość kobiety: a zmuszona zostałam być żoną dzikiego jakiegoś sparcjaty, który to wszystko potępiał, który mi wszystkiego, aż do koronek, *pierwszych potrzeb życia* odmawiał. Jakże! wyo-

braż sobie, że chciał mi wmówić, iż najmiłszą zabawą jest widok natury, śpiew ptaków, rozmyślanie, cicha rozmowa, przechadzka! Boże! chciał mnie zamknąć jak Anachoretę na pustyni! Powozu, koni, stroju, nowostek, pozbawiał mnie powoli wszystkiego! Przy mojem zdrowiu, tem zdrowiu co tylko ciągłą pieczę i troskliwem pielęgnowaniem się utrzymuję na krańcu, co dzieli je od choroby: chciał mi wydrzeć wszystkie życia wygody, chciał mnie koniecznie uzdrowić powietrzem, ruchem i pracą!

A! wspomnienie tego tyrana dreszczem mnie zimnym przejmuję. Żebyż-to był przynajmniej ten tyran melodramatu, co by się nie maskował, co by miał odwagę pokazać się czem był w istocie. Ale nie! Z uśmiechem na ustach, z morałem słodzinicznym na dłoni, z dobrocią odegrywaną bez zająkania, z uczuciem posunionem aż do egzaltacji, lecz fałszywem, o! fałszywem, pod pozorem mojego własnego dobra, dręczył mnie powolnie, szal ze mnie życie niegodny! A gdy splekana, zemdlona padałam bezsilna, on klękał przede mną i przysięgał mi, że mnie kocha, że mnie ubóstwia... całował nogi moje. O! nie chcę wspominać: klamał, klamał! Gdyby mnie kochał, wszystkoby był uczynił dla mnie; tymczasem nie mi poświęcić nie chciał, jednej odrobinki swojego przekonania. Wszystkie względy światowe, których ja tak czuję ważność i znaczenie, on miał za nic. Wystaw sobie jak konać musiałam, stokroć zmuszoną będąc pokazywać się w świecie wcale nie tak, jak stan mój i imię wymagało. Okropność! okropność! Pod pozorem, że obowiązkiem jest naszym dawać przykład dobry, ileż on mnie namęczył, ile mi sie nasprzeciwiał, nie chcę ci tego opisywać. Nareszcie...

— Nareszcie rozdzieliliście się — przerwała pani Lacka, przyspieszając koniec opowiadania.

— I błogosławie tę godzinę, w której zebrawszy się na odwagę, oswobodziłam się z więzów; zdało mi się, że nowe poczęła życie. Lecz cóż mnie to kosztowało: musiałam oprzeć się prośbom, zakłębom, błaganu, nawet udanym łzom jego, zamykać się przed nim, uciekać! Widząc, że mnie nie przekona, znalazł sposób pomszczenia się i dotknięcia mię do żywego. Ty wiesz, że byłam ostatnią dziedziczką starożytnego domu i imienia Hutorów: rodzice moi wymagali po nim, aby to imię do swojego przyłączył. Naówczas jeszcze do prawdy, czy udając, że kochał mnie zapamiętałe, uczynił co chcieli: nazwał się jak wymagano. Imię to dla mnie drogie zeszło na ulubieńca mego Jasia: on je ma ocalić od niepamięci. Może dlatego, może nie dlatego od kolebki podwójnie kochałam Jasia; Józie kocham także! ale możnaż sercu nakazać? Otoż, jakby na przedłużenie mej męki, nie dal mi zabrac Jasia, pod pozorem, że go zmiękcze i zepsuje, pozwolił mi tylko wziąć tę zimną, nieznosną Józie! Józia, to drugi on!

Kończąc te wyrazy, pani Teresa zakryła sobie oczy i drżąc poczęła tak, że pani Lacka, oswojona z podobnymi symptomatami, obawiając się nerwowego ataku, pospieszyła podać jej rzeźwiące sołe i trochę wody z pomarańczowym kwiatem.

Niebezpieczeństwo przeszło po chwili, a rozmowa między przyjaciółkami na nowo się rozpoczęła.

— Jakżem się zdziwiła — przemówiła Lasia — dowiedziawszy się o przybyciu twojem. Z twojem słabem zdrowiem dla zabawy przyjechać, to chyba może dla Józi?

— Józia jeszcze na zabawach nie bywa — zawołała pani Teresa — to dziecię! Ale ty wiesz, że w mojej boleści jedyną ulgą jest szal i odurzenie. Zabawa nie bawi mnie, lecz upaja i odrywa od rozpacz, w którąbym upaść musiała.

— Więc się zobaczymy na dzisiejszym wieczorze?

— Będę! muszę być! Powlokę się z trucizną w sercu, ze smutnem piętnem na czole; bo gdyby nie to gwałtowne lekarstwo, dawnoby pod brzemieniem cierpień upaść musiała. Upijam się, Lasin! upijam, żeby boleść zagłuszyć!

Pani Lacka uśmiechnęła się bardzo nieznacznie, i po cichu spytała jeszcze:

— Nie boisz-że się go spotkać?

— Jego? on nigdy nie bywa na zabawach; a wreszcie to mi obojętne. Jest-że on tutaj?

— Zdaje mi się, że miał przybyć.

— Myślisz? — spytała pani Teresa trochę niespokojnie. — O! toby mi zabawę struć mogło! — i spuściła głowę. — I Jaś zapewne z nim! Jaś zawsze z nim jest: mogłabym go zobaczyć! Ale nie, nie! nie mówmy o tem: czuję jak mi to zgubnie działa na nerwy. Zmieńmy przedmiot; zaczęłaś o przyjaciółce swej Ireunie?

— Przyjaciółce?! — cicho z ironją zawołała pani Lacka — ha! ha!

— Więc i to jakaś dziwaczka?

— Najosobliwsza pod słońcem istota; i gdyby był młodszy, to właściwie żona dla twojego męża: doskonale się cenią i rozumieją!

Pani Teresa ruszyła ramionami.

— Więc to jakaś poczwara!

— Wcale ładna poczwarka! Wystaw sobie *comtesse*

kobieta co konno jeździ, ludzi ratuje z pożaru, opatrnie rany i leczy, i godzinami uczące rozmowy prowadzi z chłopami i dziećmi chłopskimi: czyta filozofów niemieckich, z których się śmieje, nie wierzy w Balzac'a i jego znajomość kobiecego serca, gra na fortepianie jak uczeń Liszta, maluje pejzaże jak Calama, szydzi z balów, zabaw cudzoziemczyzny, i bodaj czy tylko w kątku nie pisze, bo często ma palce atramentem powalan. A z tem wszystkiem pogódź jeszcze, jeżeli potrafisz, egzaltowane nabożeństwo...

— Coż więcej? Coż więcej? kochana Lasiu, ciekawam doprawdy! Mów, proszę! Ona mnie zajmuje swoją oryginalnością. Dziwne stworzenie!

— Dobrze wreszcie, jak mówisz, stworzenie, ale zrozumiałe to, nie świata nie pojmujące jak on jest. Zagalona główka, a konwenansami najważniejszymi rzuca jak lupinami od orzechów.

— Gdzież to się wychowała?

— Spytaj się, gdzie się nie wychowała? Opiekunem, j j był znany ci pewnie oryginal, stary koniuszy Snmin. Kocha ją jak dziecko: szalał stary, żeby z niej zrobić coś nadzwyczajnego, i to mu się udało: na doskonałego wystrychnął ją cudaka. Najgorzej, że w początku dostała się w ręce nauczycieli i nauczycielek domowych, naszych krajowców, co jej zrazu głowę przewrócili, tak, że potem ani Francuski, ani Angielki, ani podróże po Europie odwrócić jej nie potrafiły. Zginiona! Miała przy sobie na końcu panue Wilby, Angielkę: i ta ją dobila, bo ta była także niepospolicie oryginalna paana. Mniśiałaś słyszeć o niej? Chciała iść opowiadać ewangelje do Indji, utrzymując, że kobiety, równie jak mężczyźni, nawracać mogą potrafią. *Un tas de balivernes de*

cette force là. Oto i uczennica w tym rodzaju. Ktoso się z tem ożeni, bo strasznie bogata, a wysoko nie patrzy: ale! biada temu szczęśliwemu! Wiesz, droga Tereniu, przestrzegam cię, boje się, zdaje mi się, że tam Jasia twojego prowadzi!

Nadspodziewanie nie się tego nie ulekła pani Grabowa, i pytała tylko ciekawie:

— Mego Jasia?

— Po cóżby tam pan Hunter-Graba z synem bywali tak często?

— Ale to dziecko jeszcze!

— I ona starsza od niego, pewnie starsza!

— Widać, że się z dziwactwa dziwakowi podobac musiała.

— Podobac! On ja wielbi, ubóstwia! Znalazł swego, Tereniu! Radź wcześniej, bo ci syna utopia.

— O! bezemnie Jaś nie nie zrobi! — odparła matka spokojnie. — Ale powiedz mi, moja Lasiu kochana, czy ładna doprawdy?

— Juści nie brzydka!

— Imię piękne?...

— Imię? dzieciństwo!

— Darnij, ja tak nie myślę: imię, to rzecz wielka, bardzo wielka! I powiadasz, że bogata?

— O! co to, niesłychanie! Ale jeżeli sama rządzić się będzie, to niedługo potrwa: dzieli się tem co ma z całym powiatem.

— Co za szkoda, że taka dziwaczka! — odezwala się pani Grabowa — doprawdy! Jasiowi potrzeba właśnie pięknego imienia, pięknej twarzy i bogatej jak ona kobiety.

— Jakto? dlatego że bogata! — silnie, wzruszając ramionami, wykrzyknęła pani Laśka.

— O! jakże mię lekko posądzasz! godził się to? Jazbyim ceniła tak marne złoto, które żadnego nie nasyci pragnienia? Lasiu moja, i ty mnie, widzę, nie rozumiesz!!

Nastąpiły z obu stron protestacje, żywe wyrazy uczucia, wzajemne przyjacielskie czułe wymówki, i rozmowa zboczyła na egotyczne utyski. Pani Grabowa była w nich niewyczerpauą, i byleby się znalazł słuchacz powołny, dzień cały gotowa była płakać nad swym losem.

Czy ten los w istocie tak był lez i uzależn godny? różnie różni sądzili: ale świata przynajmniej większość, którą przywykliśmy światem nazywać, brała stronę żony przeciwko mężowi.

Graba nie miał przyjaciół, bo niewiele jest ludzi coby się prawdy nie zlekli, a sądzili głębiej, patrząc nad powierzchnią rzeczy. Piękna, wdzięczna i ciągle płacząca Teresa. w oczach wszystkich prawie była nie-szczęśliwą ofiarą. Jak nią być nie miała? Słyszano jeżeli nie jej skargi, to o jej skargach nieustannie, a Graba milczał dumnie i nie tłumaczył się: był więc winnym.

Zimny na pozór tylko i surowy Graba pokochał ją w młodych latach z całą potęgą uczucia, na które mało kto zdobyć się potrafi, bo nie każdy jak on zachował się cały na jedno. Rodzice jego dosyć przeciwni byli ożenieniu, potrafił ich uprosić i przekonać: były przeszkody ze strony panny, uniał je przewyciężyć i przełamać wszystkie zawady ofiarami, które mu przyszły lekko: w pocie czoła dorobił się ukochanej istoty za towarzyszkę życia. Wszystko zdawało się skończone, lecz to był tylko ciężkiej walki początek.

Teresa piękna jak anioł, ale rozpieszczona i samowolna jak dziecię zepsute, w początku dała mu jeżeli nie chwilę szczęścia zupełnego, to wielką nadzieję. Z gwałtowną namiętnością kochając ją, lat kilka spędził na wpatrywaniu się w to bóstwo; a przekonawszy się ze smutkiem, że to cudne oblicze Madouny pokrywało pełną próżności i lekkomyślną kobietę, postanowił zająć się nią z całą troskliwością, na jaką się mógł zdobyć, na nowo rozpocząć wychowanie i postawić na stopniu, na którym widzieć ją pragnął.

Jakkolwiek sposobił się do tego stopniowo, powolnie i zawsze jeszcze zakochany namiętnie, jakkolwiek był pobłażającym, uległym, pierwsze jego kroki wiodące Teresę ku moralnemu jej podniesieniu, były hasłem wojny domowej. Terenia pojąć tego nie mogła, nie mówię, żeby się kto jej sprzeciwiał, lecz żeby skinieniom jej nie był posłuszny śłopo. Znajdując opór w mężu, w pierwszej chwili gdy to dostrzegła, obwołała go tyranem. Ile wycierpiał Graba, opisać trudno, ale cierpiał mężnie i bohatersko dla przekonania, bo czuł, że los żony miałby na sumieniu: widział się obowiązany surowo do tego co czynił. Uczucie obowiązków tłumilo miłość szaloną, z którą walka, ukryta dla wszystkich, niepojeta dla uikogo, czyniła go bohaterem niepoznanym. Jeden anioł stróż stojący nad głowami łoża, patrzący w kartę myśli i uczuć jego, mógł się podziwić i zapłakać; świat nie rozumiał i potępiał.

Piękna Terenia nudziła się sobą, mężem, światem, potrzebowała zabaw, podróży, strojów, lekkich książek, co drażnić wyobraźnię, nie nasycają głowy, i przedą z serca uczucia fałszywe. Powolnie wprowadzie, ale stanowczo Graba oparł się jej pragnieniom; chcąc jej przy-

wrócić zdrowie ruchem, pracą, zajęciem użytecznem, chcąc ukolysać wyobraźnię, zbliżając ją do rzeczywistego życia.

Napróżny wysilek! Terenia poczęła płakać, niecierpliwić się, a widząc, że lzy i prośby nie pomagają, grozić. Graba czysty na sumieniu, które mu mówiło: wytrwaj do końca! postępował z nią jak z chorym, ale nie potrafił uleczyć, może dlatego właśnie, że bardzo ją kochał. Co chwila wątpił o siebie, i zatrzymywał się na drodze, nie mogąc znieść widoku łez i rozpacz. Kilka lat upłynęło w takim boju: mąż cierpiał na stosie Gnatimozina, żona stała się heroiną romansu.

Nieprzyjaciół zbyt mało, choć wiele więcej dozwalał kobiecie, która pragnieniem piękna żyć musi, na wszystko przeciw pozwolić nie mógł. Czuł, ale stanowczo, oparł się podróży za granicę. Okazując wydatki nad siły, które pociągnąć miała za sobą, gdyby ją przedsięwzięła Teresa tak jak żądała, z wielkim ludzi taborem i przepychem nad skalę majątku. Zamiast balów, które dawać chciała nienastannie, przedstawił jej świętsze i znaczniesze do spełniania obowiązków, które dłużej i trwalej nad chwilę szaleń zabawić mogły i pocieszyć.

Ale piękna Teresa, pieszczone dziecko, słuchać tego nie chciała: płakała, chorowała, dostawała spazmów, i gdy w końcu paradne cngi, szamerowane liberje i kucharz Francz ustąpić musieli skromniejszemu urzędownikowi domn, wymówiła straszny wyraz: rozwód.

Graba, który ją kochał ze wszystkimi jej wadami, na pierwszą wzmiankę o rozwodzie, w rozpacz na wszystko, czego pragnęła, gotów się już był zgodzić, jedna tylko myśl o przyszłości dzieci wstrzymała go.

Przemógł więc znowu swe serce, odchorował grozbę, i utwierdzony w postanowieniu wychowania dzieci jak mu sumienie nakazywało, u nóg Tereni błagał, żeby choć rok chciała mu być powolną, i spróbować, i dotknąć tych zmian życia, które ją tyle, ile sądziła, kosztować nie mogły.

Ale Terenia odepchnęła go, nazywając tyranem, obłudnikiem, niegodziwcem. Graba świeżo wyleczony z zapalenia mózgu, które mu się odnowiło, zachorował niebezpiecznie; zostawiony sam sobie, osądzony był na śmierć. Nim przyszedł do zdrowia, żona wyjechała bez powrotu.

Ją to nie kosztowało, on tak leżał na śmiertelnej pościeli, bezprzytomny prawie, bez nadziei życia; dzieci nawet nie zostawiła przy nim, coby swym głosem rozbudzić go mogły. Silna budowa ciała przezwy- ciężyla chorobę: przyszedł do zdrowia. Wszelkiemi siłami próbował zbliżyć się do żony... napróżno.

Nastąpiły układy, i bez rozvodu małżonkowie rozdzielili się zupełnie, dzieląc się dziećmi tak, że córka została przy matce, syn przy ojcu.

Odtąd już się nie widzieli: każde z nich poszło swoją drogą. Pani jeździła za granicę, czytała aż do rozspazmowania francuskie romanse, uczęszczała na bale i chorowała po dawnemu; Graba, wychowując syna, wiódł życie surowe i pracowite. Lata ubiegłe nie potrafiły w tym człowieku, tyle pracującym nad sobą, zniszczyć ucznć gwałtownego przywiązania do żony; szron siwizny poczynął ubielać mu skronie, namiętność rozłączeniem podlegana nie gasła, lecz wzmagala się. Żył w niej ciąglą męczarnią, jak Salamandra, ten symbol namiętności, w płomieniach.

Piękna Terenia, której brak było serca, płaciła mu to uczucie wzgardą, prawie nienawiścią. Ona mu nigdy darować nie mogła, że się śmiał targnąć na nią. i postąpił z nią jak z ukochanem, lecz zepsutem dziecięciem. Przywykła do panowania, nie pojmowała podległości najmniejszej: sama myśl zstąpienia z piedestału oburzała ją do szalu.

Pani Lacka, o której losach i przyszłości później się dowiemy, była przyjaciółką jej młodości; dawno się nie widziały. trwały więc wynurzenia, żale, płacze, zwierzenia i rozmowy bardzo długo, zajmując dzień prawie cały. Terenia wzruszona i zmęczona niespodziewanemi wrażeniami, nie miała już siły ani się ubrać, ani wyjść do sklepów, jak wprzód zamierzała. Przyjaciółki spędziły z sobą czas do wieczora; Józia na krzesiełeczku w drugim pokoju, czekając na zawołanie matki, sama jedna ze spuszczoną główką robiła pończochy.

Tymczasem w miasteczku żwawo się krzątało obywatelstwo. naradzając się nad przyszłemi wyborami urzędników, a zwłaszcza marszałka.

Dawny pan marszałek ze swym sekretarzem pracowali nad przeciągnięciem na swoją stronę większości; panu sekretarzowi zbyt było dobrze panować, żeby się chciał narażać na podział władzy z kim innym: nikimby zaś wielowładniej nie pokierował, jak tym pocziwym marszałkiem, którym rządził na nigi. Z drugiej strony, kapitan nieznudzony dreptał, płatał się, gadał, intrygował. chce koniecznie na marszałkowstwo koniuszego Sumina, który o tym spisku nie wiedząc, spał spokojnie.

Myśl kapitana, dzięki jego staraniom, zyskiwała co chwila nowych stronników; a że lepszych kandydatów nie było. stary myśliwiec mógł rachować na pewny

wybór: bo stronnictwo Paliwody, pomimo hałaśnego popierania młodzieży, hulaków i pasibrzuchów, przez samego nawet Paliwodę za nie nieznaczące uważanem było.

Samurski, który niefortunne powodzenie kandydatury Paliwody przypisywał nadaremnie panu Grabie, od rana gardłował, żeby tego, jak go nazywał, „arystokratę, co sobie tony jakieś nauczycielskie chciał dawać”, wyzwać po prostu na pojedynek.

— Więc go wyzwij sam! — wolano na niego ze wszystkich stron.

— Gotówbym był to uczynić, moi panowie — mówił zajadły Samurski, machając okropnie rękoma i wybijając wszystkimi oczami cybuchem — gotówbym za wszystkich: ale choć mi męstwa nie brakuje, bije się kiego i wstydu wam narobię.

Młodzik, co wczoraj mocno się odgrzał, dziś już tylko Paliwodę podzegał, ale sam wystąpić się wahał. Wśród gwaru i szumu, przerywanego brzękiem widelców, stukaniem szklanek i strzelaniem dobywanych korek. najniespodziewańszy w świecie gość, pan Graba sam ukazał się w progu.

Wszyscy osłupieli, oczy poczerwieniały, spojrzeli po sobie, wzajem się wzrokiem popychając; jeden Paliwoda z uśmiechem grzecznym postąpił ku niemu. Samurski chwytając go za pole, szepnął, łykając chleb, którym gębę miał zatkaną:

— Widzisz, widzisz, trauspirowało! Tchórz, będzie cię przeproszał, będzie się tłumaczył. Trzymaj się tego, a w potrzebie wyzwij, jak Boga kocham, wyzywaj! My za tobą!

Słyszał czy nie słyszał Paliwoda, ale już dłoń podał

przybyłemu i zapraszał go do śniadania, gdy poważny Grabą podziękowawszy, wziął go na stronę.

— Mam ci dwa słowa powiedzieć na osobności — rzekł, i wzięwszy pod rękę gospodarza, wyszedł z nim do przyległego pokoju. Samurski podbiegł na palcach za nimi, podszeptując :

— A przynajmniej niech publicznie ciebie mnie przeprosi!

Ale drzwi zamknęły się niełitościwie przed nosem doradcy nim dokończył.

— Kochany paule Konstanty! — odezwał się Graba, biorąc go za obie ręce i wpatrując się w twarz młodemu człowiekowi — gdybym nie szanował rodziców twoich, nie miał dla ciebie prawdziwego przywiązania i z serca nie życzył ci dobrze, nie widziałbyś mnie u siebie. Nie przypisuj mojego przybycia żadnej intrydze wyborowej: jest ono krokiem przyjacielskim.

Paliwoda skłonił się w milczeniu.

— Chcesz-li przyjąć radę starego przyjaciela domu i życzliwe przestrogi człowieka, który radby cię widzieć na takim stanowisku w społeczeństwie, na jakim być powinienes? Nie obrazi cię rada?

Mimowolnie Paliwoda czuł potęgę człowieka, któremu uleść był zmuszony; uczuł w sobie coś niewytłumaczonego, co mu wzbraniało postawić się przeciwko panu Grabie, jak się zwykle stawiał przeciw innym: odpowiedział więc ze wzruszeniem pewnem, powolnie:

— Czemużbym miał dobrej rady nie usłuchać?

— Cieszę się tem twojem usposobieniem — odparł Graba — Samurski musiał ci donieść com mu powiedział, gdy do mnie przyjechał z myślą prowadzenia cię na marszałka. Powiedziałem mu coś nakszałt tego, co

ci teraz powtórzę w oczy: panu Konstantemu potrzeba wprzód zreformować życie, pojednać się z matką, odpedzić darmożądów co go wiodą do hulanki, marnie czas i pieniądze pochłaniającej; a gdy Bóg da, że wyjdzie na człowieka w całym znaczeniu tego wielkiego wyrazu, naówczas z radością poprowadzim go choćby na gubernskiego.

Paliwoda zmieszał się, trochę zaczerwieniał, zapęrzył.

— Wier pan znajdujesz — rzekł widocznie pomieszany — że postępowanie moje nie jest takim, jakimby być powinno?

— Znajduje, i mówię ci to otwarcie w oczy. Przed obcymi może cię bronić potrafię, przed tobą muszę potępić. Młody, silny, zdatny, majątny, nie maszce co lepszego do roboty, jak hulać, pić, grać w karty i karmić darmożądów. których próżniactwo wspierasz? A twoje postępowanie z matką?

— Z niego, zdaje mi się, nikomu nie winienem rachunku.

— Przepraszam cię, przed Bogiem i ludźmi człowiek winien rachunek z każdej swojej czynności. Bóg sędzi sprawę człowieka z jego sumieniem. widoczne uczynki i do sądu ludzi należą. z tychto drobnych czynności składa się całość życia społecznego. i dajesz zły przykład.

— Ale któż pan jesteś? — żywiej zawołał Paliwoda — żebyś mi miał dawać nauki?

— Jestem życzliwy przyjaciel, starszy od ciebie doświadczeniem człowiek, i obowiązany sumieniem powiedzieć ci prawdę.

— Ale ja o nią nie proszę!

— Daję ci ją nieproszoną: uczynisz z nią co zechcesz. Serce masz dobre, obalamncają cię twoi towarzysze: szkoda mi ciebie; pomyśl nad sobą... Nie sądź, żebym tu przyszedł z inną jak najżyczliwszą dla ciebie chęcią, i tylko dla ciebie.

— Dziękuję, dziękuję — rzekł, pokręcając wąsa Paliwoda — ale...

— Czuję — przerwał Graba — że cię fałszywy wstyd wstrzymuje może od posłuchania głosu, który się wewnątrz z twoim własnym zgadza. Uczyni to powoli, nieznacznie; co najpilniejsza, odmień życie, pogodź się z matką, i pierwszy ją przeproś. Ot, tak szczerze — dodał — jesteś szczęśliwy tem życiem, jakie prowadzisz? Nie maszże wśród tego szalu chwil smutku, zwątpienia, prawie rozpacz? Czyż cię czeze rozmowy i hulanka nasycają? Nie bierzesz-li odurzenia za szczęście? Powiedz!

Paliwoda spuścił głowę, zamilkł, potem podniósł ją nagle, i ze łzą w oku łagodniej spytał pana Graby, unikając odpowiedzi:

— Ale cóż pan masz przeciwko mojemu marszałkowstwu? Wprawdzie ja o ten tytuł nie dbam.

— Bo teźto wcale o tytuł nie chodzi, kochany panie Konstanty. Marszałkowstwo jest wielkiem i pięknem brzemieniem; ale czujeszże w sobie siły potemu, by je podnieść?

— Jużciż, powiem panu, tak jak nasz teraźniejszy marszałek, dam rady.

— To ładna sztuka! Nasz marszałek w istocie tytuł ma tylko. Ale zastanowiłeś się, coto jest marszałkować jak potrzeba? Maszże siłę opierać się związkom, stosunkom, pokrewieństwu, prośbom, przyjaźni, groźbie

nawet nieraz; dopilnować sprawy sieroty i wdowy w opiece, sprawy drugiego sieroty także, włościanina, w stosunku jego do właściciela ziemi? Maszże dość wytrwałości, rozwagi, zimnej krwi, żeby przedstawiać powiat wszędzie, ująć się za jego dobrem, utrzymać w nim powierzony twej pieczy i sumieniu porządek, sprawiedliwość? Dopilnować siebie, dopilnować drugich, skarżyć, gdy każe prawda, klócić się, gdy klótni wymaga smnienie, prześladować rabusiów i łotrów, których z kątów wszystkich powymiać ci potrzeba: masz na to siły? powiedz!

Paliwoda stał zafrasowany, nie wiedząc co odpowiedzieć; ale znać było, że prawda przecisnęła się do głębi jego serca: wstyd mu tylko było ją uznać.

— Wiesz co, kochany panie Konstanty, wreszcie powiem ci najgłówniejsze. Widzę ze wszystkiego, że wybranym być nie możesz, pomimo gorliwych starań twoich przyjaciół: na co ci się narażać na pewny upadek?

— Pan sądzisz, że pewny?

— Niezawodny! Lepiej wcześniej rzec się otwarcie kandydacji.

Domawiali tych słów, gdy po naradzie wrzawliwej w pierwszym pokoju, pan Samurski wraz z panem Pruckim, młodzieńcem co miał cztery pojedynki. a ośm razy śniadanie pojedynkowe, weszli nieproszeni szumną drzwiami otwierając, z minami rozognionemi i zapowiadającymi burzę.

Pan Prucki postąpił śmiało, odpychając Paliwodę, który go hamował, wprost do Graby, i głosem podniesionym zawołał:

— Te przeprosiny i wyłgiwania się nie pomogą. Pan obraziłeś pana Konstantego, mówiąc o nim obelżywie

przed Samurskim: obrażając jego, obraziłeś nas wszystkich, jego przyjaciół; w imieniu wszystkich proszę pana o satysfakcję.

Graba z uśmiechem litości spojrział na pana Pruckiego, potem na Paliwodę, który zmięszany, zawstydzony, stał w milczeniu, gryząc wąsy.

— Jakież pan chcesz satysfakcji? — odpowiedział Graba powolnie.

— Albo pan przeproś publicznie, a nie, to się będziemy strzelać!

— Za cóż to mam przeprosić?

— Za to co pan mówił przed Samurskim o Paliwodzie. To trzeba odwołać!

— A gdy nie odwołam?

— To się będziemy strzelać!

— A potem? — spytał go Graba.

— Coto pan żartuje? — rzekł Prucki.

— Nie, uchowaj Boże! to sprawa bardzo poważna: z czegożby tu żartować? chyba z pańskiej fantazji, i ochoty, żebym go skaleczył.

— To jeszcze zobaczymy!

— To rzecz niezawodna! — rzekł Graba. — Mam pierwszy strzał jako wyzwany.

— Niech sobie i tak będzie.

— Nie chcę pana pozbawić prawej ręki, potrzebnej do muskania wąsów, będę musiał przestrzelić mu lewą, bo zabić nie myślę! Pan masz jeszcze tyle rzeczy do wyuczenia się w życiu, że przerywać go byłoby nielitością.

Prucki i Samurski, pomimo zaindyczenia, pomieszali się nieco zimną krwią i szyderstwem Graby; Paliwoda

rozśmiał się głośno. Wyzwany stał obojętnie, poglądając na nich.

— A zatem — rzekł — wyzywasz mnie pan?

Cofnąć się było niepodobna.

— A! wyzywam! — zawołał Prucki. — Zobaczymy co będzie z tej fanfaronady.

Graba z westchnieniem zbliżył się do młodego człowieka, który w wejrzeniach Samurskiego i Paliwody napróżno usiłował wyczerpnąć odwagę, szybko go już opuszczając.

— Kochany panie Prucki — rzekł powolnie — na co między nami te żarty? Paliwoła nie ma mi za złe tego co powiedziałem: porozumieliśmy się łatwo; miałebyś sam osobiście być obrażony przezemnie?

— Jestem osobiście: gdyby nie czem innem, to żartami pańskiem.

— Za te żarty, jeżeli chcesz, szczerze cię *przepraszam*: sam byłeś do nich powodem, i mimowolnie mi się z ust wymknęły, widząc tę gorączkę młodzieńczą, tak naderemnie zmarnowaną. Wierz mi, pojedynek nie jest rzeczą tak wielką i piękną, żeby się nim chlubić można. Użyć odwagi, jaką Bóg dał, na to, żeby stanąć przeciw kuli braterskiej i do braterskiej mierzyć piersi, jestto użyć jej podobno jak można najgorzej.

— Do czego to zmierza? — zapytał, nabierając otuchy Prucki, który poczynił znów kręcić wiasa.

— Do uniknienia pojedyunku — odpowiedział Graba, — pojedyńku bez powodu ważnego, coby go wymawiał, który pannu nowych laurów nie doda, a dla mnie będzie bardzo przykrą ostatecznością.

— Uniknąć go już niepodobna: musimy się bić! — zawołał Prucki, zacierając czuprynę.

— Z mojej strony jeden tylko warunek — rzekł zimno Graba.

— A! są i warunki, chwała Bogu! — mruknął złośliwie Prucki.

— O! tak, są warunki! Wszak pan Konstanty ma pistolety?

— Mam doskonale, Lazaro Cominazzo.

— I zapewne nabite?

— Świeżuteńko.

Prucki spojrział po wszystkich, nie bez pewnej obawy.

— Otóż o jedno tylko proszę — dodał Graba — żebym wam mógł pokazać jak strzelam; bo ze mną chcieć stawać do pojedynku, jestto daremnie narazić się na szwank pewny.

— To nieznosna zarozumiałość! — krzyknął wyzywający niespokojny.

— Nazywaj to pan sobie jak chcesz, a szanowny gospodarz niech da swoich pistoletów i pójdzie z nami do ogródka.

Wszyscy ruszyli się za Grabą, który zaklejone na zimę drzwi żydowskiej izby wysadziwszy ręką silną, pierwszy wystąpił na podwórze. Tu ubezpieczwszy się, że plac obrany na próbę wysokim parkanem był zamknięty, o trzydzieści kroków ustawił deskę, kazał w nią wbić dziesięć mocnych bretnalów, i opatrzywszy broń, rzekł do Pruckiego:

— Jeśli raz chybię, będziesz pan miał zupełne prawo śmiać się ze mnie.

To mówiąc, w posępnem milczeniu, którego nikt z przytomnych nie przerywał, Graba wystrzelił dziesięć razy, i wsadził dziesięć kul na ostrza bretnalów.

— Pistolety bardzo dobre — rzekł, odwracając się

potem do gospodarza, i biorąc za rękę Pruckiego, dodał :
— Powiedz mi pan teraz, czy miałbym sumienie, zgadzając się, bić się z panem ?

Prucki blady, belkotał.

— Co innego jest strzelać do deski, co innego do człowieka! — zawołał Samurski.

— Niechybnie! — rzekł Graba. — Więc jeśli pan Prucki zażąda, służyć mu nie omieszkam.

Ale tu wdał się Paliwoda, i przeciwnicy z wielką radością obu podali sobie dłonie, a Graba odszedł, ukradkowemi wejrzeniami młodzieży przeprowadzany.

— Kochani panowie! — rzekł Paliwoda, rzucając się na krzesło, gdy się za nim drzwi zamknęły — jestto człowiek, którego szanuję, niekoniecznie dlatego, że tak pięknie strzela, ale dla jego charakteru i męstwa, z jakim wprost do człowieka z gorzką prawdą przychodzi. Wyznam wam, że mi nawet przykro, iż go szanować muszę, ale nie mogę inaczej! Otworzył mi oczy: nie chcę tego marszałkowstwa, to nie dla mnie.

— Jakto! cofasz się? — zawolali młodzi panowie, tłumnie otaczając Paliwodę.

— Byłbyś dotyla słabym?! — krzyknął Samurski, podnosząc cybuch do góry z giestem tragicznym.

— Nazwij to, jeśli chcesz, słabością: to mi wszystko jedno; ale pewno, że mi marszałkowstwo na nic się nie przydało, i kandydatem być nie chcę.

— Już tak! — rzekł, zalamując ręce Samurski, który miał wielkie widoki na obiorze pana Konstantego, rachując jakby już miał w kieszeni administrację wioski przyległej swojemu folwarczkowi.

— Tak! — odpowiedział Paliwoda. — Wasze chęci

były najlepsze; ale w czas opatrzyłem się, że wstydu tyłkoby mi się najadł.

— Byłbyś wybrany! jak Boga mego kocham, byłbyś wybrany! — zakrzyczał Samurski.

— Nie! — odparł zimno Paliwoda.

— Jakto nie?

— Napocilibyśmy się wiele a nadaremnie. Pluńmy na to! — zawołał, śmiejąc się — to kłopot, zamoroka, nudy; ot, lepiej pofacjendujmy na konie, pobulamy i pobawim się wesolo. Niech sobie kto chce będzie marszałkiem, ja do nóg upadam.

Samurski popatrzał, pluwał, siadł aż krzesło pod nim zatrzeszczało, i machnąwszy ręką, począł fajkę palić zajadle; wreszcie fajkę rzucił, nacisnął czapkę, i wyszedł milczący i gniewny, mrucząc pod nosem:

— Pracujże tu dla nich! Niewdzięczny! umywasz ręce!

Młodzieź, nie wyjmując Pruckiego, który dla zakasowania swego niefortunnego wyzwania począł opowiadać o czterech pojedynkach i ośmiu śniadaniach pojedynkowych, wzięła się jednogodnie do szklanek. Żartowano z wypadków ranniejszych, wojowniczego ducha pana Graby przeciwuik kłął się, ręczył słowem honorn i przysięgał, że do pojedynku nie tyle potrzebna zrećczość i umiejętność. co odwaga i szczęście: a czas spłynął do wieczora na zwyczajnem zajęciu wśród kart, kieliszków i gawędy. Na chwilę tylko zniknął gospodarz, i po więcej niż godzinnej niebytności, wrócił zamysłony, wzruszony, nie chcąc mieć udziału ani w grze, ani w pijatyce.

Nadechodził wieczór. a wieczorem miało być kasyno, owa zabawa, na której wszystko co żyło w okolicy i

miasteczku znajdować się obiecywało. Niektórych obywateli żony i córki uprosiły sobie pozwolenie przybycia na ten dzień do miasteczka; żony też urzędników i kobiety miejskie gotowały się zająć pierwsze miejsca na kanapach, w tańcu i u wieczerzy. Potrzeba wyznać, że choć we zwyczaj weszło wysmiewać zabawy na prowincji, bo istotaie często są śmieszne, żaden jednak bal w stolicy, ze swemi urzędowemi formami, paryzkimi strojami i jak najprzystwoitszą powierzchownością, nie może się porównać pod względem malowniczym z balikiem w miasteczku powiatowem, gdzie i rozmaitość większa, i sprzeczności mnóstwo, i weselość ochocza, i swoboda nieograniczona.

Wnijdźmy więc na chwilę do sali oświetlonej, i przypatrzmy się towarzystwu, które się tu całe zebrało: bo na baliku w powiatowem miasteczku któ nie będzie? — chyba nieszczęśliwy kancelista, któremu krawiec nie doszył mającej sprawić sensację kamizelki: chyba stolo-naczelnik, którego wstrzymał szewc, nie odniósłszy butów na termin! Reszta, przez ciekawość, przez próżniactwo, albo się wlecze na salę, albo idzie do bufetu upić się pod dobrym pozorem baliku, albo wreszcie choć przez drzwi zagląda. Ci co si we drzwiach cisnąć nie chcą, ucierają świecę. Malo jest nawet żydów w miasteczku, coby choć przez szparę odrobiny balu nie widzieli, nie mogli nazajutrz opowiedzieć jaki frak miał pan strapczy, jaką suknię pani sprawnikowa, i co robił pan marszałek. Jeśli nie wszyscy wchodzą wewnątrz, nikt nie jest wyłączony od zajmowania się balem: wszystkich on obchodzi w pewien sposób i nazajutrz każdego czemś dotknął, każdy ma coś o nim powiedzieć.

Bal jednak tutejszy nie był zupełnie podobny swoim rodzonym: więcej miał nad inne wytworności, pozor, i dzięki majątnym rodzinom co się nim zajmowały, obiecywał jak najdokładniej, o ile możliwości, małpować zabawy wielkich domów lepszego tonu.

Zwykle też miejskie towarzystwo, nie odmawiając udziału swego w zabawie, wcześniej kwaśno na nią spoglądało, mianując to kasyno arystokratycznym. Młodzież już się nawet gotowała odbijać w polonezie na przekór, i stawać w pierwszej parze z panną N..., w pik znakomitościom, które posadzano wcześniej o zamiary uzurpacyjne. Jedyne oficer od huzarów, znajdujący się na urlopie, ogromnego wzrostu i silny jak lew, wszystkim rozповідаł, że będzie na złość arystokratom kierował muzyką jak mu się podoba. Słowem, jak wszędzie u nas, choć jeszcze nie było zaczepki, ani obrazu, ani upośledzenia dla nikogo, już się ich domyślano, gotowano do nich i rozpoczynano bój przeciwko marom. Szczęściem nikt z lepszego towarzystwa, ani do pierwszej pary, ani do kierowania orkiestrą, ani do zajęcia miejsc za główne uważanych się nie spieszył: spełzły więc chętki zrobienia awantury na pokątnych drwiukach i szeptach.

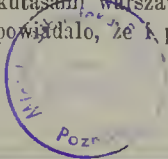
Lecz nie wszyscy taką krucjatę przeciwko bogatszym obwoływali. Zrana jeszcze, gdy się dowiedziano, że najwyższe towarzystwo powiatu: pani Grabowa, panna Irena i kilka innych osób (z bywających za granicą!!!! mówią drudzy i za granicami!!) mają zjechać i przytomnością swą bal uświetnić, radość błysnęła i na licach marszałka gospodarującego z urzędu i wice-gospodarzy i gospodyń.

Sekretarz, przywykły wszystko robić za marszałka,

uznał potrzebnem przyczynić świec, na których rozmyślał tylko jak ma zyskać (bo zyskać musiał), czy na cenie, czy na ilości? — na cenie zyskałby gotówką, na ilości świecami. Po długim i głębokim namyśle, wołał schować dla siebie dwa oka świec, gdyż cena stearyny, zbyt powszechnie znana, nie dawała się o wiele podnieść. Można było wprawdzie podać w regestrach воск a zapalić lój i stearynę, ale kolnierze fraków denuncjowacby gotowe; i sekretarz znowu był człowiek sumienny: kradł na stearynie, ale oburzał się na tych, coby ją zastąpić śmieli szelmostwem, nazywał to *już* szelmostwem (maly zysk nie był niemu *jeszcze*).

Zabawa, pomimo wcześniej nadanego jej charakteru arystokratycznego przez tych, którzy wszędzie widzą arystokrację gdzie jej nie ma, obiecywała być liczną; ci co nie myśleli się bawić, szli patrzeć, inni (niestety! malpy jesteśmy) chcieli być, słysząc, że tam będzie tłumnie; mężczyźni mieli już zapewnione stoliki preferausa i osobną fajkarnię, ponczyk rzymski, w którym celował Caricato. Nawet pan koniuszy Sumin, który nigdy na tłumnych zabawach nie bywał, zawahał się chwile, gdy mu powiedziano, że Irena będzie na balu, a zwłaszcza gdy się dowiedział, że wnuk jego Jerzy z panem Grabą przybyli do powiatowego miasteczka. Potarł czuprynę, wylał Malcowskiego, co tylko czynił w wielkich i trudnych okolicznościach, plnął, tupnął, głęboko się zamyślił, poczem oddysponowawszy krupnik z pół-gąską nastawiony na wieczerzę, kazał sobie czyścić frak granatowy z guzikami złocistemi, zachowujący się od wielkiej gali, przygotować spodnie popielate i buty z kutasami warszawskie.

Wszystko to zapowiadało, że i pan koniuszy na bal



się wybierał, czego jak świat światem nie bywało. Właśnie w chwili gdy te przybory czynił, wszedł Jerzy do żydowskiej izby, którą dziad jego zajmował. Przyjął go staruszek niby ochoczo, ale niecierpliwość ogromna przebijala się pod źle udaną jego obojętnością i grzecznem obejściem.

— A! to waść, panie Jerzy! — zawołał, we drzwiach go zobaczywszy.

— Przyjechałem z panem Grabą poznać powiatowe miasteczko.

— Tfu! tfu! co tu poznawać? Ot, słuchasz dziwaka, który ci na drugą stronę głowę przewraca. Czas zmar-nowany na próżno! Co tu poznasz? he! Abrahama? Josia? To ci może każe pokazać także mego gospodarza Mordka? Ciekawa figura: broda pół łokcia, a nosa drugie tyle.

— Dziś przytem zabawa: jakieś kasyno.

— At! w głowie jak w Pacanowie! zabawa! Warszawiakowi zachciało się skosztować i naszej parafjańskiej zabawy!

Jerzy spuścił głowę i siadł milczący; pan koniuszy poczał, zagryzając wargi, przebierał palcami po stoliku; nagle, jakby mu coś doskonałego do głowy przyszło, zerwał się, rzucił do wnuka, i pocałowawszy go radośnie, z oczyma myślą błyszczącemi, zawołał:

— Jurku! kochanie moje! do krośset djabłów! oto ja tobie sliczny podam projekt! zobaczysz!

— Cóż takiego, panie koniuszy?

— Co? osobliwszy a przewyborny projekt do krośset kaczek! Kochanie moje, powinienes mnie przynajmniej w rękę pocałować za to: prawdziwa inspiracja! Mam dla ciebie partję, i prześliczną!

— Jaktó partję ? w preferansa ?

— Nie, nie, ożenienie cułowne !

— Ale ja się wcale żenić nie myślę.

— Gadaj sobie zdrów ! Któryż z was gołych paniczków nie ożeni się bogato, byleby tylko mógł. W sercu u was pusto : aby wam kieszeń naładować, to najpilniejsza.

— Panie koniuszy ! — rzekł Jerzy z oburzeniem.

— Słuchałbyś lepiej ! — rwąc za guzik, rzekł koniuszy żywo — słuchałbyś lepiej, a uważnie. Przyjechałeś, zdaje mi się, z panem Grabą ?

— Tak jest, z nim.

— No, a nic nie wiesz : najprzód, że pan Graba ma żonę przesliczną jak anioł, z którą nie żyje, bo od niego uciekła : to człowiek niezdolny, dziwak, opętany ; powtóre, ma śliczną także córkę młodą, potulną, dobre, pocziwe stworzenie, a bogata będzie jak panua Irena bez małego. Nawet ten dziwak Graba chce podobno równo między dzieci majątek podzielić, to może będzie miała więcej od Ireny. Rozumiesz ty to : ładna, miła i potulna ! Irena to pani, ona się poprowadzić nie da, ho ! ho ! a to dziecko posłuszne, dobre, bojaźliwe. Rozumiesz, dziś na balu — dodał natarczywie — dziś zaraz poznam cię z żoną pana Graby : jestem z nią bardzo dobrze ; potem swatam cię ; domyślają się i dam się im domyślać, żeś moim padkobiercą, a Turza-Góra coś znaczy ! jesteś przyjęty, ożeniony, bogaty, szczęśliwy, kwita i niech cię djabli biorą ! A co ? — spytał w końcu, ściskając Jerzego.

Ale Jerzy stał jak kamień. zimny, milczący i prawie zagniewany.

— Kochany panie koniuszy — rzekł z bolesnym

uśmiechem — z serca dziękuję, ale się żenić nie chcę, ani myślę.

— Jakto, kochanku, pewnie?

— Ale najpewniej! — odpowiedział Jerzy z przy-ciskiem.

Koniuszy popatrzał mu w oczy, odwrócił się i zawołał:

— O! kłamiesz serdeczko! No, ale dla mnie to zrobisz, że pojedziemy na bal razem: ja cię zapoznam. Zrobisz to dla mnie?

— Dlaczegoż nie? poznam się najchętniej.

— Graba zapewne nie będzie na balu, bo nigdy nie bywa, więc bardzo naturalnie, żebyś poszedł ze mną.

— Ale i pan koniuszy, jak słyszałem, nie bywa także?

— Owszem, czasem bywam; nawet zobacz sam, że Malcowski czyści frak granatowy: to nie bez kozery. Zatem idź, ubieraj się, przyjeżdżaj i ruszamy.

Zatarł ręce stary Nemrod poleski i tupnął z radości nogami, mówiąc do siebie:—Oto myśl szczęśliwa!— Potem pochodził po pokoju.

— Między nami mówiąc — dodał szybko, wpół do siebie uiby, wpół do Jerzego — Irena to samowolne i dość zepsute stworzenie. Ja ją kocham, ale to litość bierze patrzeć na nią. Ot, i do tego pożaru potrzeba to było jeździć? Głowa się pali! — Jerzy milczał. — He? — spytał stary.

— Ma serce!

— O! już to że ma serce i złote! — zapomniawszy się krzyknął koniuszy — złote, anielskie serce to! — Ale wnet złapawszy się na niepotrzebnem gadulstwie, dodał chłodniej: — Głowa się tylko pali, a serce, jużciż tak, może, zresztą Bóg tylko wie. Poznaj-no

wprzód córkę pana Graby: specjalik, powiadam ci, młodziuteniesienieczka!

Jerzy ruszył ramionami. Czas było iść się ubierać: w milezeniu pożegnał dziada i wyszedł.

Zaraz w ulicy spotkał się z kapitanem, który u drzwi lichego zajezdnego domku, zajętego na kwatere przez oszczędność, przechadzał się, jakby na straży czatując, z nieodstępnym kapciuchem na guziku, tabakierką w kieszeni i fajeczką pogryzioną w zębach. Kapitan, jak tylko zobaczył Jerzego, począł go niezmiernie witać, ścisnąć, i dopadłszy, uczepiwszy się jego ręki, nie puścił, aż nawpół gwałtem wprowadził go na chwilę rozmowy do swojej izdebki.

Kapitan stał przez skąpstwo nietylko u żyda, ale że stancje były drogie, z żydem razem. Gdy weszli do małej izdebki, pozrucano z tapczana książki żydowskie, żupany i spodnice, garnki i miski, a żeby gościowi uczynić miejsce.

— Wie pan co? — rzekł kapitan niezmiernie się kłaniając i nachylając Jerzemu do ucha — wie pan co to się święci? Daj mi pan słowo honoru, że nikomu nie powtórzysz, co mu powiem.

— Chętnie.

— Wszak to prowadzą pana koniuszego na marszałka!

— Tak? — spytał Jerzy obojętnie — a! to dobrze!

— Zapewne, że dobrze. O! ma pan pierwszą nowinę naszych wyborów.

— Bardzo się z niej cieszę; lecz dlaczegoż to ma być tajemnicą?

— Tsy! właśnie żeby to panu wyłożyć i jeszcze z jednej przyczyny, chciałem z panem dobrodziejem po-

mówić. Dla powiatu wielkiej to wagi rzecz, żeby obrano pana koniuszego. Mogłeś się pan dobrodziej dowiedzieć o tym zamiarze z boku i szepnąć staremu co się święci, a to potrzeba koniecznie, żeby on o tem nie wiedział.

— Czemu? — spytał Jerzy.

— Hm! czemu! bo nie zechce być; a jak go już obiorą, to musi.

— Ale dlaczegoż ma nim być koniecznie?

— O! to długoby o tem mówić, a nie wiele słuchać: rozumie pan dobrodziej, to interes ogólny. A teraz druga rzecz: mogę z panem mówić otwarcie?

— Jak najotwarciej, jeśli laska.

— Otoż co jest: jeśli pan postąpisz sobie wedle rady szczerých swoich przyjaciół, może się pan tu u nas pięknie ożenić. Niech pan panny Ireny z oka nie spuszcza.

— Daruj kapitanie, że się na ten projekt oburzę — zawołał Jerzy. — Mało znam pannę Irenę, żenić się nie myślę jeszcze i projektów nie robię. Jeślibym zamierzał kiedy ożenić się, to z przywiązania.

Kapitan pomyślał i wydmuchnął fajkę w oczy przechodzącej żydówce.

— Więc pan powraca do Warszawy? — spytał.

— Zapewne, w tych dniach.

— Po co? nie lepiej żeby tu osiąść przy panu koniuszym?

— Tu także nic mnie nie nęci.

— Sam pan dobrodziej, nie pomnę, czy może szanowny dziad pański mówił, że dobra wielkopolskie tak jak nie należą do pana?

— To prawda.

— Czemużby tu u nas pracą i staraniem nie dorabiać się majątku? Tu w Polesiu, panie, tylko majątek

robić! Choć to piaseczek, ale od czegoż woły? od czego wódeczka? a smoła sobie, a owce sobie; wydatki żadne: grosz co wszedł, nie wyjdzie. Wie pan co, ja nawet dla wstrzymania pana w tych stronach...

— Bardzom panu wdzięczny, ale cóż za powód zajęcia się mną?

— Panie dobrodzieju! — rzekł ściskając i rozplywając się kapitan — z pierwszego wejrzenia, szacunek, przyjaźń, zresztą sądź pan jak chcesz. Ja panu stręcę dzierżawę doskonałą, majątek tani, a co się tyczy wypłaty pieniędzy, biorę na siebie; pan mi tylko zapłaci procent.

Jerzy zdumiony wstał i odparł dość zimno:

— Nie mam prawa ani żądać takiej ofiary, ani jej przyjąć.

Kapitan gwałtem posadził Jerzego na tapczanie.

— Posłuchaj pan dobrodziej: nie chcesz wierzyć, że człowiek człowiekowi powinien i może uczynić dobrze, gdy go to nic nie kosztuje nawet; he? pan mnie masz w podejrzeniu?

— Daruj pan, ale to tak dziwne zajęcie się moim losem...

— No, mniejsza o to, może ja w tem mam jaki i swój interes.

— Przyznam się panu, że nie rozumiejąc o co chodzi, w żadną sprawę wdać się nie mógłbym, póki jej głębi nie dojrzę.

Kapitan się zawahał, podrapał.

— Wie pan co? — rzekł — daj mi pan słowo tylko, że nie odjedziesz nie widząc się ze mną; proszę o to.

— Zgoda na to.

— Na balu pan będzie?

— Idę z moim dziadem.

— Jako! i pan koniuszy się wybiera? a no! to i ja! — zawołał kapitan. — Hej! Grzesiu! frak i buty żytomierskie!

Jerzy pożegnał niepojętego kapitana i wymknął się do siebie. Stał razem ze starym i młodym Grabą. Oni się właśnie zdawali nad czymś naradzać, gdy Jerzy wszedł zamyślony, smutny i taki, że gdyby go w tym stanie ujrzeli dawni towarzysze, posądzićby go musieli o ogromną przegraną w karty lub co gorszego nawet: bo dawniej nie bywał nigdy w tak posępnym i strasznym humorze.

Stary Graba, jak zawsze, miał na czole pogodę uczciwego człowieka, której nic zasępić nie może; wszakże więcej trochę wzruszony, trochę rumiany, w oczach miał jakby ostatni konający promyk niedogasłej namiętności, jakby łzę nie zaschłą jeszcze.

Smutno coś mówił do syna: syn słuchał z uszanowaniem i pokorą.

Jerzy przeszedł na palcach, nie przeszkadzając rozmowie i posunął się do swojej izdebki, chcąc tylko ubrać się co najprędzej.

— Pan będziesz na wieczorze? — spytał go stary Graba.

— Będzie z moim dziadem — odpowiedział Jerzy.

— I mój syn także.

— A pan? — spytał Sumin.

— A ja! ja — trochę tajemniczo i zmięszany rzekł Graba — ja, może tylko na chwilę lub całkiem nie.

— Czyż i taką zabawę pan potępiasz?

— Potępiam? nie. Młodym jej potrzeba, starym także większe zgromadzenia, choć nie tańczące, są zbawienne dla zmiany myśli, dla spotkania z ludźmi, ze-

branymi w społeczność i stanowiącymi wcale co innego od pojedynczo wziętych; ale ja mam moje powody, dla których może nie będę. Bawcie się dobrze za siebie i za mnie!— dorzucił smutnie i uśmiechając się, wyszedł nagle.

X.

Jerzy do Edmunda.

Zmienił się człowiek, zmienić się musiał zapewne i sposób pisania: bo mowa i pismo muszą malować tego, od którego pochodzą. Daruj mi, ale już dawne listy moje, wesole i puste, dziś się powtórzyć nie mogą; i jam inny daleko: tybyś mnie nie poznał, tybyś się zaparł mnie może. Dawno nie pisałem do ciebie, a czuję potrzebę wylania się przed kimś. Tyś nie tak obojętny, nie tak bez serca jak inni, do którychbym pisać, dał się na pośmiewisko: więc znowu piszę do ciebie, Munciu, i nie spodziewam się. żebyś mi odpowiedział szyderstwem.

Nie pamiętam o czem ci donosiłem w liście ostatnim: mniejsza już o to. Wiesz przecie, że od dni kilku w powiatowym miasteczku, powinienbym napisać od kilku miesięcy, bo te dni krótkie tak są odmienne od dawnego mojego życia, iż się zdają o całe lata od niego odległe.

Znasz z moich listów ostatnich tajemniczego pana koniuszego Sumina, równie sfinksowatego kapitana, zanego Grabę, z którym jestem ciągle prawie, i całe tutejsze towarzystwo: naszkicowałem ci je w kilku moich listach. Niedawno mieliśmy bal w miasteczku, na który

zjechało się mnóstwo osób. Irena królowa, królowała jak wszędzie, nie dziwacznością swoją, choć ją kobiety wszystkie zowią dziwaczką, ale pięknnością, rozumem, urokiem nieopisanym. Mój dziad przy niej zupełnie był podobny do kwoczki, co nad jedynem kurczęciem skrzydła roztacza: tak nad nią czuwał, tak ją sobą osłaniał, tak bronił do niej przystępu, zwłaszcza mnie. Doskonałym manewrem opiekuńskiej strategii starał się odwrócić namiętność moją, której się domyślał, na inny cel. Wysilał się na zawiązanie znajomości między mną a piękną na podziw i rozpieszczoną panią Grabową, która ma bogatą córkę na wydaniu.

Pani ta, nie mając zapewne pod ręką w tej chwili hołdowników, mnie, jako dość dobrze mówiącego po francusku i z niezgorszą manierą, przyjęła bardzo wdzięcznie, ale nie pokazując wcale córki, i hołdy zatrzymując dla siebie samej. Co do mnie, ta dojrzała, choć cudna piękność, wcale mi się nie podobala: jestto coś nie naszego wieku, nie dla nas stworzonego, a tak delikatnego, tak nieszczęśliwego, tak puszgowatego, że lękać się potrzeba, by zbyt mocne westchnienie nie zabiło jej, nie wstrzesło nią jak grom! Ręki dotknąć ani myśleć!

O! ja wolę Irenę!

Trzeba ci było ją widzieć w gronie młodzieży, która wkoło niej lata, snuje się, ciśnie, tłumi: spokojną, wesołą, wspaniałą, śmiałą, pewną siebie, i wymierzającą ostre prawdy w oczy paniczom, z których każdy prawie, wplątawszy się zuchwale w rozmowę z nią, odchodził zbity na miazgę. -

Dla mnie nie było miejsca w tem zaczarowanym kole: dziad mój tak zręcznie ukartował rzeczy, że pani

Grabowa zajęła się losem moim na cały wieczór. Napróżno chciałem się jej wyrwać; musiałem trzymać flakoniki, biegać za służącymi, tańcować z nią (bo mimo słabości tańcuje z szalem): słowem *faire une cour assidue*, pomimo, że się w tych okowach wściekał. Jestem z natury i z nałogu grzeczu; greczność to ta moja, głupia greczność, splatała mi tak potężnego figla. Ani na chwilę odstąpić jej nie mogłem; oczyma tylko, sercem byłem tam przy Irenie; ciałem tu mnie przykula przyzwoitość i greczność do roznerwowanej pani, która wynagradzała moje nadskakiwania, malując mi swój stan chorobliwy i wszystkie nieszczęścia swoje.

Nareszcie nierychło bardzo wyrwać się potrafiłem z rąk jej, gdy znużona i osłabiona odjeżdżała; odprowadziłem ją do karety, wsadziłem, zapakowałem, zamknąłem i pędem pospieszyłem do Ireny. Irena spojrzała na mnie prawie z pogardą: z jej wejrzenia doinyśliłem się, że dziad mój musiał mi się przysłużyć jak zwykle.

— Mile spędziłeś pan wieczór? — spytała z niejakim szyderstwem.

— Mile, czy nie, ale to pewna, że nie tak jak chciałem i jakem się spodziewał — odpowiedziałem.

— Owszem, wszakżeś pan podobno prosił dziada, żeby go poznał z tą panią?

— Ja! — wykrzyknąłem, porywając się — ja prosiłem!

Spojrzała na mnie i szepnęła cicho:

— Albo pan, albo koniuszy, gracie doskonale komedję!

Nie powiedziałem słowa więcej; obarczać dziada nie chciałem, choć stary filut wyrządził mi piekielnego figla. Irena całkiem już była inaczej ze mną: po chwili bardzo obojętnej rozmowy, wstała, narzekając na znużenie i znudzenie, i rzuciła mnie w rozpacz. Odprowadziłem

ją tylko oczyma, i zaraz za nią chciałem uciekać z tego wieczora; w progu spotkałem kapitana, który zatrzymał Irenę i rozmawiał z nią żywo.

— Co to za nieoszaczowany człowiek ten pan koniuszy ze swemi figłami — mówił właśnie do Ireny, mnie wstrzymując za rękę — nie wiesz kuzynko, jak się zręcznie panu Jerzemu przysłużył!

— Panu Jerzemu?

— A tak! rzucił go na pastwę pani Grabowej, stary filut! i jeszcze wmówił we wszystkich, że to na własne jego uczynił żądanie; a to po prostu tylko, że chce, aby się tu pan Jerzy z uami znudził, i powrócił co prędzej do swych interesów w Wielkopolsce... Dobry, pocziwy koniuszy, co to za serce, co to za troskliwość! Radby go co najprędzej wyprawili, tak się lęka, aby tu nie zagrzązał i nie zaniedbał pilniejszych spraw. A! boć to dobre wszystko, ale interesa przedewszystkiem...

To wypowiedziawszy, skłonił się odchodzącej Irenie, a mnie zatrzymał.

— Pan widzisz — szepnął mi na ucho — że kuzyneczka czegoś w złym humorze! hę? Jeszcze jak ją zuam, taką ją nie widziałem. Coś to jest! ej! coś jest! gdybym był młodym jak pan, tobym się domyślił. Nie odjeżdżaj pan, nie odjeżdżaj! kto wie, co to się święci?!

I puściwszy mnie, zniknął w tłumie.

Aleś jeszcze za drzwi nie pospieszył przejść, gdy stary koniuszy pochwycił mnie arcy-serdecznym uściśkiem.

— A co u kroćset fur bataljonów djabłów! — zawołał — ty się Jurku myślisz wynosić ztąd bez wierzery, głodny? będą ci się cygani śnili! Nie wart byłbyś imienia polskiego, gdybyś mógł spać z próżnym

zołądkiem. Wstydź się! wstydź do kroć sto tysięcy zajęcy! chodź ze mną: ja ci się tak popsuć nie dam. Ale tyś widzę smutny i zamyślony! he! już? o pięknej pani? a prawda, że piękna? ha! ha! oj łotr! łotr!

— Piękna pani, dzięki koniuszemu dobrodziejowi, pięknie mnie też wynudziła.

— Tere-fere-kuku! strzela baba z łuku! Kto nie pracuje, nie ma: nudź się! Pamiętaj o córce: chcesz córuni, podobaj się wprzód matuni!

— Ale zlituj się, panie koniuszy, daj mi pokój z córką!

— O! o! patrzno go! kiedy mu najlepiej radzą, ten Spartańczyk odpycha radę. Znamy was ptaszki! No! chodźno jeść! chodź!

Weszliśmy przez bufet do tajemniczej małej izdebki, do której nie bez jakiejś ceremonji dziada mojego puszczono, a z nim i mnie. Był to dla profanów zamknięty przybytek... gry.

W zadymionej, szufladkowatej, długiej ciupce, jedni jedli naprędce, drudzy zielony stół obsiadłszy, grali w djabelka. W puli było tysiąc, może półtora tysiąca dukatów. Wiesz jak grać lubilem: nie powiem, żeby widok gry dla mnie wyposzczonego, com dawno już nic, prócz marjasza dziadowskiego, nie widział, nie był pojętny; coś mnie na widok grających połechtało, wzruszyło i namiętność się odezwała. Tymczasem dawano jeść, a dziad mój, wzięwszy mnie pod rękę, zbliżył się do stołika, i jakby kusząc, poznawał z kolei ze wszystkimi graczami, a od niechcienia niekiedy napomykał:

— Co? nie zagrasz?

Czynił to pytanie, jakby mnie wyzywał; w oczach jego było coś niepojętego: i wstręt, i niecierpliwość, i

jakaś pasja niezrozumiała dla mnie, ale gwałtowna, choć się ukrywała.

Przy wieczerzy podpoił mnie stary doskonałym węgrynem; kazał z niesłychaną rozrzutnością dać jeszcze na dobitkę szampauna, i sam pił ze mną jak piasek. Wiesz, że i ja nieźle piję, ale on leje w siebie, jakby mu nigdy do głowy pójść nie mogło. Ani poczerwieniał, ani pobladł, ani spieszniej, ani powolniej mówić nie zaczął, a jednak zachęcając mnie, wypił na siebie, i wypił sumiennie, ze sześć butelek wina, mnóstwo wódki i portu. Nakoniec, widząc mnie jeszcze nie pijanym, kazał podać ponczu, i podchmielonego dobrze zmusił prawie do gry usiąść. Napróżnom mu się opierał; opierałem się wreszcie słabo: stare nałogi głośniejszy i silniejszy były od świeżo rozbudzonego rozumu. Wkrótce osoby przytomne w kłębach dymu, poczęły mi się niezrozumiały zwijać; pijany zasiadłem do djabelka z kilkudziesięciu dukatami, a dziad, jak szatan kusiciel, stojąc za mojem krzesłem, wsunął mi do ręki rulonik dukatów, szepcząc:

— Do spółki.

Ty wiesz, Munciu, jak gram szczęśliwie: wprawny, choć podchmielony i ciągle dolewany, bo dziad wołając: — jak mnie kochasz! — poncz ciągle dawał a dawał, wkupiwszy się do djabelka, zawzięcie grać począłem. Przeciwno wszelkim prawidłom, koniuszy zachęcał do ogromnych wystawek i długiego ciągnięcia; ale szczęście czy nieszczęście chciało, żebym pomimo tego wszystkiego miał passę niesłychaną: za każdym razem przechodziłem po pięć i sześć razy, i w końcu gry znalazłem przed sobą około dwóch tysięcy czerwonych złotych. Byłem już ogromnie pijany, tak, że ledwie na nogach

mogłem się utrzymać. Koniuszy, jakby litując się nademną, zaproponował świeże powietrze, i wsadził do swojego powozu.

Spodziewałbyś się tego po zdrajcy?

Spitego, ogłuszonego, zawiózł mnie, zgadnij dokąd?... do Ireny.

Chciałem się cofnąć z pokoju, ale stałem już naprzeciw niej, stałem jak winowajca pod pręgierzem. Koniuszy zdawał się tryumfować, zacierał ręce, śmiał się, przeproszał, gadał, kręcił się. Ja stałem w progu, ale wytrzeźwiony nagle, cudownie, choć mi się trudno było na nogach utrzymać, schwyciłem się za poręcz krzesła, i czułem jak z rozpacz, z krwawej boleści, dwie łzy pociekły mi po spieczonej twarzy.

— Ale siadaj-że, Jurku, bo ktoś nie widzi, że ci się trudno na nogach utrzymać! — wołał koniuszy. — Niech-że go pani prosi siedzieć. Wie pani, zuch! jak pije! a! a! a! a i w djabełka gra tego: wygrał około dwóch tysięcy czerwonych złotych! Zuch, pani!

Tak zarekomendowawszy mnie, spojrział na Irenę, której twarz była nad wszelki wyraz pełna pogardy, smutna, poważna, sroga razem.

Ja milczałem, ale chciałem skonać.

W tem szybko weszli kapitał z panem Grabą.

Na widok kapitana, jakby go zimną oblał wodą, koniuszy spowaźniał, stał się niezmiernie grzeczny i potulny, zdawał się czegoś wstydzić. Graba surowy był jak sędzia powołany na sprawę. W szarych oczach kapitana złośliwy uśmiech zwycięstwa się kręcił; po chwili dopiero, niby spostrzegłszy mnie, zawołał:

— A! i pan tu? i pan tu?

Rozśmiał się na całe gardło.

— Cóż-to za nieoceniony dziadnno! — rzekł, ściskając koniuszego, jakby go chciał udusić — oto wzór krewnych! oto opiekun nieoszacowany! Nie widziałem jeszcze, żeby tak kogo wylanem sercem przyjmował, jak wnuka: toż to wie pani, że go poił, ale poił!

Dziad chciał napróżno rozmowę odwrócić.

— Wszak i sam pan koniuszy, pojąc, wypił z dziecięć butelek! Ale głowy, powiniszować!

— I miał-że pan litość potem sadzić do gry prawie gwałtem — dodał kapitan, do dziada się obracając, który tylko nsta zaciął, oczy wytrzeszczył i pięści postukał, jak gdyby się bić zabierał. — Ha! ha! ha! Laska Boża. że się pański wnuk nie zgrał ze szczętem!

Irena, widziałem, z litością spojrzała na mnie, z wyrzutem na dziada, a Graba zbliżywszy się począł coś mówić na ucho, czego nie zrozumiałem, tak byłem nieprzytomny. Z troskliwością brata i przyjaciela, powołał wprowadził mnie z pokoju.

W drodze nie rzekł i słowa, zawiózł, położył w łóżko i odszedł, polecając mi memu Stasiowi, który wiedział dobrze, jak się obejść w takich razach. Nazajutrz rano dopiero, gdym wściekły na siebie i rozpaczający latał po izbie, wszedł mój nowy przyjaciel do pokoju i przymknawszy drzwi starannie, rzekł siadając w krześle:

— Widzę po twarzy i spodziewałem się tego, że pan dzisiaj zgryziony będziesz wczorajszym swoim wypadkiem, mogę powiedzieć nieszczęściem, gdyż ledwie nie tak nazwać można pokazanie się w takim stanie wobec osób, które się szacuje...

— A! nie mów pan o tem! — zawołałem.

— Owszem, mówmy o tem — rzekł poważnie. — Pan trafiłeś tu nieszczęśliwie, i możesz paść niewinną ofiarą

dziwnego zbiegu okoliczności. Wiele pomówićby potrzeba, nimbyś pan mnie zrozumiał.

— Znasz pan — spytał po chwili — przeszłość swego dziada?

— Ja? ani przeszłości, ani jego znać nie chcę... Dziś jadę.

— Powoli, powoli, pomówmy otwarcie. Na co tu ukrywać? Kapitan mówił mi, że nie masz pan dokąd jechać: przyznaj mi się pan, choćby cię to kosztować miało.

— O! zawsze się znajdzie gdzie zginąć!

— Ale po cóż ginąć? — spytał Graba.

— Bo mi życie obmierzło! — zawolałem.

— Na wszystko są lekarstwa.

— Na wszystko, prócz jednego — odparłem z goryczą. — Chcesz pan i pozwalasz, żebym mówił otwarcie? Od pierwszego wejrzenia pokochałem pannę Irene: wiem i wiedziałem od razu, że to szaleństwo, ale oprzeć się uczuciu nie mogę! Wczoraj stanąłem wobec niej w takim stanie, który mnie na wieki w oczach tej kobiety potępić musi. Cóż mi pozostaje?

— Dowieść jej, że to był przypadek, dalszem postępowaniem.

— Uczucie nie rozumuje i wrażenia się nie zaciera. To co wczoraj się stało, jest niepowrotne i niepowrotnie mnie gubi.

— A jeśli panna Irena wie, żeś pan dobrowolnie nie poniżył się tem zbydłęceniem, ani dobrowolnie gry nie szukał?

— Niemniej wrażenie zostało!

— Może litość tylko.

— O! i litość straszna! Kto się lituje, ten kochać

nie potrafi: litujemy się tylko nad niższymi od siebie

— Zbyt gorąco bierzesz te rzeczy, panie Jerzy—rzekł Graba — ale ja, co cię ile mogę uniewinniam, powiem ci jedną prawdę: wszystkoby to nie miało miejsca, gdybyś w życiu miał pewne i niezłomne zasady. Nie gniewaj się, mało cię znam, ale ja zawsze mówię prawdę choćby najmniej znanym. Nigdy nie potrzeba pić nad miarę, choćby dla czyjej przyjaźni; wolę niech się gniewają, niżli ja się mam zbestwić. Po wtóre, godził się grać w karty?

— Jakto?

— Karty są zabawką barbarzyńskich lub zdziecinniałych tylko ludów: zabijają czas, uczą chciwości, ogłupiają, wyrabiają najzgubniejsze namiętności, wdrożają do najszkodliwszego próżnowania. Nie pojmuję gry. Wolno grać Indianom i ludożercom, wolno nawet lazaronom na wybrzeżach Neapolu, ale nam?!

— Pan więc zupełnie grę potępiasz?

— Jako zabytek barbarzyństwa lub cechę upadku.

— Ale to walka z losem! to...

— Tak się wymawiają namiętni: to glupstwo, kochany panie. Im chodzi jeśli nie o wygraną pieniężną, to o wygraną wzruszenia: ale godził się szukać wzruszeń w grze? A gdyby za wzruszeniem potrzeba ci aż zabójstwa i zbrodni się dopuścić, czy i tambyś po nie poszedł? Gra demoralizuje, tak, że niejeden co do niej siadł uczciwym, wstał w kilka godzin potem oszustem. Możnaż, wiedząc jak ona spadła, dobrowolnie w ten ogień się rzucać? Nie! nie! grać nie potrzeba nigdy!

— Masz pan słuszność!—zawolałem. — Daję panu słowo, że grać nie będę więcej.

— I bardzo dobrze uczynisz. Mój Boże! człowiek,

którego życie jest tak drobną kropelką, niedostrzeżonym pyłkiem, danym mu na podniesienie się ku Bogu, miał-żeby trwonić je, na co? na grę!!! Więc zamiast rozpaczać, iść i ginać, potrzeba tylko życie odmienić i stanowczo powiedzieć sobie co uczynić.

Nabrałem nieco odwagi; on mówił dalej:

— Wyrzec się wszelkiego próżnowania. kart, obrócić życie ku jednemu jego celowi: zużytecznieniu go dla braci, dla siebie, na korzyść wydoskonalenia własnego.

— Tak; ale możesz. z rozpaczą w sercu, gdy mi obrzydło wszystko, znaleźć na to siły?

— Potrzeba! Rozpacz jest cechą dusz słabych: kto zgłupiał, rozpacza.

— Nie godził się nigdy zgłupieć?

— A! — rzekł z jakimś uczuciem egoistycznym smutniej i ciszej pan Graba — człowiek człowiekiem: upaść jest rzeczą ludzką; ale podnieść się, to dopiero zasługa, zwycięstwo!

— Radź-że mi pan, dodaj ducha, co mam uczynić z sobą?

— Pracuj! jednym słowem — odpowiedział Graba.

— Trzebaż od czegoś zacząć — rzekłem — od czego?

— Najwłaściwsza dziś dla nas i zgodna z instynktywem usposobieniem naszym — począł mówić — jest to, co u nas się zowie gospodarstwem. Ale nie myśl, panie, żebym ci kazał z bogacać się krwawym potem ludzi: to nie gospodarstwo, to występki! Ja inaczej pojmuję ten rodzaj życia. Można gospodarzyć bez ucisku, rozlewając powoli dokoła siebie dobry byt, oświatę, zdrowe pojęcia obowiązków, można zbawiennie wpływać na lud otaczający; a samemu wieść życie czynne, męskie, i trochę odosobnwszy się od tego, co u nas i wszędzie

zowią światem *per excellentiam*, zbliżyć się myślą do Boga, rozważać do siebie, uczniem do ludzi. Pan nadużyłeś w młodych latach przyjemnostek życia: trzeba żebyś się uleczył z tej skłonności widzenia go ze strony zabawnej a czczej.

Mówił, ja słuchałem, i zważ co za zmiana? Jam sobie dal to wszystko powiedzieć, a co więcej, jam postanowił uczynić tak, jak mi radził. On i kapitan nastręczyli mi niezbyt daleko od Turzej-Góry i od Rumianie (z Rumianą graniczy) majątek wielki, opuszczony, który biorę w dzierżawę. Rozumiesz ty to i wierzysz temu, Munciu?

Ta nieszczęsna wygrana, której połowę chciałem na próżno oddać dziadowi; wygrana, co mi pali dlonie, co mnie może zgubiła w oczach surowej Ireny, stała się za karę węgielnym kamieniem mojej przyszłości. Dziś podpisujemy kontrakt dzierżawny, płacę pieniądze, a w marcu obejmę moje nowe gospodarstwo.

Ireny i dziada mojego nie chcę widzieć więcej: jej nie pokażę się, bo się wstydzę, bo się jej lękam, bo ją kocham; dziad mój, choć dobrze nie rozplątałem dotąd powodów, zdradził mnie, odepchnął; na cóż mu się mam narzucać? Wprawdzie od ostatniego wieczoru jakby go zgryzota sumienia dręczyła: przychodził do mnie, przysyłał, a dowiedziawszy się, że kapitan i Graba czynnie mi pomagają i ja zostaję w tych stronach, mruczał niepokojny, oświadczając się z chęcią pomocy dla mnie. Nie odpowiedziałem mu, bo szanuję siwe jego włosy, ale dałem mu uczuć, że odtąd będziemy obcy dla siebie.

Śmiej się, jeśli ci się spodoba, ja spieszę do mojego (jak to zowią) jurisdatora, ostatecznie umawiać się o dzierżawę. Zapadliśka (tak się zowie dzierżawa moja, i

dobrze podobno się zowie) leżą o milę dobrą od Turzej-Góry, a o trzy ćwierci mili od Rumianej, z którą graniczą. Koniuszy przychodził z tem do mnie, że to błoto, piasek, oczerety i lichota, że pieniądze i czas tracę; widzę, że chciałby odepchnąć mnie dalej, ale trzymam się Zapadlisk odważnie. Stary, jeszcze nie wiem czemu, odpycha mnie od Ireny: ale któż wie, ja jej nie zobaczę może więcej? Graba, odkrywszy co się w sercu mojem dzieje (jak widziałeś, nie tailem się wcale przed nim), pociesza mnie nieznacznie. Jestem pewny, że on i kapitan, a kapitan tylko dla przekory dziadowi, szczerze pomagać mi będą.

Teraz wezmę się pilnie do odkrycia przeszłości mego dziada i rozwiązania mnogich otaczających mnie zagadek. Tymczasem żegnam cię!

Twój Jerzy.

XI.

Edmund do Jerzego.

Bóg widzi, że z listów twoich pojąć ciebie niepodobna, i kaszy, w którą tam wpadłeś, zrozumieć trudno. Dotąd łamię głowę i nie mogę rozgmatwać, jaką ty tam grasz rolę, czemu twój protektor *natus* stał się nieprzyjacielem twoim, jak widać. Pojmuje bardzo, żeś sobie mógł wmówić, iż się kochasz: to się zdarza co dzień, ja sam kilkakroć byłem w podobnem położeniu; ale miłość swoją bierzesz kochanku (pozwól sobie powiedzieć po przyjacielsku) nadto ze strony poważnej, a według mnie, strony poważnej i rozumnej w miłości

wcale nie ma. Miłość rozsądna i chłodna a poważna, to *nonsens*!

Biedny Jurku! pokazuje się, że ty zawsze miałeś podszewkę niemiecką i sentymentalną, choć się z nią kryłeś, jak zrujnowany elegant z podszewką wyszarzanego surduta.

Jakiś ty teraz smutny (wyrażenie grzeczne), moralizujący i zakochany w swoim Grabie, wieknistym kazonodziei, którego ja znieść nie mogę. Przyznam ci się, że z całych twoich dziejów, z tej odyssei poleskiej, jeden epizod koniuszego i kapitana w ciągłej kłótni i uściskach, cokolwiek mnie zajmuje.

Biedny jesteś, Jurku, i z serca mi ciebie żal! Jak ty tam wyżyć potrafisz? coto z ciebie będzie? Życzyłbym ci z całej duszy, żebyś dostąpił szczęścia posiadania w dożywotnią przyjaźń twej królowej Ireny, ale mi sumienie nie pozwala. To kobieta-pani, ty, między nami mówiąc, jesteś trochę mięki: weźmie cię pod pantofel; przytem zarażona sentymentalnością pana Graby; nie zaręczam, czybyście oboje nie kopali na kartofle w ogrodzie, jak się pobierzecie: gotowicie to uczynić dla dania dobrego przykładu! Chcesz mojej rady? — po diabła tobie ta dzierżawa? Miałeś dwa lub około dwóch tysięcy czerwonych złotych: powróciłbyś z niemi do Warszawy; na rok miałbyś zapewnione życie dawne, wesole, puste, szczęśliwe! A nużbyś w ciągu roku wygrywał? ot, pociągnęłoby się i dłużej. Za młodo chcesz kończyć; poczekaćbyś mógł do tych znaków strasznych, które koniec podobny poprzedzać zwykły: łysiny, utraty zębów itp.; naówczas, nie przecze, poraby była zastanowić się surowiej, i ożenić, choćby z jaką ciepłą wdówką lub bogatą kupcowną. Ale cóż? ty teraz dobrej

radę nie posłuchasz: jesteś surowych zasad człowiekiem, skruszony jak kapucyn, topisz się! O! jak mi ciebie żał, jak mi ciebie żał, jak mi ciebie żał! Cóż się stanie ze Stasiem? Możebyś mi go tutaj odesłał? On bez miasta do niczego, w mieście nieopłacony klejnot. Dabym mu (to jest obiecałbym mu) też samą pensję co ty, a z kart u mnie mógłby sobie zebrać grosz nie brzydki. Mój pan Paweł odprawił się, pod pozorem, że pensję nie odbierał. Głupi! któż mu winien? nigdy się o nią dwa razy z rzędu nie dopomniął. A w istocie kradł mnie niemilosierdzie, i chodził w moich rejtrach na Saską Kępę na hulanki.

Ale co to dziś ciebie obchodzi?

Donieść ztąd nie mam co tak dalece.

Lora już opuściła generała, lub też on ją: jedno z dwojga; dostała się w spadku bankierowi ***, który jak jest szczęśliwy kiedy pana generała poi, tak najszczęśliwszy kiedy po nim niedogryzki zbiera. Bankier wzięwszy to wspaniałe dziedzictwo, kapelusz teraz nos więcej na ucho; umeblował dla niej z przepychem apartament: zbieramy się tam na wieczorki. Lora, co mnie dla niej smuci, grywa w lanskiechta: starość blisko! Pójdzie za męża, to nieochybna. Sznuł ci się kłania; powiedziałem mu, że zostałeś kapucynem: cieszy się tem, utrzymując, że sumienie zmusi cię do zapłacenia długów, i bardzo pochwała moralną życia poprawę. Mary powrócił z Paryża, i ułokował się bez sztyldu na Krakowskim-Przedmieściu; jego następcą w Angielskim hotelu bardzo ma kwaśną minę. — Adieu!

Twój Edmund.

XII.

Jerzy do Edmunda.

Mój Boże! jak mi ciebie żal!

Ty się rozśmiejesz z tych wyrazów poczynających list; lecz po przeczytaniu ostatniego pisma twego, przypomniawszy niem życie dawne i porównawszy je z dzisiejszem, nie mogłem się powstrzymać od tego wykrzyknika, który zresztą ty także ze swego stanowiska do mnie powtarzasz. Więc kwita!

Żal mi ciebie doprawdy, i niczego ci już nie zazdroszczę. Czczo i pusto wieje na mnie chłód z waszego miejskiego życia.

Ja siedzę w ciszy wprawdzie, ale otoczony książkami, myślących ludzi towarzystwem niewielkiem, i nie tylko, że dawny nasz nieprzyjaciel czas mi nie ciąży, ale mam go teraz zawsze za mało. On tak leci!

Od ostatniego listu nie widziałem więcej Ireny. Dziad mój, przed rozjechaniem się naszym z powiatowego miasteczka, był razy kilka u mnie, chcąc z sobą zabrać mnie do Turzej-Góry, alem mu grzecznie podziękował i odmówiłem: po cobym tam pojechał?

Graba dał mi domek niewielki w jednym ze swoich folwarków, domek, w którym sam mieszkał czas jakiś; prawdziwie po przyjacielsku obdarzył mnie wszystkim, co życie samotne, jakie prowadzę, uprzyjemniać może. Książek mam podostatkiem: ale nie myśl, żeby to były owe brukselskie wydania francuskich romansów, któreśmy pożyczali u Merzbacha i Sennewalda, żebyśmy o nich mówić mogli w towarzystwach ze znajomością okładek. Zaczynam świat poznawać z innego wcale sta-

nowiska, niemniej poetycznego, a nierównie prawdziwszego i bardziej nauczającego. Mam towarzystwo dwóch Grabów, czasem kapitana, którego chociaż nie lubię, muszę mu być wdzięczny, bo mi wiele dopomógł. Mam strzelbę, konia, psa, lasy, i ciszę, i spokój! Staś zawsze powoli wybiera się do Warszawy; dostał bólu w boku, i utrzymuje, że zdrowie jego wymaga, żeby mnie opuścił, choć z żalem rzuca mnie na tej pustyni: tymczasem oswaja się ze strzelbą.

Domek mój, tuż pod przyszłą dzierzawą, niedaleko także od Rumianej i od Turzej-Góry, stoi w lesie na wzgórzu: kilka chat budników otacza go dokola; po za nami lasy ogromne, szumiące, posępne, dzisiaj dla mnie mile, choć dla każdego z was byłyby bardzo smutne, przerażające jak wygnanie. Trzy pokoiki i składzik z sienią stanowią całe moje mieszkanie; wewnątrz największa prostota: wszystko z prostego drzewa i niewykwintne. Staś jeszcze się nie obył z niczem: pluje i rzuca krzeselkami, jakby je chciał porozbijać na kawałki, posuwa stoly z pogardą; po kwadransie, wpatruje się w pulap z belkami, z rozpaczą i szyderskiem zdumieniem; śmieje się śmiechem Otella na widok sosnowej podłogi, długimi monologami wita kominki i piece niewykwintne: ale przecież nie ucieka. W istocie, daleko od moich dawnych fotelów, wybijanych karmazynowym aksamitem, do tutejszych perkalem pokrywanych krzeseł! Graba dal mi kucharza i chłopaka do koni, bryczkę wygodną (bo mój koczyszek sprzedałem Paliwodzie), i cztery do niej szpakowate mierzyny kupiłem u niego.

Konie tutaj za bezcen: gdybym je doprowadził do Warszawy, zarobiłbym grosz na groszu.

Dni mi przechodzą lekko i żywo: poluję, myślę, czytam, jeżdżę do Grabów, i zdaleka czasem popatrzę na Rumianą, w której być nie śmiem i nie chcę. Raz nawet, zdaleka, zdaleka widziałem ją na koniu powoli brzegami stawu jadącą; ale mnie poznać nie mogła: ja ją tak prędko odgadłem i przeczułem!

Słyszę od kapitana, że koninszy wszelkimi sposobami starał się i pracował, żeby Irenę wyprawić do miasta lub za granicę; ale dotąd mu się nie udało: nie chce się ruszyć ze wsi. Rozumiem teraz to wszystko: chce ją oddalić odemnie, i wyznam ze smutkiem wprowadzie, koniuszy miał słuszość! Koninszy ma serce!

Posłuchaj, jakbyś czytał lub słuchał starego jakiego romansu.

Dawno to już, a bardzo dawno temu, żyła w tej okolicy piękna jak Irena, i mówią, bardzo do niej ze wszech miar podobna Karolina... Była córka bogatych bardzo rodziców, którzy sąsiadowali z Turzą-Górą, których łączyły dawne związki przyjaźni z domem Suminów. Karolina, sądząc z niewielbień powszechnych, dziś już przeszłych w podanie, równie piękną, uroczą, zachwycającą być musiała jak Irena. Wcześniej bardzo straciła matkę, i stary tylko pan podczaszy, jej ojciec, pozostał opiekunem jedynym ślicznego i lubego dziecięcia. Bliski krewny podczaszego (dzisiejszy nasz pan kapitan), naówczas młody chłopaczek, i dziad mój, młody także, paż króla JMci, zarówno zakochani, starali się o pannę Karolinę.

Nie wiem tego dokładnie, jak z tego współzawodnictwa wyrosła między nimi nieprzyjaźń, niechęć, prawie nienawiść, trwająca dotąd: to pewna, że dziad mój

winien zdobyć się na wspaniałomyślność, bo był szczęśliwszym, i pozyskał serce panny Karoliny. Trzy razy ci panowie, pod różnemi pozorami (bo nigdy między nimi o prawdziwym powodzie zajścia mowy nie było) siekli się zacięcie na pałasze: po każdej siekaniu ścisnęli się serdecznie i poprzysięgali sobie przyjaźń wiekuistą.

Kapitan wreszcie widząc, że sam ubogi naówczas i огоłocony z wszelkich przypodobania się sposobów, nie dostoi placu koniuszemu, który swojego czasu był pięknym, żwawym i miłym młodzieńcem (czemu dziś dać wiarę dość trudno): starał się jakimkolwiek sposobem odsadzić i wyrugować współzalcznika.

Stary podczaszy, po staremu niewiele patrząc na córkę, którą jednakże bardzo kochał, sejmikował, pil i procesował się ciągle. Zjazdy po zjazdach napelniały dom jego wrzawą i ściskiem panów szlachty, jedno pod pozorem konferencji, drugie niby dla jakichś imienin, urodzin, rocznic, inkrotowin, ugód, kondessensji; inne z powodu narodowych i religijnych uroczystości: cały rok czyniły prawie nieustanną hulanką. Podczaszy, pułharem witając gości w ganku, żegnając kielichem na stopniu, ani miał czasu wśród obrad, uścisków, przeglądania dokumentów i forytowania sejmikowych kandydatów obejrzeć się na córkę.

Gdy się to dzieje, koniuszy pocichu, ukradkiem dojeżdżał na koniku do Rumianej; i w lipowych alejach, gdy starzy piją i krzyczą, przepędzał z panną Karoliną dni całe, wieczory długie, mając za sobą panią Czerkaskę, daleką kuzynę, rezydentkę i dozorczynią Karoliny. Pani Czerkaska, najlepsza i najpocześciwsza w świecie kobieta, miała tę słabość, że lubiła, aby ją w ręce

całowano: a koniuszy nieustannie końce palców jej cmokał, i nazywał ją łowczanką, co także bardzo jej było do smaku. Tym sposobem zyskał sobie przystęp we wszelkiej godzinie do panny. Kapitan wszystko to wyszedził, stał na straży, czuwał, a gdy się dobrze rozkochali, gdy już pewni zezwolenia myśleli o ślubowaniach, szepnął w ucho podczaszemu co się działo: a wiedział jak rzeczy odmalować, żeby go oburzyć.

Straszny się zrobił rejwach: pani Czerkaska natychmiast wywieziona została z domu, pannę zamknięto w klasztorze, a koniuszemu oświadczone, że jeśli się w domu pokaże, to go stajenni biczami powitają. Stary podczaszy, któryby był wydał chętnie córkę za koniuszego, rozgniewany tem co nazywał plamą swego domu, obruszony podejściem, poprzysiągł, palce złożywszy w obec kilku zaufanych osób, że nie wyda Karoliny za tego, który śmiał podstępnie, zdradziecko, bez jego wiedzy, starać się o nią i serce jej zyskiwać. Prózne były zjazdy, prośby i gorliwe wstawienie się Suminów: starzec został nieubłagany, nawet łzami kochanej córki i jej wyznaniem przywiązania do pana koniuszego, na które się zdobyła, padając mu do nóg. Odpowiedział z brwią zmarszczoną i czołem chmurnem: — *Quod dixi — dixi!*

Może żałował przysięgi pospiesznej i nierozważnej, możeby był chciał ją odwołać: ale nie mógł jej złamać, nawet dla szczęścia córki. Przysięga naówczas była jeszcze przysięgą; dziś wieleby to się znalazło powodów do uchylenia jej!

Wkrótce potem odbyło się wesele Karoliny z podżyłym już starostą... Mój dziad w rozpaczy trzy razy kusił się o wykradzenie panny: najprzód z klasztoru,

potem z domu ojca; raz miał postrzeloną rękę, drugi raz zmuszony był bić się z kozakami, co go ścigali natarczywie, trzeci raz skacząc z muru, nogi połamał. Kapitan czuwał nad Karoliną.

Odbyło się smutne a szumne, oblane potokami wymowy, węgryzna i lez wesele; kapitan i koniuszy zostali sami przeciwko sobie, z wściekłością wzajemną w sercu, z uienawiścią zarobioną latami. Powodu tej niechęci nie mogli i nie chcieli na jaw wyrzucić: ściskali się więc jak dzisiaj, a całe życie szkodzili i uprzykrzali się sobie jak mogli.

Kapitan poszedł do wojska; koniuszy zagrzebał się na wsi, i chciał zagłuszyć w sobie żal, rozpacz, namiętność; znecając się nad niewinną zwierzyną, został zajadłym myśliwcem. Tymczasem umarł podczaszy; wprędce jakoś starosta miał córkę, a matka jej, 'smutna i piękna Karolina, z uśmiechem bolesnym przycisnąwszy dziecię do piersi, umarła. Koniuszy po śmierci ubóstwionej istoty, której zapomnieć nie mógł, cały się poświęcił najprzód pozyskaniu przyjaźni sąsiada starosty, aby się zbliżyć do dziecięcia Karoliny, nad którem potrafił wyrobić sobie opiekę, kapitana nie było naówczas, udało się więc zjednać i przyjaźń starosty słuchaniem opowiadań o roli, którą grał w konfederacjach, i zaufanie jego, pożyczką pieniędzy i opieką nad Ireną. Umarł starosta, a sierota testamentem polecona została dziadowi mojemu.

Przywiązanie do niej, więcej niż ojcowskie może, namiętne, gwałtowne, zbliża się do szalu. Żyje nią i dla niej tylko; w niej widzi jedyny jasny promyk swojej przeszłości, w niej pielęgnuje wspomnienie jedyne.

Pojmujesz teraz, że dla jego przywiązania, tak

gwałtownego, tak silnego, przybycie wietrznika jak ja, wzbudzić mogło obawę. Musiał pracować, bojąc się, żeby okoliczności nas nie zbliżyły, żeby Irena nie dostała się człowiekowi bez zasad, bez charakteru, bez przyszłości, za jakiego mnie, i nie bez powodu uznawał.

To tłumaczy całe jego postępowanie ze mną, i gorliwe wyprawianie mnie z domu, i niechęci, i gniewy jego. Kapitan czyniąc mi dobrze, robił jak zwykle tylko staremu nieprzyjacielowi swojemu naprzekor.

Upojenie mnie i zachęcenie do kart było może tylko próbą, i gdybym się był nie dał tak zwalać, kto wie, stary koniuszy byłby może lepsze miał o mnie wyobrażenie, i dozwolił choć nadziei; lecz trzeba było, żebym się sam zabił przez płochość? Munciu! nigdy nie bądź grzecznym *quand même*: głupia ta grzeczność moja mnie sponiewierała i zgubiła: pokutuję teraz za nią.

Kapitan, który starannie szuka powodów tylko żeby staremu dojeść, robi mi nadzieję, że dziad mój zostanie marszałkiem, co go od Rumianej odciągnie. Jak widzę, kapitan wydalby kuzyneczkę za pierwszego z brzegu człowieka, byle wiedział, że ten dobrze zależy koniuszemu za skórę. Nie inny jest powód tajemnego prowadzenia go na marszałkowstwo i popierania mojej strony.

Koniuszy, jak słyszałem, mocno strapiony i ponury siedzi u siebie; w Rumianej przyjmują go dość oziębło i smutną twarzą; on się gryzie, bo ją kocha. Irena smutna i znudzona, a wyjechać nigdzie nie chce. Moje sąsiedztwo także niepokoi dziada niepomału: zawsze w strachu o swój skarb, żeby się w niegodne nie dostał ręce, tysiącem sposobów chciałby się mnie pozbyć. Nikomu też innemu, chyba jemu, nie mogę przypisać

mnóstwa przykrości, jakie mnie tu spotykają.

Wiesz, że mnie o mało pod ciupasem, tojest od stacji do stacji, nie wyprawiono ztąd nie wiem dokąd, może aż do Wielkopolski. Oskarżony o bezpaszportne przebywanie, miałem ciężkie przejście z policją, i trzeba było poręczenia Graby i kapitana, żeby mi tu pozostać dozwolono.

Uciekałem się do koninszego, jako do krewnego, ale go zawsze w chwili potrzebnej w domu nie było.

Cóż powiesz na to? nie mogę nie mieć jakiegoś rodzaju szacunku dla starca, choć mi tyle dokuczył: każde tak głębokie i prawdziwe uczucie musi go wzbu-
dzać; kapitan choć mi pomaga, ale się do niego przy-
wiązać niepodobna: czuć go żółcią ukrytą, każdy jego
wyraz miodem posmarowany nią trąci, każdy ukłon ją
kryje, każde wejrzenie nią tryska.

Malo jest znowu ludzi, co by potęgą rozumu i serca
tak pociągali ku sobie, jak nieoszacowany stary Graba.
Oto człowiek! powiedzieć można z uwielbieniem, z głębi
serca. Za cóż, jak w każdym życiu ludzkim, i tu jest
robak, co piękny ten owoc gryzie?!

Rozłączenie z żoną podwójnem jest dla niego nie-
szczęściem: nie że niesłusznie rzuca potępienie na niego
(bo w sumieniu czysty z opinią walczy), ale że on uważa
to jako zły przykład, a ją kocha namiętnie, kocha po
młodocianemu do dziś dnia.

Tak jest, ten przed czasem posiwiaty człowiek, za-
kochany jak młodzik dwudziesto-letni, do obłąkania, do
szaleństwa. Jam nie widział tego, bo się kryje, ale
wiem o tem, bo czegoż ludzie o ludziach nie wiedzą?
Przed ludźmi osłania tę słabość swoją starannie. Pię-
kna pani namiętne jego przywiązanie płaci mu wstrętem,

bojaźnią i ledwie nie nienawiścią. Nie wiem czy nie straszniej bolesne jest położenie człowieka, co posiadał skarb i utracił, niżeli tego, co tylko pożądał, a nie miał nigdy. On ją widzi zawsze zdaleka, niepoścignioną, a w myśli poi się i wyrzuca sobie stracone szczęście, stracone może winą własną. Na balu owym widziałem go w kątku ciemnym, z założonemi rękoma, z bladą twarzą, jak ją pożerał oczyma, a lzy blyszczące z pod powiek mu się srebrzyły. Ona go nie widziała; gdyby go zobaczyła, byłaby jak od upiора uciekła. Biedny człowiek! O! ta część jego życia, której surowym i świętym obowiązkiem się poświęca, spływa na rozmyślanie, na zatapianie się w namietności, którą pokonać pragnął, a nie może.

Pokój, w którym mieszkali kiedy byli razem, dotąd zaniknięty, w takim stanie pozostał, w jakim go ona odjechała. Mówili mi ludzie, że nikt tam, prócz niego, wejść nie ma prawa. On się zamyka w nim biedny, pollowa kwiaty, wpatruje się w sprzęty pyłem przysute, i mrze nienasyconem uczuciem. A ona? — ona się pieści, ona się bawi, i ze wstrętem, ze wzgardą, z przestrachem imię jego wspomina. Jestto, mówią ludzie, tak czuła, tak pełna serca kobieta, a nadewszystko tak nerwowa!! a on? — o! to zimny człowiek, bez serca, bez uczucia, tyran domowy!! Wierz po tem sądom ludzkim, wszystkie są trochę temu podobne.

Niewidzialny czuwa nad nią: ona nie wie tak, czyją sprawą, wszystkie drobne życia trudności, te kamyki, na których się człowiek co chwila spotyka, są dla niej całkiem nieznane. Pieszczone dziecko losu, nie domyśla się nawet, czyją ręką usuwa z pod jej stóp wszelką zawadę, i troskliwie ochrania ją od najłżejszego strapienia.

A w zamian? — nic. Jedyną pociechą dla niego to czynne życie, które prowadzi syn, którego wychowuje i którym się cieszy, zresztą sumiennie; bo opinja i ludzie są przeciwko niemu.

Syna tak umiał wychować, że ubóstwia matkę, bo ojciec, żeby jej nic w oczach dziecka nie ująć, wszystką winę wziął na barki swoje. Przypisał swojemu dziwactwu, co mogło ją zniżyć, a żeby Jan, do przywiązania jakie ma dla niej, mógł łączyć szacunek.

Ale czas mi cię pożegnać Munciu! Częściej teraz będę pisywać do ciebie. Listy te są dla mnie potrzebą, rodzajem spowiedzi: a jam pojął, że spowiedź wszelka ma wielkie znaczenie.

To upokorzenie się człowieka wywyższa go nad siebie, podnosi, ulepsza; lecz na cóż teoria spowiedzi tobie, coś się od dzieciństwa nie spowiadał, w którym uczucie religijne zgasło nierozplamienione?

Zamów mi, proszę cię, młocarnię cztero-konną przenośną u Evansa, sieczkarnię i siewnik; pieniądze na ten ważny dla mnie sprawunek przyszlę razem z długiem Szmula i Marego, którym się chcę uiszczyć, równie jak wszystkim, co mi zaufali. Dług to zawsze ciężar: na cóż go dźwigać, gdy się go pozbyć można?

Z a w s z e t w ó j,

Jerzy.

XII.

Jerzy do Edmunda.

Zima upływa powoli w zwykłych klimatowi naszemu przemianach: mrozy, śloty, śniegi, deszcze, szrony. Ty nie wiesz co się to dzieje na świecie, bo w mieście ulewny chyba deszcz na chwilę zwróci uwagę; jam tutaj nawykł już patrzeć w twarz przyrodzeniu, i zajmować się jego zmianami.

Powiesz mi pewno: jestto ostatni zgłupienia stopień! — pozwalam; przecież niezupełnie głupi jestem, gdy przeczuwam, co o mnie ludzie powiedzieć mogą.

Nie mogę się doczekać wiosny i marca, i objęcia majątku, a tak mi pilno pracować! Chcę czynnego zajęcia co najprędzej, i czuję, że mi z niem będzie lepiej.

Położenie moje nie zmieniło się w niczem: ten sam domek cichy i mały nad głową, ci sami ludzie w koło mnie. Staś zawsze z wiosną, jak bociany i jaskółki, wybiera się do Warszawy, czemu ja się nie sprzeciwiam; ale widzę, że mu coś potrosze polowanie smakować zaczyna: kto wie, czy na tej pnielni nie chcąc zamieszkać dla mnie, dla sarn i zająców się nie zatrzyma? Już tylko paroksyzmami przychodzą mu rozpacz, sztyderstwa i narzekania.

Irena zawsze mnie blisko, a niedostępna dla mnie: mój dziad na czatach, ale i bez tej straży jabym tam pewno zajrzeć nie śmiał. Czy ona wie, że tak blisko, czy kiedy pomyśli o mnie, czy jej też przyjdzie do głowy, że w większej części jam tu dla niej? Wiem, czuję to, że pewno ze wszystkich tych zabiegów nie być nie

może, zawsze przecie jam jej winien wiele. Gdyby nie ona, nie byłbym się podźwignął nigdy, nie poznałbym Graby, nie pojąłbym życia, i zmarnował z wami (darnjcie wyrażenie trochę surowe) resztę mojej młodości. Może mi przyjdzie tęskno, samotnie spędzić lata, które dzielą od starości, potem zamrzeć z jednym niedogasłym wspomnieniem, różowym wiaukiem na swej głowie: o! jeśli tak, niechże starość przybywa prędzej, niech przychodzi żywo! Miarkuję się. Graba by mi powiedział, uśmiechając się łagodnie, że nie dla samego serca swojego żyjemy, nie dla tej jednej miłości kobiety, ale dla miłości ludzi, dla wszystkich: okazałoby się, że napisa niedorzeczność.

Kapitan odwiedza mnie często, to jest ile razy jedzie z Rumianej do Kurzyłówki. Jakkolwiek miłe mi są bardzo nowiny z tego miejsca, z ust kapitana wyglądają one jak smaczna konfitura na nieczystej i wyszczerbionej podana miseczce. Ale ja głodny, bardzo głodny i na miseczkę nie patrzę.

Ostatnim razem mówił mi z niejaką radością, że koniuszy, z którym się tam zjechali, ma mine skwaszoną, jakiej nie widział oddawna. Rozumie się, kapitan udawał, że nad tem bolał niezmiernie, że to go dolegało boleśnie. Panna Irena znudzona, smutna, a wyjechać nigdzie nie chce; dopytywała się kapitana o mnie (jeśli nie balamnci): a kapitan umiał, jak powiada, naprowadził rozmowę na wypadek po balu, śmiejąc się zestanu, do którego mnie przyprowadził pan koniuszy.

— Hm! upił się! — zawołał stary gniewnie — albożem mu lał w gardło? Upił się, zwyczajnie młody wissus: jemu aby hulanka, w to graj!

— Już to darnj — odparł kapitan — daruj szanowny,

drogi sąsiedzie, aleście go zameczali prośbami: zwyczajnie po staropolsku, nieprawdaż? jak mnie kochasz! jak mi dobrze życzysz! daj mi ten dowód przyjaźni! i gorzej jeszcze...

Koninszy zagryzł wargi, potarł czuprynę, tupnął nogą, ale milczał; Irena tylko łagodnie na niego spojrzała.

— I że grał to także nie jego winą—rzekł kapitan— jeżeli to winą: wszakżeście go sami posadzili.

— Ja? — spytał dziad, ruszając ramionami.

— Przecież byliście z nim nawet w spółce! Na co to się wypierać? Dziadunio kiedy gościnnie, to gościnnie!—mówił kapitan. — Wszakem sam widział, jakieście mu dawali pieniądze.

Koninszy rzucił się na krzesło, spojrział ostro na kapitana, ale ten przysiadł się zaraz do niego i obsypał go grzecznościami, zaklęciami uszanowania, uwielbienia, czci, weneracji i t. d. Tak mi tę scenę uściskami duszącymi skończoną odmalował sam kapitan, uśmiechając się jak on umie, z podniesieniem jednej strony ust do góry i przymrużeniem szarego zgasłego oczka.

Pytać się miała Irena: czemu tak siedzę samotnie? a koninszy szepnął:

— A cóż? dziwaczy błazen ze złości; ale rychło pojedzie sobie do Warszawy, wiem to: wyprawia go, bo mu już paszport wyszedł.

— Tak — odparł kapitan — aleśmy dali z panem Grabą porekę za niego i zostanie.

— Jaka szkoda! — mruknął stary, tracąc łysinę gwałtownie — nie wiedziałem, że to tak można i że jej potrzebował: byłbym swoją ofiarował.

— Ale o wyjściu paszportu pan wiedział — dorzucił kapitan.

— Myślałem, że wyjedzie, co tu jemu robić?

— Wszakże wziął Zapadliska?

— Tak, ale slychać, że jurisdator się zrzuci; zresztą, po co jemu dzierżawa?

Na tem stało. Ale nazajutrz po odwiedzinach kapitana, z wielkiem podziwieniem mojem nadjechał pan koniuszy. Pojmujesz, że powitanie z mojej strony było bardzo zimne, choć uszanowania pełne. Stary jakby zmęczony walką, miał fizjognomją smutną i napróżno widać usiłował ją rozjaśnić. Uściskał mnie czule, bardzo czule, rozpytywał troskliwie o interes paszportowy i nareszcie spytał po długich okęgach:

— Jak się to tam panu Jerzemu zdaje: dobra Suminów w Wielkopolsce to coś lepszego od Zapadlisk w dzier'awę wziętych? Mam na sercu, żeby cię przekonać, iż nie jestem, jak myślisz, starcem nieużytecznym. Na co ci tu gnić? Bardzo to dobrze i pięknie, że się myślisz usatkwować, ale powracaj do swego.

— Do czegoż powrócę? — spytałem obojętnie.

— No! to się da zrobić: ja pilniejsze długi już popłaciłem — rzekł powolnie, dobywając papiery z bocznej kieszeni surduta i podając mi je.

Cofnąłem się zarumieniony.

— Dzięki — rzekłem — za tę troskliwość, ale żadnej ofiary przyjąć nie mogę. Od pamiętnego mi wieczora powrotu z Kurzyłówki dałem sobie słowo, że nic od paua koniuszego nie wezmę i nie wezmę.

— Bo może waćpan myślisz, do stu par zajęcy, że ja się jegomości chce psim swędem pozbyć? Ot, przekonaj-że się, że to ni mniej ni więcej, trzy kroć sto

tysięcy przeszastanych przez jegomości gotówką zapła-
ciłem.

Oslupiałem: człowiek co w domu o pięćdziesiąt gro-
szy targuje się pół dnia z żydkiem, sygnął piętnaście
tysięcy dukatów na moje dobra wielkopolskie! Uszom
wierzyć nie chciałem.

— Niech dziad będzie przekonany — rzekłem po
chwili zdumienia — iż umiem mu być wdzięcznym, ale
nie przyjmuję nic, choćby nie o trzysta tysięcy, ale o
miljony chodziło. Dzięki zmienionemu trochę sposobowi
życia, potrzeby moje się zmniejszyły: potrafię pracować,
a ofiar nie żądam od nikogo. Bardzo mnie to cieszy,
że nasze dobra wielkopolskie dostaną się w ręce dziada
i chętnie wszystkich praw moich na imię jego się
zrzeknę.

— Tak, panuniu! — rzekł stary — a jak ja je komu
obcemu zapiszę! he! co będzie?

— Chociażby! to już nie moje i dla mnie obojętne.
Grób moich rodziców w parafialnym kościele nie jest i
być nie może niczyją własnością: tam zawsze odwiedzić
go i popłakać nad nim mogę. Wreszcie, nie mam prawa
myśleć...

Spojrzał mi w oczy.

— Jest charakter — szepnął — ale kto wie? hm! —
I chciał mówić, gdy przerwał:

— Panie koniuszy! — rzekłem — mówmy otwarcie,
mówmy bez wybiegów. Ktoby nic nie wiedział, a całe
postępowanie pańskie ze mną przejrzał, miałby o sercu
jego i o nas obn. najdziksze wyobrażenie. Proszę nie
myśleć, że ja do dziś dnia jestem w niewiadomoś
przyczyn wszystkich... Pan koniuszy usiłujesz mnie
odepchnąć od Ireny, jak chciałeś mnie w jej oczach po-

nizyc, abym o niej pomyśleć nawet nie mógł. Lękaś się mnie; dziękuję, przyznam się, to zaszczyt dla mnie: jest czego być dumnym.

Zerwał się z miejsca.

— Kto to panu takie głupie brednie prawił?

— W ostatku, choćby mi i nikt nie nie mówił, domyśleć się nie było trudno.

— Domyśleć się? oho! zjadłbyś Asan kaduka!

— Lecz pan koniuszy dziwne masz wyobrażenie o kobietach, a dziwaczniejsze jeszcze o mnie. Zkądże to uparte posądzenie, że ja mam myśl jakąś?

— Gadaj sobie zdrów! na złe niewiele czasu potrzeba.

— A ja jestem tem wielkiem złem?

— Jużciż pozwól — rzekł cicho, pomrukując — że wielkiego o kochanym wnuczku nie mogłem mieć wyobrażenia, znając jego przeszłość daleko lepiej niż mu się zdawało. A i dziś, kochanie, w tę poprawę życia nie wierzę, jak w wiosnę terażniejszą (był to luty i ciepło nadzwyczajne): będą jeszcze i śniegi, i mrozy, i zawiechy.

Ja zamilkłem, bo obietnice i zakłęcia nicby tu nie nadały; owszem zawinałem się dumnie w moje przekonanie, jak Hiszpan w swój płaszcz kolisty i milczałem.

Dziad mówił długo, jam mu nie przerywał. Wrócił do dóbr wielkopolskich, kusił mnie niemi, ale napróżno długo myślał, myślał, próbował mię na różne strony, ale mu się nie mogło ndać: przed kilką miesiącami byłby mnie tem uszczęśliwił, dzisiaj to dla mnie obojętne.

— Ale cóż sobie waćpan myślisz? — zawołał zniecierpliwiony nareszcie — to jeśli waści panna Irena chodzi po głowie, to jak Bóg miły napróżno!

— Wszakże tam nie bywam nawet.

— To gorzej jeszcze.

Rozśmiałem się.

— Cóż mam począć, żeby było lepiej? — spytałem.

— Jedź sobie do Wielkopolski, bywaj zdrów, i pisuj do mnie na Berdyczów — rzekł stary niecierpliwie.

— Po cóżbym tam pojechał?

— A waćpanu się zdaje, że wskórasz tu siedząc? Nie, nie, nie! zjesz licha! Irena pojedzie ze mną na wiosnę do Ems.

— A ja będę gospodarował w Zapadliskach.

— I z Ems do Szwajcarii, do Rzymu, do Neapolu, bo to dawny nasz projekt.

Westchnąłem tylko i dodałem:

— A ja będę gospodarował w Zapadliskach.

— Gospodaruj-że sobie do kroćset gdzie chcesz! — rzekł natulając czapkę na uszy, i wyskoczył do sieni.

Przeprowadziłem go w milczeniu z uszanowaniem; siadł zły i pojechał drogą do Rumianej.

Wczoraj był u mnie Graba, który ztamtąd powracał; mówił mi o niej wiele, bo ją szacuje wysoko, bo ją po ojcowsku kocha. Powiada, że widział ją smutną: Koniuszy zmusza ją prawie do Ems, do wód, pod pozorem słabości, potem do Rzymu jechać; ale Irena, pomimo silnych nalegań opiekuna i pani Lackiej, coby swe undy rada wozic po świecie, dotąd nie dała się przekonać i zamierza pozostać w domu. Koniuszy w spisku z doktorami i to podobno nie pomaga. O mnie nie było mowy wcale; koniuszy tylko na przechadzce z panem Grabą, wielce się zaperzywszy, wygadał się z tem, że radby Irenę wydać za mąż.

— Oj! opieka — mówił — to wielki ciężar, jeśli się

kocha tego, kim się opiekuje: człowiek ani spać, ani jeść nie może, i gryzie się, że się przyjdzie zagryźć. Gdybym ją wydał za mąż jak chcę i myślę, byłbym spokojny, siadłbym sobie przy nich, polował we dnie, wieczorami odpoczywał przy kominie i czuwał tylko, żeby jej dobrze było na świecie, a pana męża pilnował. Ale ustrzeż-że tu serce kobiecie, bądź laskaw, kiedyś mądry, jeśli nie zajęte, a korci je zająć się; zjesz kroć set djabłów!

Po długich w tym rodzaju objazdkach wypowiadał się wreszcie panu Grabie, że syna jego widząc zupełnie ze wszech miar stosowną partją dla Ireny, chciałby to małżeństwo skojarzyć.

Grabą, jak mi sam mówił, podziękował mu za to serdecznie.

— Dajesz mi pan — rzekł — wielki dowód szacunku i zaufania: powiem to mojemu synowi; ta wiara jaką masz w jego charakterze, jest pięknem dla niego świadectwem. Lecz pozwól — dodał — żebym przeciwko tej myśli zaprote-tował: małżeństwa nie kojarzą się rozumem i rachubą; starzy nasi mawiali, że je sam Bóg w niebie naznacza. Mój syn ma już w sercu przywiązanie, które ja śledzę, na które patrzę z niepokojem ojca, a panna Irena...

— O! jej serce wolne! — zakrzyknął stary — lub jam bardzo winien, jeśli mu się dał zająć. Ale upilnuj kobietę — powtarzał — zjesz kroć set djabłów!

— Wolne, zapewne, ale jeśli dotąd, będąc wolne, nie przemówiło za synem moim, to już przemówić nie może.

— Ale posłuchaj pan, niech-że choć spróbuje.

— On biedak zakochany.

— Zakochany! Znając Irenę, mogąc ją mieć, mogąc

sie w niej zakochać, obrócić się do kogo innego? a to kryminał, panie!

Graba się uśmieł serdecznie.

— Lecz cóż ja na to poradzę — rzekł — na to rady nie ma.

— No! a któż-to taki, w kim się kocha syn pański? Ja tu nikogo podobnego nie widzę.

— Jest to córka ubogich rodziców, wychowanica ubogiej rodziny: o tem dowiesz się pan później.

— No, ale któż-to taki przecie?

Graba nie osądził za potrzebne powiedzieć dziadowi imienia. Urażony koinszy, że śmiano kogoś stawić na jednej linji z Ireną, prawie rozgniewany, okrutnie tupiąc i trąc czuprynę ze złości, odstąpił.

Miarkując z tej bojaźni mego dziada, powinienbym sądzić, że nie jestem całkiem obojętny pannie Irenie, że stary to widzi i nie nadaremnie się obawia; ale go-dziż mi się być tak zarozumiałym?

Nie! nie! są to strachy pocziwego serca, które przywiązanie zaślepia. Irena nie może pomyśleć inaczej, jak z łitością i pogardą o nieszczęśliwym, który stanął przed nią raz w życiu podobniejszy do zwierzęcia niż do człowieka, zbestwiony, nieprzytomny...

Bądź zdrów! przy tym liście odbierzesz pieniądze na opłatę moich długów; odeszlij mi skrypta i napisz do mnie.

Zawsze twój

Jerzy.

XIV.

Edmund do Jerzego

Warszawa, dnia 28. lutego 18...

Odebrawszy pieniądze, długo wahałem się, czy mi się godziło, korzystając z twojego szalu, taki z nich uczynić użytek, jaki im przeznaczyłeś. Kochany Jurku, pozwól sobie powiedzieć otwarcie, tyś doprawdy srodze zgłupiał: któż dobrowolnie, rozmyślnie, nie przymuszony, opłaca długi? Parafiaństwo! zakala dla nas, cośmy cię mieli za towarzysza, a naostatek zły i bardzo zły przykład. Wszyscy potem wierzydiele zechcą, żebyśmy się im uiszczali regularnie, i sądzić będą, że wymagać po nas tego mają prawo.

Chciałem te pieniądze albo położyć u ciebie, albo je złożyć w kasie oszczędności, żeby ci narastały procenta na głodny powrót twój do Warszawy, którego się zawsze spodziewam. Rozmyśliwszy się wreszcie, postanowiłem uczynić jak kazałeś: nie przeszkadza mi to ubolewać nad twym szalem. Szmul powołany do mnie, gdy mu zwiastowałem, że o twój weksel rzecz idzie, wytrzeszczył na mnie oczy ogromne, nie zrozumiał, i pokiwawszy głową, wziął się nareszcie do tego ogromnego ponsowego pugilaresu, brzuchatego jak pan N..., mającego związane wnętrześci znajomą ci czarną, wyszarganą jak sam tasiemką. Włożył okulary na nos, siadł i począł przewracać nieskończoną moc weksłów, które, jakem się przekonał, systematycznie dzielił na trzy wielkie kategorie: weksłów przepadłych i tylko *pro memoria* chowanych, weksłów wątpliwych (na dwie

subkategorje czyli działy rozdzielonych), i pewnych jak złoto. Ty byłeś jeszcze w kategorii średniej, ale już graniczyłeś z pierwszą.

— A wie pan — rzekł Szmul — z tej kieszonki to dopiero dwa razy w życiu mojem zdarzyło mi się mieć pieniądze. Raz, to pan wie, ten jegomość co to się tak ślicznie ożenił; a i pan Sumin może także się ożenił, i pewnie przyjedzie do Warszawy, kiedy wcześniej płaci.

— Nie, nie ożenił się, i nie przyjedzie do Warszawy.

— A dlaczegoż on płaci?

— Co chcesz? ot taka fantazja: zachorował na sumienie.

— Awe! jakaż to piękna choroba — rzekł żyd, kiwając głową. — Co to za szkoda, że nigdy nie można z pewnością wiedzieć, kto ma do niej ochotę. Jakby to dobrze było dla nas! Nu! — dodał — czy to taka mocna choroba, że i procenta płaci?

— Prawne!

Żyd ani słowa nie odpowiedział.

— On wziął sukcesję? — spytał — i pewno wielką?

— Nie! — odpowiedziałem.

— Nu! to może się zrobił nabożny — rzekł do siebie.

— Coś nakształt tego.

Po tej rozmowie rozliczyliśmy się: Szmul zagarnął pieniądze, zwinął pugilares, który znowu złożył na sercu, i prosił mię o przyjęcie listu do ciebie, który ci posyłam przy moim, razem z wekslem. Jest to zřeczne podziękowanie i zalecenie się tobie, na wypadek, gdybyś wyzdrowiał, czego, jak widzę, on się zarówno ze mną spodziewa.

Mary mnie oburzył: zagarnął pieniądze, jakby to było rzeczą w świecie najnaturalniejszą być zapłaconym.

Dziwny człowiek! nie powiedział nawet: Bóg zapłać! spytał tylko:

— *Monsieur le comte de Soumine ne nous arrive-t il pas? hein?*

— *Non, monsieur, il s'est établi à la campagne, dans la patrie de truffes.*

— *Ah! s'il pourrait nous en fournir! elles sont hors de prix.*

W tem go odwołano.

Lora, która jest ze Sznułem w stosunkach od dawna (dziś bowiem nietylko że nie zapożycza się, ale daje drugim na procenta, choć zawsze bierze wszystko, gdy jej co kto ofiaruje, jak gdyby jeszcze potrzebowała... z jedn. j strony garnąc, z drugiej zbierając do kupki), Lora widocznie podbudzoną mając ciekawość opowiadaniem żyda, złapała mię wczoraj w teatrze: byliśmy sami w łoży.

— Czy to prawda — spytała — że biedny pan Jerzy zamieszkuje zawsze na wsi?

— Dłaczegoż zowiesz go biednym?

— A! możnaż żyć na wsi i nie zbiednieć?

— Tak, na wsi, i nie widząc ślicznej Lory — rzekłem z francuską grzecznością.

— O! bez komplementów: ja już w nie nie wierzę, gdy się samemi tylko słowami wyrażają. Cóż! powiedz mi pan co o nim.

— A cóż mam powiedzieć? ustatkował się całkiem, długi popłacił i ma pracować na wsi.

Położyła mi rękę na rękę, i z przymileniem wdzięcząc się, spytała:

— Cóż? zakochał się? ożenił się?

— Nie, podobno, ani jedno, ani drugie.

— Doprawdy ? pewnie ? pewnie ?

— Zkądże ta mizantropja ? — spytała po chwili, a przez to pytanie przeczułem, że Lora gotowa cię posadzać o rozpacz z powodu jej zdrady, a może nawet snuje jaką myśl szaloną, że ty ją tak głęboko kochasz, że mógłbyś... pfe! pfe! tego się domyśl, bo ci napisać nie mogę. Reszta rozmowy z nią była potwierdzeniem tej myśli mojej: *Lora veut faire une fin*. Bankier *** dopeluił tej sumki, którą osiąguąwszy, miała się już ubrać w cnotę. Bliskość chwili wycnotliwienia daje się uczuć niezmiernie; wszakże i ptaszki podobno lenieją i węże zrzucają skórę. Lora teraz jest skromna jak piętnasto-letnie dziewczę wiejskie, surowa, przyzwoita, zaczyna nosić suknie pod szyje (pleć jej wprowadzie ciemnieje) i oczywiście pragnie bardzo pójść za mąż. O! i pójdzie! Jeszcze jaki rok lub dwa dawnego życia: sumka uzbierana postawi ją na stopie wdowy, *qui a eu des malheurs et qui a un reste de fortune*. Wyjedzie na wieś daleko w Mazowsze, może na Litwę lub Żmudź, i stanie się arcy-pryzwoitą obywatelką, o której przyjaźń i protekcją będą się starali sąsiedzi, a student, który ją w rok po ślubie przyprowadzi do grzechu, będzie się miał za Lovelaca!!!

Ale ciebie to już nie zajmuje. Mnie się nieźle powodzi: w karty gram szczęśliwie, jak zawsze. Mieszkam na Krakowskiem - Przedmieściu, na dole, nie daleko Marego: odmień adres, i kochaj pod każdym adresem tego, który się nad tobą szczerze lituje, bo cię jeszcze kocha.

Edmund.

XV.

Jerzy do Edmunda.

Zapadliska, dnia 21. maja 18...

Dawno, kochany Edmundzie, nie miałeś listu ode mnie: nie dziwny się temu, wprowadzałem się na nowe gospodarstwo i poczynalem zawód pracowity. Nie było chwili, żeby myśl próżna chciała się przelać przez pióro na papier. W momentach odetchnienia nie miałem ochoty sięść za stolik i pisać, bo i ręka była znużona i głowa nie do listu, który jest zawsze pracą.

Teraz za to, wzięwszy się do pióra, zdam ci obszerną sprawę z moich czynności, tem bardziej, że idące po moją młocarnię i sieczkarnie firmanki, list ci ten zawiozą; może być bezkarnie długi, bo nie idzie na pocztę.

A zatem uzbrój się w zapas cierpliwości i słuchaj. Inżem się przecie przeniósł do zadzierzawionych Zapadlisk: jest to klncz obszerny, rozległy, gospodarstwo opuszczone, a w istocie materiał wyborny do robienia majątku. Tysiące sposobów mam przed sobą, które mi doświadczeński odemnie wskazują: w jednym folwarku owce, w drugim wielka gorzelnia i browar, w trzecim wyrób smoły na wielką skalę (dozwolony umową) i t. d. i t. d.

Od czasu szczęśliwego dzieciństwa mojego to pierwsza, mogę powiedzieć, wiosna, którą widziałem. Przeżyłem ich wiele, ale się nie przypatrzył żadnej: żyłem tak oderwany od ziemi, a tak przesadzony do sałonu!

Cóż mnie obchodziło budzenie się natury, o którym mogłem się naczać opisów dowoli w książkach francuskich? Dziś z powołania gospodarz, ciągle wystawiony

na powietrze pod gołem niebem, mogłem się wpatrzeć w ten rozświt roku, i czuję jakbym więcej się z niego nauczył, niż z wielu a wielu książek, doznał wrażeń silniejszych, niżeli mi się spodziewał. To podniesienie zasłony na wielkim teatrze miało dla mnie urok początku dramatu, którego rozwiązanie, koniec, o! jakże niepewne! Któż przewidzi, czem się ten rok ukończy? nad czem ta zasłona spadnie, czy nad trupami, czy nad śpiewką wesolą weselnego chóru?

Widziałem schylek zimny smutny, szary, błotnisty, zimny i głodny, już paszy nie stało po obórkach, ludzie łamali rece, patrząc na wychudłe bydelko swoje, marzec się kończył: a wiosny jak nie było tak nie było.

Nareszcie zmienił się wiatr, ociepliło powietrze, lunął deszcz ulewny i z nim skorupa śniegów zchodzić poczęła w doliny w szumiących i rozrywających ziemie potokach. Tej uroczystości dawno już czekały chude bociany chodzące pomiędzy kryniczyskami, gdzie trochę wcześniej widziały zieleni, i gęsi dzikie, i gołębie, które już przyleciały, i czajki smutno krzyżące po błotach, jakby wołały ciepła i wiosny. Spóźniona przecież zjawiała się *prima donna* nagle, niespodziewanie: wody stoczyły się szalejąc z pagórków, błota stężały, roły oschły, łąki zazieleniały, brzezina pękać poczęła, łozy okryły się kotkami i liśćmi; plug i socha poszły w pole.

Rozumiesz ty to wszystko kochany mój mieszczuchu? wąpię, wąpię i bardzo mi znowu żal ciębie. Ty wstajesz od zielonego stolika z uczuciem znużenia, niesmaku, czasem przykrej nienawiści; ja, choć często podrażniony, wracam z zielonych łąk z odświeżoną myślą, z otwierającym się sercem.

To rozbudzenie się wiosny zachwycą mnie; z wia-

trem cieplejszym, z drobnemi szmery i odgłosami wiosny przylatują do mnie wspomnienia młodości i obiadają me czoło. Teskno mi za dziecinnemi laty: ale mam też dziś, czego wówczas i dawniej nie miałem... ich wspomnienie. Porównywał życie moje przeszłe (nie dawniejsze od przeszlorocznego) z teraźniejszym, i widzę, i czuję się podniesionym wyżej.

Wziąłem się czynnie do gospodarstwa. Boże! cóż to na dnie społeczności naszej, takiej jaka jest, widoków wielkich i smutnych! ile to pilnych dla nas starszej braci obowiązków! Radziłem się rozumu i serca, chcąc wszystko wedle nich prowadzić; w wątpliwościach szedłem po rozwiązanie do pocziwego Graby-dziwaka. Praca ogromna i nie tak łatwa jak się zdaje, bo często interes całego społeczeństwa stoi na zawadzie ulepszeniom nagłym: ile rozwagi, ile taktu, ile sumienia potrzeba! Ale wiele też i zaraz zrobić można, bo zaniedbano zbyt wiele. Głędym tylko ścisłą sprawiedliwość: chciał zachować względem ludzi, często nie chciano mi prawie wierzyć, iżbym jej mógł dopełnić: tak niesprawiedliwość stała się zwyczajną, tak weszła w życie i w nałóg.

Lud niezaprzeczenie pocziwy, ale długi ucisk (choć ten nigdy nie miał miejsca wszędzie, tylko wyjątkowo), a raczej położenie fałszywe, popsuło go. Kłamię, bo jeszcze nie wie, czy prawdę powiedzieć mu wolno; kradnie, bo nie poczuł, że ma własność osobistą; opuszcza się, bo się czuje potrzebnym, i wie, że go podżwigną i muszą.

Staralem się zawsze w początku wyjść z jakiejś zasady w mojem gospodarstwie. Nie spuszczałem się na kontrakt dzierżawny, którym mi wypuszczono i ziemię

i pracę ludzi do tej ziemi, postanowilem ściśle obchować, ile mi się od ludzi pracy tej należeć może i nie nadto uie pożądać. Powszechne oburzenie sąsiadów przyjęło moje reformy: a to są ludzie przecie, co dla siebie pragnęliby swobód, gdy drugim odmawiają najpierwszej swobody osobistej i sprawiedliwości.

Lecz oto drugi raz się łapię na ustępie dla ciebie nie zajmującym. Są to pytania, które cię nie obchodzą wcale, którym ty jesteś obcy: dajmy więc temu pokój. Będę ci już tylko pisał o sobie.

Osiadłem w głównym folwarku klucza Zapadliskiego, w *chef-lieu*, leżącym w ognisku dóbr i pośrodku całego gospodarstwa.

Mam dom ogromny, murowany, zrujnowany i widocznie od dawna z rąk do rąk podawany dzierżawcom, nie wiele o niego dbającym: widać to po przerebieniach i opuszczeniu jego. Żona ostatniego podobno wystroiła sobie kilka ślicznych pokoi, które dziś obdarte niemilosierdzie aż do okien, świadczą tylko smutnie o gniewie, z jakim to miejsce opuszczać musiała. Inny dzierżawca w sali na dole zrobił był lazaret dla chorych owiec; inny jeszcze sypał zboże w gabinecie malowanym w herkulańskie tapeczuice, i wieszał chomąty na marmurowych kominkach, a mięso na mahoniowych półkach. Teraz ledwie para pokojów jako-tako mieszkalnych, koło domu jak na dzierżawie: dziedziniec opuszczony, drzewa pocięte, śmiecie i brudy, i co tylko przy rumacji zabrać się dało, aż do żelaztwa przy drzwiach, pozabierano. Wśród spalonego bydłem podwórza, szczątki ogródka kwiatowego pani dzierżawczyni smutnie się wymykają z pomiędzy badylów i śmieci. Płotek z brzoźiny, co go opasywał, zniszczyli stróże, połamały konie.

Stan majątku zbliża się do stanu domu i dziedzina: zważ co pracy! Rano siadam na konia i jadę w pole, bo wszystko się widzi najlepiej własnymi oczyma, a kto się spuszcza na ludzi, temu ludzie źle w końcu służyć muszą, bo pomyślą: on sam nie wiele dba o swoje, na cóż my bardzo dbać mamy? Jadę od robotników do robotników, objeżdżam lasy, dumam jeżdżąc, i często w rozmowie ze starcem więcej się uczę, niżeli z jednej z tych książek, co z ksiąg napisana została. Żywy świat: na ileż-to klamr i pieczęci zamknięta jeszcze księga!

Nigdy nie wyczerpią jej obrazy i obrazki, co się mienia z niej wzięte.

Wracam do domu na chwilę, bo i kolo domu jest do czego zajrzeć; spocznę i ruszam znowu dalej. Wieczorem, pomówiwszy o jutrze, czytam, gram, odpoczywam.

Dawniej muzyka była dla mnie środkiem popisania się; dziś, to rozkoszne dla siebie tylko zajęcie, dziś, to duma z serca płynąca. Mam tu nie lekkie utwory dzisiejszych kompozytorów, pisane dla palców, nie dla uszu, ale całą półkę Mozarta, Haydna, Beethovena... skarby! Czasem odwiedzi mię Graba z synem, kapitan lub kto z sąsiadów: i chwile płyną tak szybko, tak szybko, żebym je rad powstrzymać, gdybym mógł. A wam tak leniwo wlece się czas w mieście! Polowanie mam wyborne i lasy prześliczne, wody ogromne i rybolowstwo jeśli zechcę: słowem, zajęć bez liku, a w nich różnaitość nieprzebrana. Wierz mi, życie na wsi, to dopiero życie! Miasto, to wielka koza, w której się wesoło bawią zamknięci więźniowie, bo pracować nie mogą, bo nie chcą, bo sobą się tylko zajmować muszą, nie mając przed oczyma nigdy nic, prócz człowieka i dzieł jego.

Jestem o tyle szczęśliwym, o ile nim być może człowiek z wielką namiętnością w sercu, ale z namiętnością czystą i szlachetną. Cierpię, ale kocham moje cierpienie, i zanicbył się z niem nie rozstał.

Codzień wyjadę na brzeg lasów po nad granice Rumianej, spojrzę na dwór w dali, westchnę i powracam. Czasem przez moją parzystą teatralną lornetę widzę dziedziniec jej i ją nawet chodzącą wśród kwiatów; widzę powozy ulicą ciągnące ze dworu i do dworu, posłyszę o niej; resztę wyobraźnia sercu dostarcza. Radbym być godzien tej kobiety, a czuję, że nie jestem. Czyż wiem, potrafieli ją wytrwać w postanowieniach? czy jak ów słoń, długo spokojny na uwieży, nie dostane kiedy szalną, i nie zapragnę gwałtownie zerwać więzów moich (jeśli to więzy!), a uciec w dawne dzikie życie? Nie! nie! to być nie może: podnieść się pięknie, spaść byłoby okropnie, występnie, szkaradnie. Daruj mi, że wasze życie nazywam upadkiem: takiem ono jest niechybnie, takiem jasno i silnie wydaje mi się dzisiaj.

Ażebyś miał wyobrażenie jak niespodziewane osobliwości spotykam co krok w tem zaczarowanym Polesiu, które mi się w początku tak dzikiem zdało, muszę ci opisać jedno spotkanie istotnie zadziwiające. Uprzedziłem cię, że list będzie długi, nie ma więc zdrady z mojej strony: ty lubisz powieści lekkie, a to powieść.

Kilka dni temu jechałem właśnie na granice Rumianej drożyną leśną, mało komu znaną i nie uczęszczaną, która ciągnie się obok starych wałów zamczyńska, dziś już porosłego lasem ogromnym. Piękne to miejsce, bo wały dotykają z jednej strony do Słuczy, co je podnysują; zielona darń przykryła je kobiercem, a stare dęby szumią na wierzchołkach. Środkiem jest

plac, który ktoś kosi jak zwyczajną łąkę; rośnie na nim leśna trawa, pełno macierzanki, czombru i różnych wonnych roślin. Zawsze się tu zatrzymać muszę lub przejeżdżam powoli, aby się miejscen przypatrzeć; teraz mu jeszcze wiosna w całym blasku dodawała wdzięku: drzewa miały tę świeżą barwę majową, którą tak rychło tracą, liście ich pachły, woda szumiała biegnąc przez małą grobelkę, tysiące ptaków zwijały się czynnie około swojego gospodarstwa, świergocąc, stukając w drzewa, znosząc trawki, puchy, gałązki i robaczki do założonych gniazdek.

Na zakrecie drożyny spotkałem idącego od rzeki ze dzhanem w reku średnich lat człowieka, kierującego się ku walom. Że tu mnóstwo budników i tak zwanej szlachty mieszka w lasach, nie zdziwiłoby mnie wcale spotkanie, gdyby nie powierzchowność niepospolita przechodnia. Słuszny, silny, barczysty, czarno zarosły, nie stary jeszcze, miał mine tak hardą, postawę tak piękną i szlachetną, rysy twarzy tak uderzające, że mimowoli spytać go musiałem, będąc na swojej ziemi i mając do tego prawo:

— Mój kochany, zkąd to jesteście?

— He? — odparł, zastanawiając się powoli i stawiając dzban; spojrzał mi oko w oko z tą śmiałością, z jaką równy spotyka wejrzenie równego sobie człowieka. — Co pan mówisz?

— Chciałem spytać czy tutejsi jesteście?

Suknię miał bardzo prostą, na nogach łapcie skórzanemi paskami przytrzymane, kurtkę sukienną, kosszlę grubą, krzesiwo i nóż u pasa: a jednak znać było i z miny i z mowy, że to był strój niewłaściwy jego stanowi.

— Oddawna tu mieszkam — odpowiedział mi spokojnie z pół-uśmiechem — a pan?

— Ja jestem Zapadlisk dzierżawca.

— A! cieszę się, że pana poznaję: wiele już o nim dobrego słyszałem — rzekł czysto po polsku, i sklonił mi się bez żadnej zbytniej pokory, owszem z pewnym nawet protekcyjnalnym tonem; ja jemn wzajemnie. Wszystko to, i figura, i obejście poczęły mnie mocno zastanawiać.

— Któż pan jesteś? — dodałem.

— Ja? ja jestem obywatelem tutejszych stron, a bratem pańskiego jurisdatora.

— Brat pana Dolskiego?

— Do usług, Dolski, Piotr Dolski.

— Jakto? brat rodzony.

— W tym stroju? w tym stanie?

— W stroju i w stanie, który mi się podoba, który sobie obrałem i w którym mi bardzo dobrze — odparł, wziął dzbanek i poszedł ku wałom; a ja nie mogąc gonić go, ani mu się chcąc naprzykrzać, pojechałem dalej, z zaostrzoną do wysokiego stopnia ciekawością.

Za powrotem do domu rozpytywałem ludzi o niego: wszyscy go znali, ale nikt o nim nie chciał mi mówić szeroko, może przez obawę, aby panną swojemą w osobie brata nie chybić. Musiałem poprzestać na ogólnikach. Droga często mię wiodła około wałów, ale go już tam spotkać mi się nie trafiło. Poszedłszy dni temn kilka dopiero na toki, zetknąłem się z nim najniespodziewaniej w lesie. Ubrany był jak prosty budnik: w łapciach, z torbą borsuczą, strzelbiną na plecach i psa miał z sobą.

Oba myśliwi, poczęliśmy rozmowę na stopie równości

od gawędy łowieckiej. Ze zdumieniem znalazłem w nim człowieka oświeconego, czytanego, dziwnie poetycznej wyobraźni, lecz z sercem skrwawionem. Lasy wykołysały w nim myśli dziwne, do których przywykły, nie czuje już ich oryginalności; ale dla mnie świeżego przybysza ze świata, każde niemal słowo tego dobrowolnego wygnańca było zadziwiające.

Nie skryty wcale, przy drugim czy trzecim spotkaniu, potrzebując widać wynętrzyć się, spoufalil się i przylgnął do mnie. Sądzę, że dobra sława, której tu u ludzi niewielkim ją nabywszy kosztem, używam, wiele mi do zrobienia tej znajomości dopomogła.

— Pozwól pan — rzekłem do niego, gdyśmy siedli odpocząć — spytać się, jeśli można, co tu robisz w głębi lasów, i nie na takim społecznym stanowisku, do jakiego byłeś przeznaczony?

— Owszem, zupełnie jestem na swojem miejscu — odparł mi — jest mi tak dobrze. Nie dziwi mię, żeś pan ciekawy wytłumaczyć sobie moje położenie: nie robię tajemnic, dam mu się poznać. Od dzieciństwa wszyscy mnie uzuali dziwakiem; zdaje się, że nim umrę. Cała rzecz, że jak drudzy kochają bogactwa, wygody życia, zbytek, tak ja lubilem prostotę, ubóstwo i samotność. Brat i ja byliśmy ubodzy; dobra te, które pan od brata mego zadzierżawiłeś, nie są nasze spadkowe: nabył je później bogatem ożenieniem; w dzieciństwie szczupły szlachecki mieliśmy fundusik, a ja go całkiem, bez żadnej z mojej strony ofiary, odstąpiłem bratu. Bylbym może poszedł bitym gościńcem szlacheckim, to jest przeżułał młodość, przegospodarzył wiek dojrzały, przeziwał starość, lub obrał jeden z tych uprzywilejowanych stanów, w których zwykle panowie szlachta

wygodnie próżnują; gdyby mi Pan Bóg, czy pan łoś nie rzucił na drodze uczucia, co mnie, ot, jak pan widzisz, zwichnęło: a na tem zwichnieniu możem i zyskał. Nie trudno zgadnąć co to za uczucie — rzekł z lekkim westchnieniem — jest to słabość, na którą, jak na żoły wszyscy przechorować muszą. Muie te żoły — dodał, usiłując przybrać ton wesoly — nie wyrznęły się łatwo ani prędko: zostały wewnątrz i okuławiałem. Wiesz pan już, żem się zakochał...

— Nie musiało to być na dobre, kiedy dziś tak lekko pan o tem mówisz.

— Lekko mówię, ale ciężko czuję. O! panie kochany, nie urągaj mi. Kuła uwięzła w boku i siedzi: nikt jej nie wyjmie, aż ciało się rozsypie. Byłem ubogi, a pokochałem się w dziewczęciu, niewiele odemnie bogatszem, a daleko więcej niż ja żądajacem. O! bo miała prawo żądać wiele, tak była piękna! tak piękna! mogła się sprzedać tak drogo! Zakaty, jabym sam dał był za nią miljony, gdybym je miał. Składałem u nóg jej serce na dłoni, ale serce samo; ofiarowałem jej moje ubóstwo pocziwe i parę rąk pracowitych; zaręczałem, że ubóstwo to nie tak straszne, jak je małują ludzie. Ona się go bała nadewszystko, jak najwyższego zła na ziemi. Biedne dziecko! jej tak potrzeba było zabawek, cacek, błyskotek, pochlebców, gwaru, szału i okłasków, jak rybie wody. A jam jej tylko mógł dać chatkę ciepłą, wiejski cienisty ogródek i życie spokojne w cieniu lip starych, które wówczas kochałem.

Rozśmiała się z ofiary, choć trochę, troszeczkę przywiązana była do mnie: razem spędziłismy dzieciństwo nasze! ale z uśmiechem i łzami razem odpowiedziała mi:

— Ja drzę, mój Pietrusiu, na samo ubóstwa wspomnienie: mnie chłodno na myśl twej chatki i ogródka, w którym będzie więcej pokrzywy niż róży. Ja pracy nie cierpię, ja wygod potrzebuję, ja się chcę bawić, ja muszę mieć pałace, sługi, konie, karety i piękne stroje. Wołałabym je z twej ręki, ale nie mam siły twego ubóstwa podzielić. Miałbyś ze mnie smutną, znudzoną, nieszczęśliwą żonę, któraby ciebie zagryzła.

Ona mnie kochała! kto wie, może kocha mnie jeszcze, ale wyżej serca była u niej przewrócona główka, śliczna główka, z której patrzała para oczu tak wymownych! Ah! czemuż te oczy tak nielitościwie kłamały, obiecując, czego serce nie dotrzymywało!...

Znękany, odszedłem z pewną dumą. Ona poszła za mąż za bardzo bogatego człowieka, obywatela i pana trzech wiosek: i cóż? przetańcowali dostatek, kwaśno przeżyli z sobą lata marzonego szczęścia, i rozstali się w końcu. Kto wie? może los pomścił się za mnie, może jej przyszło na myśl nieraz, że nasze ubóstwo pewniejsze było od tamtych bogactw. Dziś, biedna kobieta, bez przyszłości, bez rodziny, żyje na łasce ludzkiej.

Zrozpaczony, poszedłem do wojska, ale i kule mnie nie chciały jak ona. Powróciłem do domu: nie było tak dalece do czego; a że już przywykłem do włóczęgi, do pracy, ot życie sobie obrałem do mojej miary, do mego serca. Żyję pod gołym niebem, włóczę się wśród lasów, poluje... Bratby mi chleba nie pożałował, ale ja cudzej laski, nawet od brata, nie chcę i nie potrzebuję. Pókim zdrów, obejść się bez niej mogę, i co trzymam od niego, za to płacę, a nie zapłacę, to odrobie.

— Gdzie pan mieszkaś? — spytałem.

— Teraźniejsze gniazdo moje — odparł — tutaj na Zapadliskach w horodyszczu (tak zowią stare wały zamczyska); ale ja, stary włóczęga, miejsca nie zagrzeję: to tu, to tu, aby chodzić. Ot, powiem panu, że najczęściej jedną tylko zimę ostrą co przesiedzę; a jak Bóg da doczekać wiosny, lata, jesieni, strzelbina na plecy i dalej w świat. Człowiek w każdym stanie duszy szuka zatrudnień pokrewnych jego usposobieniom: ja znalazłem także właściwe. Stare mogiły, nroczyśka, wały zamków, grodziska, horodyszcza, gruzy i zwałiska, cmentarze i kurhany: to królestwo moje. Naokół o mil sto nikt lepiej odemnie nie pokaże panu wszystkich pamiątek przeszłości, guzów i blizn ziemi naszej. Szukam zabytków starych, odkopnę mogiły jak złodziej, badam co leży pod niemi, śledzę tajemnicy grodów: żyję w przeszłości, i dobrze mi z tem.

Jestto także rodzaj polowania, mający swoje przyjemności, i bez współzawodnictwa u nas. Z bijącym sercem zbliżam się do twardego kurhaanu, na którym wiekowa darń leży, ogładam go, śledzę okolicę i zapuszczam rydła z ostrożnością, z bojaźnią, z ciekawością niewypowiedzianą. Z pierwszych szczątków wprawne oko już mi wiek usypu poznać daje: kawał krzemienia oszlifowanego, ułomek glinianego garnka, żelazce, kość rdzą miedzianą napojona, spowiadają mi się z lat ubiegłych. Często ktoś mnie uprzedził: nie badacz niestety! ale chciwiec, który w śmierci szukał złota! Często wieki przetrwał grobowiec poszanowany, bo nad nim spływała gminna piosenka lub ludu podanie. Cóżto za radość, gdy znajdzie w całości wszystko, co czas poszanował; gdy wezmę w rękę czaszki, obwite drutami, ubrane jeszcze w paciorki i manę; gdy w szklanej łzawnicy

odgrzebie łze, upadła przed lat tysiącem! Co tu historii, co tu myśli w najdrobniejszej odrobinie!! Z małego zwitka drutu można wiek cały wyczytać! Ten drut ile kosztował pracy, czyje go ręce wyciągnęły, co znaczył i do czego służył: pole domysłem, pole badaniem szerokie. Myśle, a czas ucieka, i kopiąc mogiły, zbliżam się do oczekiwanej, do statniejszej, do mojej własnej.

— Te badania zapewne pan udzielasz uczonym?

— Ha! ha! a to po co? O! nie, nie! Żebym sobie porobił wielbicieli i krytyków: dwa rodzaje ludzi najnieznośniejszych? To dziś moje królestwo, moja własność, to to moje skarby: po co się dzielić? Jam skąpy! Któż wreszcie tak mądry, żeby śmiało z popielnicy wyrokował o popiołach, ze szczątków o całości, z blizn o ranach? Jeśli się mylę, mylę się sam, nie wprowadzę w błąd drugich, i mogę bez zgryzot sumienia budować wyobraźnią gmachy na ruinach.

— Teraz rozumiem dlaczego spotkałem pana na walach zamku.

— Co dziwnego? to moje mieszkanie.

— Nie widziałem tam żadnego, zdaje mi się.

— Nie jesteśmy daleko: chcesz pan, to mu je pokażę.

— Z największą wdzięcznością. Chodźmy!

Pau Piotr wstał rzeźko i poprowadził mnie wprost przez lasy bez drogi: znał widać każde drzewo, zakątek, zarośle, łączkę, i nad spodziewanie moje przedkorki ukazała się Slucz, a nad nią zielone obrosłe zamczysko. Nigdzie nie widać było zapowiadzanego mieszkania.

Miejscem, któredy dawniej wchodziło się do zamku, gdzie była brona i most zwodzony, którego słupy muryrowane jeszcze się wydzierały z pod darni — przewodnik wwiódł mnie za zieloną łąkę, dziś zajmującą śró-

dek wałów. Po rogach wyższe nieco pagórki oznaczały miejsce bastjonów; na nich porosły dęby, a poczepiane u gałęzi ich chmieie dzikie i powoje białe obejmowały je zielonemi wieńcami. Ostrożny zamku mieszkanię, coraz chodząc innemi ścieżkami, nie wydeptał nawet widocznej do wnijsia drożyny, któraby schronienie jego zdradziła. Na jednym z pagórków narożnych była ławka z darni. Ślad, że tu żył człowiek; z tej ławki widać było piękny krajobraz nad-Sluczowy, niczem jednak nieożywiony i pusty: rzekę, lasy, pola dalekie, drzewa, łąki, — ani wsi żadnej, ani żywej duszy. Lubił ten widok właśnie dlatego, że w nim ludzi nie było.

Zszedłszy z wałów ku rzecze, znaleźliśmy rodzaj jamy, jakby szyje lochu nad wodą, całą obrosłą bluszczem chmielem i zielskami bujno tu zapuszczonemi i zakrywającemi prawie rozdół, którym wszedłszy kilkanaście kroków, spostrzegłem mur szary odwieczny, a w nim drzwi mocne dębowe, okute. Mój przewodnik wyjął klucz z zielska, otworzył je i wszedł. Byliśmy w dawnych lochach pod zamkiem. Długi korytarz, w którym tylko zwierzyna ubita wisiała na kołkach i świeżo zgasłe popiełało ognisko, z ubogim bardzo i lichym sprzętem, doprowadził nas do sklepiouej izby o jednym oknie kraciastem, zamieszkiwanej przez pana Piotra. Tu obrócił się do mnie, uśmiechając się, i powitał mnie jako gospodarz.

Póki się oczy ze zmrokiem nie oswoiły, uie w początku dojrzeć nie mogłem: dziwne też to było schronienie. Wystaw sobie izbę, pewnie dawniej więzienie lub kryjówkę na wypadek oblężenia, z bardzo małym okienkiem u góry, z piecem kamiennym, z kominem, którego otwór ginął gdzieś zapewne w gruzach pokry-

tych zielenością, bo i okno obwieszały gałęzie i chwasty. Wewnątrz, choć to nad rzeką, dosyć było sucho. Ściany podpierając sklepienie ostre, były osobliwszym gabinetem starożytności. Wisiały na nich w pewnym systematycznym porządku szczątki zardzewiałe zbroi, ogromne miecze potrząskane, wyjedzone rdzą szyszaki olbrzymie, łańcuchy tajemniczego użytku, ostrogi łokciowe, bulaty, topory, strzały, koszule druciane. Na podłodze stały rzędem popielnice, garunki cmentarne, kamyki płaskie co je pokrywać zwykły, kule kamienne, wieka starych grobowców z napisami, niezgrabne balwany przed-chrześcijańskich czasów i tym podobne pamiątki.

Zdumiałem się różności przedmiotów i ogromnej ich ilości.

— To moje muzeum i archeoteka — rzekł pan Piotr — a to biblioteczka — dodał, wskazując półkę z książkami niewielką, wiszącą na ścianie niedaleko łóżka. Łóżko było z liści suchych, pokryte skórą wilczą, nad niem wisiała świeższych czasów karabela, pistolety i krucyfiks bukszpanowy pięknej roboty. Poniżej w głowach, nad samem czołem śpiącego, za szkło oprawna mała kobieca rękawiczka z dziwnie rozstrzępionemi palcami, zdawała się grozić czy szydzić. Domyślałam się jej znaczenia: było ostatnia młodości pamiątka. Mała skrzyneczka z sosnowego drzewa, niezamknięta, niepomalowana, stała przy łóżku.

— Dziwna rzecz, że pana tu nie okradną, gdy się na długo oddalasz? — spytałem.

— A cóżby tu ukradli? — odpowiedział, ruszając ramionami — żelaztwo stare? to się już na nic nie przydało. Wiedzą wszyscy, że ubogi, a boją się mnie

dlatego, że ja się nie boję nikogo. Lud ma mię za czarownika i znachora, szanuje i lęka się; zresztą, są tam po świecie i tacy, co mnie kochają. Jedno z drugiem, nikt mi złego wyrządzić nie zechce.

— A nie cięży panu samotność? — spytałem.

— Wstydź się pan pytania. Samotność! jam ja sobie wyrobił, wypracował nmyślnie, aby być sam na sam w cztery oczy z przeszłością, aby mi się wspomnienia nie zatary, abym ich pamięci nie zgubił. W dodatku, jako rozrywkę, jako pracę, mam ten zbiór, dla mnie cenny i ciekawy, który powoli pomnażam co dzień.

To mówiąc, wyjął z torby krzemienną siekierkę. Położył ją obok mnóstwa innych na półce.

— To — rzekł — towarzystwo moje, majetność, to rozmyślania przedmiot. Lubię moje życie: kiedy mi Bóg nie dał go spędzić z tą, któraby mię uczyniła szczęśliwym, dziękuje mu, że mi dał obrać sobie żywot znośny i miły nawet. Ludzi ani pragnę, ani mnie oni potrzebni; ale ich nie odpycham, i kocham, choć zdaleka. Czemużbym im źle życzył? Ogólnie wzięwszy, oni są raczej głupi niż zli: lituję się nad nimi. Ile razy gorzkie wspomnienie i żądza dojedzą mi do żywego, wpiją się w serce i powabić mnie się pokuszają: idę pracować, idę zmęczyć ciało, znużyć się do opadnięcia z sił: wówczas zostaję bydlęciem na chwilę, i dalsza usypia.

Na takięto aż sztuki brać się muszę z duszą i z pamięcią: i wygram z niemi, prawie zawsze. Zajmuję duszę i myśl pracą, zajmuję i nużę ciało, odganiam przykre domagania się nieuspokojonego serca, poddaję mu pokarm, póki go mam.

Ileżem chwil wolnych, prawie szczęśliwych winien
mojemu marzeniu na szczątkach przeszłości waszej! ile
godzin zaniosły z sobą do wieczności te rupiecie stare!
A! dobrzy to moi przyjaciele! po nich, jak po szcze-
blach, wznosze się myślą, czepiając w wieki ubiegłe, i
zasiadam tam na cmentarzysku ogromnem spokojniej-
szy. Świat, ja sam, widziany z tej wyniosłości, maleją
mi w oczach: cierpienie znika i milczy.

Mówił mi długo w tym sposobie: jam go słuchał
z coraz większem zajęciem. a gdy dotknął tych jego
skarbów, pan Piotr jak mi począł wykladać o życie wszy-
stkich swych starych zbroi, znaczenie każdego ułamka,
jak począł tłumaczyć wszystko i po swojemu, przeszłość
ze zbutwiałych odtwarzać kawałków rdzą i pyłem po-
krytych: dosiedzialem do wieczora.

Poprzyjaźniliśmy się bardzo: zdaje mi się, że mu
się podobał, bo o ile wiem, nikogo bardzo cieknie do
siebie nie przypuszcza i nie rad zabierać nowe znajo-
mości, choć ich znowu nie unika do zbytku. Jedno tylko
czyni tego dziwaka niższym w oczach moich od Graby,
z którym ma wiele wspólnego w pewnem właściwem
zapatrywaniu się na świat, jedno to: że mu szyderstwa
trochę często gorzko z ust płynie.

Nazajutrz, według mojego dzieciennego zwyczaju, po-
jechałem na granicę Rumianej, spojrzeć na ten dom i
okolicę, którą ożywia moja królowa. Jakież było po-
dziwienie moje, gdy tu ujrzałem pana Piotra, siedzącego
na kłodzie, z oczyma także wlepionemi w Rumianę i
zamyślonego głęboko. Zerwał się gdy przybyłem, po-
patrzył mi w oczy chwilę, i gorzko się rozśmiał.

— No! — rzekł, podając mi dłoń zapracowaną —
nie różnymy ceremonji; siadajmy oba, oba patrzymy i

dumajmy, a gdy postrzeżem białej sukienki mignienie, niech się nam obu zdaje, że naszą panią widzimy. Tak, tak! — dodał — nie zapieraj się pan swoich kontemplacji, jak ja z moich wyklamywać się nie bede.

Widać, że mnie wprzód wyśledził.

— Lecz pan kogoż tu upatrujesz? — spytałem zdziwiony.

— O! niedomyślna głowo! — odparł — już ci nie powinieneś o to pytać!

Musiałem się domyśleć, że to był pierwszy kochałek pani Lackiej, a historia opowiadana do niej się stosowała. Nie mając już dla siebie tajemnicy, mogliśmy mówić otwarcie: dopytywał mnie o nią z ogniem w oku jak dwudziestoletni młodzieniec.

— Wszak wesola? — rzekł — wszak szczęśliwa?

— Ani wesola, ani zdaje mi się szczęśliwa; owszem milcząca, podrażniona, smutna, tak jak gdyby już na świecie nic nie pożądała, niczego się nie spodziewała.

— W istocie — odpowiedział — nie mamy czego wyglądać oboje: ona, to nie ta droga moja istota, którą tak kochałem w młodości. Starzem, gnijem za życia i odmieniamy się biedni. Mówią, że w człowieku po latach kilku nie zostaje ni pyłka z dawnych jego części składowych: jakżeby w sercu uczucie, przy takiej rewolucji, zostać się miało na miejscu? Tamta, moja, jest tu tylko! — wskazał na serce i szarpnął się za piersi — więcej już nie ma jej nigdzie: rozlała się w powietrzu. rozleciała w drobne cząsteczki, które wiatry uniosły na kielichy kwiatów, na krople rosy, na obłoki złociste i na dymy czarne. Dzisiaj żyjąca, to inna kobieta to samo inną nosząca; przeszła już przez ręce ludzkie wycałowana, wypieszczona, sponiewierana. Została jej na

białem czole choć jeden zakątek, gdzieby czysty pocałunek mógł się umieścić, nie wstydząc się sąsiedztwa? w sercu choć jedno uderzenie, co by już komuś nie służyło, któreby ktoś nie przywłaszczył i nie tłumaczył sobie. Dziś ja jej nie kocham, kocham tylko wspomnienie, a tej nowej istoty nieznanej mi, która przerodziła się z tamtej, nie chcę! nie! to nie ona! Ten sen mój odeśni się chyba drugiemu gdzieś młodemu szalencowi, w innej piersi, na też samą boleść przeznaczoną!

Wstał żwawo z drzewa, porwał strzelbę silną ręką i uciekł w las.

Patrz, Muncin, coto są uczucia prawdziwe! i nie wstydź ci, że ty często imieniem takiego uczucia zowiesz najgłupszą chwilową swawolę? że go używasz na najpodlejsze nżytki? To tak, jakbyś ogień do fajki krzesał brylantem Wielkiego Mogola.

Bądź zdrów! pisać nie mogę więcej: jadę w pole.

Twój *Jerzy*.

Jak się masz? Znowu chwilka wolna: uzywam jej pisać do ciebie. Wyobrażam sobie, jak ci się teraz z listów moich dziwacznie wydawać muszę: przepaść nas rozdziela. Oba na siebie pogładamy z litością, prawie tak, jak gdyby dwóch obłąkanych w domn szalonych patrzyło na siebie. Lecz nie! nie! złe porównanie; ja często widzę świat, ludzi, rzeczy, siebie, i obłąkanym nie jestem. Widzę jak się uśmiechasz z litością: śmieję się, lecz przyjdzie czas, że mój list wywoła dumanie na twoje czoło, i kto wie, ty wyjedziesz także może z tego zamietu miasta, w którym ja tyle lat straciłem, szukać na wsi ciszy, spokoju, wytchnienia?

Gdyby mi dziś dawne dostatki, młodsze lata i s vo-

boda zupełna wrócili, nie użyłbym ich pewnie tak jak wprzód: tak mi żal lat straconych.

Nie! nie! nie ma szczęścia w szalach młodości (bo to nietrwale), ani wżbytku i miękkim życiu, ani w nagromadzonych rozrywkach bez liku, bo to wszystko sprowadza znudzie i nudę, ani w niepomiernej żądzy wzniesienia się dla oka; owo tylko w spokojnej ciszy sumienia, w wiejskiej ustroni, w ukształceniu własnem, we wzniesieniu się duchowem, w umiarkowaniu żądz, w swobodzie duszy, w pracy i w marzeniach. Wyszliśmy z tych granic, spotykamy ściany pięknie pomalowane, o których zmyślone ogrody i pałace bijemy się pierśią zbolalą: ale wejść tam niepodobna.

Ja ją widziałem!

Posłuchaj: zawsze jeszcze jeżdżę na granicę Rumianej i siadam tam czytać i dumac, z kąd widać dwór i drzewa ogrodu; jeśli nadejdzie pan Piotr, dumamy we dwóch, lub rozmawiamy po cichu, powoli, przerywając dmy długimi przestankami milczenia. Wybraliśmy sobie kilka dębów starych, rozłożystych, u brzegu lasu, i tu zbudowaliśmy (tak jest, bo własnemi nawet rękoma) rodzaj szalasu, otwartego na stronę Rumianej, z dwoma ławami z kłód. Pan Piotr, dobry ogrodnik, posadzał krzewy, posiał chmiel i powoje, i dziś to miejsce ściąga nas obu ku sobie, jeśli nie codzień, to przynajmniej bardzo a bardzo często. W jednym kątku tej budki chowamy hubkę do zapalenia fajki, w drugim zerpaczek prosty, z którym z kolei chodzimy po wodę do niedalekiej krynicy. Mamy i ognisko obłożone kamieniami na chłodne wieczory, na zimne ranki, na słotne dni. Pan Piotr, jeśli się nie błaka po lasach, hodyszczach i mogiłach, często tu nawet nocuje. Właśnie

przed kilką duiami siedzieliśmy tu oba: Dolski był uparcie milczący i ponury. Piękny dzień wiosenny złościł się już blaskami pogodnego wieczora: a ty wiesz (lub ty nie wiesz, co pewniej) jak ranki i wieczory śliczne są na wiosnę i w jesieni: u tych dwóch kresów dnia wszystko się zdaje żyć inaczej, żywiej, silniej, weselej. Sam dzień jest sobie dzień jakich wiele, rzadko się odznaczy: ale w początku i u schyłku co za widok, jakie wonie, jakie głosy, ile myśli nierozwikłanych przylatuje do głowy! Że dzień jest takim, jak to Bóg dobrze obmyślił: w dzień potrzeba pracować, i Bóg go takim uczynił, żeby nam nie nie przerywało pracy; zrana ten widok rozbudza, ożywia, krzepi, sił dodaje: wieczorem orzeźwia, pociesza i znużenia zapomnieć każe.

Siedzieliśmy milczący, obu nam oczy szły w jedną stronę. Dolski chmurzył się, jak czasem mu to się zdarza, gdy wszystkiej pastwy, którą rzuca na nasyconie głodu duszy, za mało mu jeszcze. Biedak, modlić się nie umie: walczy tylko, i dlatego upada.

Nagle posłyszeliśmy t tent koni, ale wówczas już, gdy się tak zbliżył, że i końskie głowy pokazały się zaraz na drożynie przed nami. po pod szalasem idącej. Drożyna ta, wąska, piaszczysta, brzegiem lasów wiedzie do ślicznej pasieki, która należy do Rumianej. Za końmi pokazał się zaraz wolno idący wózek: w nim siedziały pani Lacka i Irena. Dolski czarne swe oczy brwią nawisłe wlepił i osłupiał, ja porwałem się z miejsca; Irena poglądała ciekawie na naszą budę, a poznawszy mnie, kazała zatrzymać konie.

Lacka zbladła niezmiernie, i odwróciła się żywo w drugą stronę, i już więcej nie spojrziała ku nam. Irena nie

zważając na nią, kazawszy się zastanowić koniom, powitała mnie prawie wesolo.

Zbliżyłem się do niej; pan Piotr pozostał w budzie jak skamieniały.

— A! przecież choć przypadkiem spotkałyśmy pana! Co pan tu robisz?

— Polowaliśmy na słomki — odpowiedziałem — razem z moim sąsiadem panem Piotrem Dolskim (pan Piotr słyszał, ale się ani ruszył); a teraz odpoczywamy.

— Cóżto jest — spytała mnie ciszej — że pan, sąsiadując ze mną, ani się raczysz u mnie pokazać?

Chciałbym klamać, ale pierwsze słowo moje odrzuciła.

— Mówmy szczerze! — rzekła żywo. — Pan się wstydzisz?

— Prawda — odpowiedziałem.

— Wielki to dowód miłości własnej, chcieć się zawsze pokazać tak bardzo panem siebie i jednakim. Nie właściwiejżeby było, postrzegłszy co się uczyniło, czy wypadkiem, czy namietnie, otwarcie siebie potępić i ludziom odjąć możność potępienia, a iść dalej odważnie drogą jaką się sobie naznaczyło?

— Gdyby ludzie nie potępili — przerwałem — gdyby byli nawet pobbajający, o! sa wrażenia co się nigdy nie zacieraają.

— Wc wszystkim co pan mówisz, ogromnie wiele dumy się przebija.

— Niech to będzie i duma: jest rodzaj dumy szlachetnej.

— Więc żeś pan raz troche czerwony i troche słaby — dodała z uśmiechem — był u mnie, mamże za karę nie widzieć pana nigdy bladym i zdrowym?

— Byłoby to karą dla kogokolwiek prócz dla mnie?
Ona się trochę zmieszała.

— Dla pani teraz obojętne - - rzekł.

— Chcesz pan komplementu? nigdy mi go nie zabraknie na usługi tych co ich pragną: w Polesin towarzystwo tak milego sąsiada jak waćpan dobrodziej, to rzecz wcale nie obojętne.

— Dobiliś mnie tem pani! — odpowiedziałem z uśmiechem.

Spojrzała na mnie poważniej i podała mi rękę.

— No! będziesz pan w Rumianej? wszak to trzy kroki!

— Nie wiem.

— Jakto! kiedy ja proszę?

— Nieszczерze, i może tylko znowu przez grze zność.

— No to najniegrzeczniej: ja być każe! A! jaki uparty!

— Pani mi być każe?

— Rozkazuje, zalecam, i groźe nawet, że oskarże dziadowi.

— Więc będę.

— Cóżto jest za stworzenie ten pan Piotr? — spytała mnie cichutko, przedłużając rozmowę.

Niech pani uważnie spojrzy na swoją towarzyszkę, a domysli się wielu rzeczy, których mówić nie mam czasu, ani pozwolenia.

Irena rzuciła okiem od niechcenia, i zobaczyła panią Lackę prawie omdlałą; raz jeszcze żywym rzutem oka przypatrzyła się panu Piotrowi, i pożegnawszy mnie, co najprędzej jechać kazała.

Dolski słowa nie rzekłszy, wysiedziawszy na ławce chwilę długą, wstał, i nie obróciwszy się nawet ku

mnie, poszedł prosto w las. Nie śmiałem go w tej chwili ani pytać, ani zaczepiać, ani pocieszać, ani mu towarzyszyć. Rozchylił krzaki, wpadł w gąszcz, i zniknął mi z oczu. Pojmujesz, że nazajutrz pojechałem do Rumianej: lecz jakby na zakwaszenie mi umyślnie tej chwili z nieba spadłej, przystawił się pan koniuszy. Z baczywszy mnie w salonie wchodzącego, poczerwieniał najprzód, pobladł potem, potargał czuprynę, spojrział na Irenę, która spuściła trochę oczy, i nie witając mnie tak był zły i gniewny, odszedł od okna.

Pani Lackiej nie było w salonie, i dnia tego całkiem się nie pokazywała; mówiono, że była chora.

Gniew mego dziada zmienił się wkrótce w zjadliwe szyderstwo, od którego, nie chcąc go zapewne rozdrażniać, mało mnie bronila Irena, wszakże bronila trochę. Ja znosiłem spokojnie, jak zachwycony w polu ulewą podróżny.

— Przedstawiam pani — rzekł najprzód — mojego wnuczka, mego kochanego wnuczka, pana dzierzawcę Zapadlisk (wziął je za wygrane w karty pieniądze: dobry użytek ze złego przybytku), dzierzawcę Zapadlisk nie b z celu: graniczą z Rumianą! a zatem ostro nie z paniczem!

— Panie koniuszy!

— Kawaler wielkich sentymentów i pije jak ja, to dosyć powiedzieć; gra jak... stracił fortunę, którą, dziesięciu ubogim rodzinom na całe życie wystarcza. Ma jeszcze właśnie tyle resztek zdrowia, serca i pieniędzy, ile potrzeba na dzierzawcę Zapadlisk, czyhającego na bogate ożenienie. Ale djabła zje! — dodał po cichu.

Moja obojętność na tego rodzaju szyderstwa, zdaje

się, że podniecała jeszcze dziada, który nie dał nam z sobą pominąć, i choć dla niego konie były zaszły, bo miał właśnie odjeżdżać dla pilnowania tryb, które bili tego dnia na granicy od Kurzyłówki w Zajamiu, został woląc utracić kawał ziemi, niż mnie sam-na-sam z nią porzucić. Irena zimna była na te szyderstwa i grzeczna, ale cienia uczucia w niej nie dostrzegłem. Czy tak jest panią siebie? czy tak go ma mało? — nie wiem. Wieczór nadchodził: stary mnie wyprawił i prawie wypędził; musiałem odjechać. On nie ruszył się, ażeby jeszcze wrażenie lepsze jakie mogłem po sobie w jej oczach zostawić, zatrzeć nowemi moze szyderstwami.

O! gdyby się moje przeczucie sprawdziło, a kapitan pobił tam tryby przez jego najdroższe ostepy i pokrajał mu lasy: niechby choć ta mała przykrość nauczyła go litości nad drugimi! Nie! życzenie złe: to zemsta. a zemsta jest uczuciem bydlęcem. Bóg z nim! wszystko on to robi przez przywiązanie dla niej; szanujmy go choć boli. — Bądź zdrów!

Jerzy.

XVI.

Irena do miss F. Willby.

Rumiana, 5 czerwca 18 ..

Droga moja Faniu! Obiecałam ci pisywać często, żebyś naszego języka, któregoś się dla mojej przyjaźni nauczyła, nie zapomniała; ale źle dotąd wywiązywałam się z przyrzeczenia mego: ledwie raz w miesiąc odbierasz listy odemnie, a cóżto dwanaście listów na tak

długi rok! Mnieby łatwo może było napisać ich więcej; ale godził się tobie, pracowitej naczelnicy zakładu wychowania, truć godziny listami takiej jak ja próżniaczki. Nie wiem czy list mój majowy doszedł rąk twoich? przez ileto rąk, przez tyle torbek pocztowych i skrzyneczek i wózków i statków te listy przechodzą, że mi trudno pojąć, jak do celu trafić mogą. Napiszże mi, czy dobrze do ciebie adresuję, czy je regularnie odbierasz; nie chciałabym pisać dla pocztmejstrów i ciekawych szperaczy listów zblakanych, ani też żeby mnie nikt nie czytał. Piszę do ciebie całą duszą: szkoda by mi było utopionych wyrazów uczucia, które na białej stronicy, jak na skrzydle gołębia, do ciebie przesyłam. Obiecałam ci donosić szczerze, otwarcie, jakbym jeszcze była twoją uczenicą i towarzyszką, co się ze mną dziać będzie: niszcę się z tego sumiennie, nawet może aż nadto.

Widzisz, że nadaremnie prorokowałam mi prędką miłość, prędkie za mąż pójście i prędkie szczęście: ostatnie podobno zawsze zaprędko przychodzi i przechodzi. Lepiej jeszcze czekać na nie, niż płakać po niem.

Młody mój pan *Georges*, o którym ci już pisałam, com go tak dziwnie i niespodzianie poznała, który tak silne na mnie zrobił wrażenie, żem się w początku za nie na siebie i na niego gniewała, zawsze jest jeszcze w naszych stronach. Nie umiem ci opisać, jak mnie własne serce upokorzyło w tym razie; nigdy się po niem takiej nie spodziała zdrady: próżno wystawiałam mu, że w tym elegancie malej stolicy naszej nic nie ma tak osobliwego, że całkiem jest pospolity. Nie pomogło rozumowanie, choć doprawdy było bardzo silne, Walczyłam z sobą, i upokorzona wreszcie musiałam

wyznać, że nie mam tyle mocy, ilem się spodziewała.

Mój opiekun, którego ten pan jest wnukiem, najjaźniej go odemnie odpycha. Ty znasz pana koniuszego, jak on pocziwie mnie kocha: to przywiązanie jego przechodzi czasem w słabość dziwaczną. Raz sobie powiedziawszy, że to jest wietrznik, marnotrawnik i człowiek bez zasad, nie godzien takiej heroiny jak ja: stoi przy swoim; a ile użył i używa środków, żeby go odepchnąć, wyliczyć trudno.

Georges mój (dlaczegoż mój? nie wiedzieć co piszę) stracił znaczny majątek. Koniuszy mu go odkupił, żeby sobie tylko odjechał od nas jak najdalej. Ale ofiary tej nie przyjął Jerzy, jakim się spodziewała, i dobrze, bardzo dobrze zrobił. Nie wiem, może sobie marzę, lecz uczucie, które w nim postrzegam (a któraż kobieta go nie wyczyta?) zmieniło go zupełnie: stał się pracowitym, wytrwałym i myślącym człowiekiem, z miłego, ale pustego chłopaka, jakim go poznałam. Towarzystwo pocziwego Graby wiele na tę reformę życia wpłynęło. Ja wierzę w jego poprawę, koniuszy z niej szydzi: tłumaczy ją chciwością, uporem, szaleństwem, ale jutra w niej nie widząc, zapowiada zmianę i stale dowodzi, że Jerzy jest zawsze czem był, tylko pod inną powłoką. Ja tego zdania nie podzielam: czemużby człowiek nie mógł się stać lepszym? wszak skłonność ma do dobrego.

Tyś już zgadła, bom ja się wypisała do zbytku: ja go kocham, więc tłumaczę wszystko, wszystko dobrze w nim widzę. Miałabym się mylić? Bolesneby to było, ale gdybym się i omyliła, cóż na te głupie serce nasze poradzić?

Każą mi czekać, i czekam i czekać będę chętnie: bo mi wcale nie pilno pójść za męża, a tak jak jest,

dość mi dobrze, choć trochę nudno. Czuje, że lepiejby być mogło, daleko lepiej: ale zniose i to co mam przy nadziei. Z tą psotnicą czas bieży szybko.

Po opisanym ci, Faniu moja, okropnym wypadku, kiedy mnie go umyślnie pokazano pijanym (wiesz, że pijany nawet nie miał nic nieszlachetnego, był tylko biedny), długo, długo nie widziałam go aż dotąd ani razu. Nie chciał być u mnie, choć trafem czy zrządzeniem (nie przypuszczam rachuby) zamieszkał bardzo blisko, w Zapadliskach: musiałam go aż wciągnąć sama. Udalo mi się bardzo zrzęcznie, i nikt mnie nie pisał o to, do czego się w pokorze ducha przyznaje tobie. Ty znasz (jeśliś wśród twoich *Street* i *Square* nie zapomniła jej) drogę do pasieki mojej po nad granicą Zapadliską. Wyobraź sobie, że Jerzy siedział tam niemal codzień na samej granicy, i godziny całe patrzył z daleka na Rumianę: coś to jak w książce bywa, nieprawdaż? nigdybym o tem nie wiedziała, gdyby nie przypadek. Z mojej wieżyczki nad oranżeryją, gdzie ustawiłam teleskop Mordount'a przez ciebie mi przysłany, mam zwyczaj oglądać okolicę. Jest coś bardzo miłego w tem zbliżaniu się do ludzi w sposób niewidzialny: sledzę nieraz ich, gdy sądzą, że Bóg tylko jeden na nich patrzy! Teleskop twój doskonale zbliża przedmioty, i jednego wieczora, gdym go obracała na różne strony, coś mi mignęło na drodze do pasieki. Wpatruję się... to on... uważam lepiej: usiadł, oparł się. Głupie serce! tak mi mocno uderzyło!

Nie! nie! nie jest to klamanie, ale prawdziwe i głębokie uczucie. Co dzień, przyznaję ci się jak na spowiedzi, zwracałam teleskop w tamtą stronę, i widziałam potem jak tam sobie z kimś drugim pobudowali

budkę, przychodzili, siadali, siedzieli godziny całe. Domyślasz się reszty: skierowałam przejażdżkę ku pa-siece; spotkaliśmy się, a jam go zaprosiła: przyjechał i trafił na pana koniuszego. Stary był Nielitościwy; żal mi było okrutnie Jerzego, ale on zniósł wszystko mężnie, zimno, cierpliwie, jak był powinien. Wdzięczna mu jestem: zniósł to wszystko dla mnie.

Po jego odjeździe rozmówiliśmy się przecie *à coeur ouvert* z moim drogim i najpoczciwszym stróżem. Ledwie był Jerzy za progiem, rzucił na mnie koniuszy wzrokiem błagającym o litość, i całując w rękę, rzekł cicho:

— Ty się gniewasz na mnie?

— Gdybym mogła, panie koniuszy, powinnabym.

— Biedne dziecię — zawolał — takto wy wszystkie gorzkie lekarstwa odpychacie. Ale — dodał, zaogniając się — przyznaj mi się już szczerze, co u kata, ty go już chyba kochasz?

To zapytanie uczynił z takim niespokojem, że chociaż byłam powinna się przyznać, nie miałam siły go zmartwić. Po kobiecemu więc zbyłam go ruszaniem ramion.

— Ale to wietrznik! to szalawiła! to nie dobrego! hulaka, opój, kartownik! — zawolał — nieszczęście gdzie się to przyplące; za grosz na niego rachować nie można!

— Dlaczego? — spytałam.

— Spójrz-że asinówka, co zostawił za sobą, a będziesz miała wyobrażenie co może być przed nim: długi, podarte karty, potłuczone butelki i opuszczone kochanice. Chcesz-że ty, mój aniele, zejść na resztki takiego kawalerskiego życia?!

— Ależ to zwykle życie naszej biednej młodzieży —

odparłam — zkaǳe weźniemy aniołów? Czemuż nie wierzyć w poprawę?

— A! ba! oto to! oto to! w poprawę! jest! jest! wielkie słowo: poprawa! O! on się poprawi, póki mu się ty nie naprzykrzysz i póki ci nie zje majątku.

— Ale dlaczegoż pan koniuszy nie chcesz wierzyć w poprawę?

— Bo nie wierzę! Wolę dla mojego anioła — powtórzył z pocałowaniem ręki — wolę takiego, co by się nie potrzebował poprawiać. Ot, Jan Graba.

— Bardzo dobry, bardzo zacny chłopiec — odpowiedziałam — wyśmienity, wyborny, niezmiernie miły, niesłychanie pocziwy, nadzwyczaj rozzumny: cóż kiedy nie dla mnie?

— Dlaczego? Tere-fere! dlaczego? dlaczego? Co to nie dla mnie? Nie dlatego! po staropolsku mościła panno, skojarzym i kwita!

— Co z tego, kochany mój opiekunie, to nie nie będzie: pójde za kogo zecbce, lub nie pójde za mąż wcale. Jeśli mnie kochacie, łamcież sobie głowę i czuwajcie, żeby nie pokochała kogobyście nie życzyli sobie, bo...

— Otóż to dlatego — zakrzyczał — chciałem wyprawić tego dudka jakby przeczuciem. Co to reczyć za chwilę? ja to wiem! Spejrzanie, słowo: za nie reczyć nie można! No! los mi figla wypłatał! a dalipan, jakem szlachcie, już on taki pannie Irenie nie obojętny!

— Być może — odparłam — ja jestem jak każda kobieta: im więcej mi bronią, tem mi się chce więcej. Na cóżeś pan koniuszy zrobił z niego jabłko zakazane?

Chwycił się za włosy.

— Ja to już widzę! ja to już widzę! to prawdziwe

nieszczęście! Nie obojętny! jabłko zakazane! Śliczne jabłko co go robactwo potoczyło wskrós! Przeczuwałem — mówił do siebie — tego mi było potrzeba! Bóg mnie pokarał! Otoż całego życia praca, staranie, troskliwość... w błocie!

Siadłam i milczałam; on chodził żywo, dumal, mruczał, rzucał się. — Charakter zdaje się jest, ale co to wierzyć! krew pocziwa! zresztą kaci go wiedzą! Ale taki nie potem, nie potem: nie chcę! nie chcę! Całe życie marlbym ze strachu!

— Przecież krok do poprawy uczynił śmiało — przerwałam, dawszy mu się trochę wyburzyć — przecież samiście już w nim uznali szlachetność.

— A jednak i nie chcę go, i nie chcę, i nie chcę! — zawołał stary. — Całe życie z nim truchleć: a mnie to do czego?

— A gdybym ja chciała koniecznie?

— Wiesz co — rzekł, zastanawiając się — uprzyj się, a zobaczysz, że w łeb sobie strzelę!

Przerwałam mu, zatulając usta.

— Panie koniuszy, nie tak gorąco, nie tak gorąco! Wiesz co, godziź się potępić go bez odwołania, nie przekonawszy się, i nie lepiej, żeby zwrócić na niego pilne oczy, śledzić, patrzeć, a nie wyrzekać się wcześniej?

— Co mi z tego, że dziś filut gra rolę sensata, a co jutro powie?

— Pozwólcież, mój tatku — dodałam, wiedząc, że lubi, gdy mu to imię z dzieciństwa nadane powtarzam — zapomnieliście o własnych maksymach. Nieraz słyszałam od was, że piwo co się nie wyburzy za młodu nie nie warte, że młodość musi przebyć każdy, jak każdy przechorowuje odrę i koklusz.

— Tak, i ospę, po której zostają znaki; ale ja wolę komu ją zaszczepiono.

Zamyślił się.

— Kto go zresztą wie — dodał zunięczony — może się to i wyburzy; wszakei to krew dobra, Suminowska!

Rozśmiała się.

— Czego się acanna śmiejesz? Krew! Wy to teraz z tego śmiejecie się wszyscy; a wiesz wacpanna co o Suminach pisze Okolski, tylko po łacinie nie zrozumiesz.

— To nie nie szkodzi: ciekawam posłyszeć.

— Pisz, ale to nie Okolski podobno tylko Długosz, że bywali *viri ad potutionem et largitionem proclives, canum et venationum studiosi* (to wszystko tylko przedmowa), ale *viri probi, aulaces* i...

— O! to coś długa litanja.

— Śmiej się sobie, śmiej, a ja w to wierzę: wiele rzeczy krwią się dzieje, rodem kury czubate.¹

— Więc chwala Bogu z niczego coś być może?

— Kat go wie! A jak się zatnie na przedmowie? — dodał stary i zamyślił się, chodząc od drzwi do drzwi; potem przystąpił do mnie i rzekł poważniej:

— Wiesz co, kochanie moje, dajże mi przynajmniej słowo, że go już więcej nie pokochasz, póki ja cię nie rozgrzeszę, ale ja sam.

— E! kto tam słowo daje — odpowiedziałam — czy to wy mnie, tatku, nie znacie? czym taka płocha?

— To prawda, że nie płocha! No, cóż z nią poradzić? zawsze postawi na swoim. Czekał-że, pocznę ja go dobrze śledzić i przypatrywać mu się zbliżając, ale jak się co okaże...

Pocałowałam go w czoło, ale zamiast podziękowania za tę pieśczętę, porwał się jak oparzony.

— Dalibóg! — zawolał — do krośset beczek zajęcy! ona go już kocha! nie łasilabyś się tak!

Śmiejąc się, niekłam do drugiego pokoju, a stary, pomruczawszy, wskoczył na bryczkę i pojechał.

Otoż masz ważną scenę z dramatu mojego życia. Ja go kocham! tak, ja go kocham! odgadł stary, chociaż doprawdy i gniewam się razem na niego i na siebie. Bo za co go kocham, dlaczego?... nie wiem. Miłość jest zawsze bez logiki. Nie piękny (ale już cię nie myśl znowu, że brzydki... nie), ale na co to wszystko...

Proszę cię, Faniu, poczeiwa moja przyjaciółko, pomódl się tam, żeby to pierwsze uczucie mogło być ostatniem, żebym nie potrzebowała gasić go w sobie i z niem walczyć...

(Reszta listu oddarta.)

XVII.

Jerzy do Edmunda.

Pierwszy tylko krok był trudny: teraz już bywam w Rumianej, ale pamiętny posądzeń, które na mnie rzucono, znając położenie moje, nigdy się nie odważę ani jej powiedzieć, ani okazać, co się w sercu mojem dzieje.

Będę kochał, marzył, cierpiał i milczał; dość mi, że widzieć ją mogę.

Pan Piotr przez długi czas nie dał mi się złapać. Od pamiętnego spotkania się z panią Lacką, stronił

odemnie, a twarz miał groźną, posepną i dziką. Były chwile, żem się go obawiał: miał minę zabójcy. Dopiero wczoraj wylala się żółć zebrana szyderstwem, i przemówił do mnie o rzeczach obojętnych nawet, nie umiając mówić obojętnie: o cokolwiek zaczął, wszędzie dźwięczyła struna serdeczna bolesnym jękiem swoim. Nie śmiałem go pytać o doznane wrażenie, on też o niem nie mówił, lecz widać było po cierpieniu, że spotkanie go bolało, że odwróconą jej twarz widział jeszcze przed sobą. Pogadawszy ze mną, bez pożegnania nagle zwrócił się i poszedł w las.

Ja pojechałem do Rumianej. Tu jestem skazany na obojętność udaną, którą odgrywać muszę: bo dziad posądzi mnie, a co gorzej, powie zaraz przy niej, że całem mojem usiłowaniem ożenić się bogato; a jednak nigdy mniej bogactwa nie pożądałem jak dzisiaj. Bogactwo to rzecz umówiona (konwencjonalna), względna, to może słowo bez znaczenia, to coś warunkowego, co się określić nie da. Dla jednego bogactwo jest w dostatku chleba i słoniny, dla drugiego w bryczce i koniach, dla innego w srebrnych półmiskach; wyżej jeszcze, w marmurach i obrazach, w francuskim kucharzu i stu tysiącach dochodu, i tak do nieskończoności. Wyżej o jeden stopień od nas, wszyscy się zdają bogaci. Jesteśmy póty tylko nimi, póki nam nowych żądz nie przybędzie, póki mamy coś nowego, z czem jeszcze nie oswojeni jesteśmy. Najbogatszy, jak tylko się obył z tem co ma, poczyną się czuć ubogim. Czemużby nie zacząć od wpojenia sobie tej prawdy i nie zrzucić więzów, jakie na nas wkłada staranie się o bogactwo?

Irena przyjmuje mnie dobrze ale zimno i żadne słówko, uśmiech, wejrzenie nie zdradzi, co się dzieje

w jej sercu. Dobrzem ją dawniej nazwał królową, bo i nad sobą doskonale panuje. Głupim! któż to wie, może nie ma z czem się ukrywać?... to najpewniej! Mnie przecież, choć z przekonania, że to do niczego nie prowadzi, jak dziad mój powiada, miło tu być, popatrzeć, pomówić i pożegnać do zobaczenia tylko. A jutro?... nie myślmy o jutrze: jutro jak mi będzie bardzo ciężko, to się zamęcę pracą.

Znowu jakieś dziwy otaczać mnie zaczynają. Do nich zaliczam odwiedziny mojego dziada w Zapadliskach, ciekawe oglądanie mojego gospodarstwa, wnikanie skrzętne w użycie czasu i życzliwsze jego ze mną obejście. Zawsze jeszcze mi moją przeszłość, jak zabłocony lachman, wytrzęsa przed oczyma, ale już rzadziej, już delikatniej, już nie z tą złośliwością co wprzód.

Na co mu to tak ciekawe zaprzatanie się mną?... nie wiem. Niedawno też postrzegłem Malcowskiego, który pod pozorem polowania, w Zapadliskach się zjawił, Stasia mojego, już mającego zyłkę myśliwską, porwał, i jak się dowiaduję, badał go ogromnie, nawet próbując podpoić, a badał o mnie tylko! Zkąd ta ciekawość?

Malcowski bardzo mi stręczył na oficjalistę jakiegoś podłyłego już człowieka, którego z sobą przywiózł, a którego kilka razy widziałem wprzód w Turzej-Górze. Przyjąłem go, może trochę dlatego, że się dowiedział, iż go mój dziad za niedopilnowanie w lesie zwierzyny (!) odprawił. Szemrze on na porywcość pana koniuszego, ale odzywa się o nim przecież z jakimś uszanowaniem. Stary to sługa Suminów, znał trochę mojego ojca, niech ma kawałek chleba u mnie.

Lecz widzę, że ci się aż nadto spowiadam ze wszy-

stkiego; kiedy tak, to ci już doniosę i o dwóch pana koniuszego nieszczęściach. Obrany i potwierdzony marszałkiem, łamie się teraz z chęcią pozostania w domu i potrzebą zajęcia urzędu, który go trochę lechce. Kapitan naturalnie jeździł do niego z powinszowaniem i oświadczył w uścisku, że się także przyłożył wielce do wyniesienia go na tę dostojność.

— A niech-że asana djabli porwą! — zawołał mój dziad.

Ale to jeszcze była mniejsza sztuczka ze strony pana kapitana: tryby na granicy gorsze daleko zmartwienie gotowały staremu. Wystaw sobie, że w czasie pierwszej mojej bytności w Rumianie, właśnie te tryby oznaczono. Kapitan korzystając z niebytności koniuszego, podkupił mu slugi, popoił drugich, pociął linje od kopca do kopca, pomijając niektóre, i silny dziś tem, że koniuszego nmocowani byli temu przytomni, w skutek nowego ograniczenia, zajął mu ostep najdroższy, oko w głowie, Zajamie, gdzie jedyne sarny w całej Turzo-Górszczyźnie.

Gniew, wściekłość, boleść, rozpacz koniuszego opisać się nie dają; poleciał do kapitana. Kapitan Bogu ducha winien, jakby o niczem nie wiedział, z minką niewinną go przyjął.

— A to paneńku — rzekł, ruszając ramionami dobrodusznie — to pańscy ludzie własni sami te linje wytykali i bili, na co świadkowie są.

— Moi ludzie?! do krośet fur bataljonów djabłów! chyba głowy potracili czy co! powarjowali! Odcięli mi Zajamie!

— No, widzi pan dobrodziej! ale kiedy podług świętej sprawiedliwości ten ostep do mnie należy.

— Jako żywo! nie należał, nie należy i należeć nie będzie.

— A kiedy linja pokazuje?

— Co mi pan kapitan wyłazisz z tą linją! Linja? linja? ja jej znać nie chcę! *Terminus a quo* zgadzam się, *ad quem* bardzo dobrze, ani słowa, ale *per quem* opuściliście i rznęli sobie swoją linję moim borem. O! co z tego to nic nie będzie!

— I owszem, panie marszałku dobrodzieju! będzie, bo jest: co wzięte to święte.

— Odcięte.

— Odcięte i święte — rzekł kapitan. — Nie oddam, jak pana marszałka szacuję i kocham.

— Nie nazywaj-że pan mnie marszałkiem, bardzo proszę, i lepiej sobie mnie niekochaj, a oddaj. Jakto, panbyś miał czoło? pan sam wiesz?

— Co ja wiem, paneńku, co ja wiem? ot co wiem. Linja poczyną się tu, a odchodzi tam, a co mi Bóg przez tę linję z łaski swojej świętej przyczynić raczył, tego ja nie wiem. Ja prosty człowiek, panie marszałku dobrodzieju, ja Bogu ducha winien, toto i z tego powodu ten ostep tyle lat był w pańskim posiadaniu. Ze mnie wszysej korzystają.

— I pan opierasz się przy ostepie?

— A jakże, paneńku, a jakże! Alboto ja mogę, sam pan sądz (ja nie chcę innego sędziego), odrzucać od siebie co mi Pan Bóg dał? Panie marszałku dobrodzieju! bez gniewu, bez furji! Co tu gniew pomoże? Ja imci pana i łaskawcę mojego szanuję, ja pana dobrodzieja kocham, honoruję go, stopki jego całuję, ale to mój zapracowany w pocie czoła kawalek chleba, to moja odrobina, to mój łachmanek ziemi: jak to oddać?

— Ale to nie twoje! — krzyknął mój dziad.

— Panie marszałku dobrodzieju, przepraszam go, dziś to moje: tryba stoi, a tryby bite i znaczone przez własnych pańskich ludzi.

— Chyba sfiksowali gałgany, alboś ich przekupił!

— Panie marszałku dobrodzieju, czy ja biedaczysko jestem w stanie sług takiego pana jak pan marszałek podknpić? Ja ubogi szlachcic, ja się pańskim ekonomom z daleka klaniam.

— Ostatniem słowem — rzekł mój dziad, podskakując — oddasz pan Zajamie czy nie?

— Słowo się raz rzekło: jak pana dobrodzieja kocham i poważam, a tego dowiodę, że kocham i poważam... nie oddam. Słowo szlacheckie, to nie ma i co mówić!

Dziad mój wyleciał do sieni zaperzony (całej tej sceny byłem naocznym świadkiem w Kurzyłówce), chciał sięść na bryczkę nie pożegnawszy gospodarza, ale kapitan schwycił go na progu:

— Bez gniewu, panie marszałku dobrodzieju, co to gniew pomoże? co się stało, to się stało! Nie opuszczaj pan tak chatki mojej z gniewem w sercu przeciwko mnie.

— Cóż pan chcesz, do kroćset! żebyś mu dziękował czy co? Oddaj mi waść moje i idź do diabła, a nie to proces!

— Chociaż krwią mi serce zabiegnie, rzucając się do tego ostatniego środka, ale uciśniony, pokrzywdzony, cóż ja pocznę? Kochając go, szanując, będę się musiał bronić.

— Więc proces?

— Cóż ja temu winien?

— Pan temu nie winien, a któż taki?

— Los, wypadek, *inexorabile fatum*, ale pozwól sobie rzec słowo, panie marszałku dobrodzieju, wszak używalność za mną.

— Jak to? w imię ojca! a kiedyżeś pan używał Zajamia?

— A jużciż, wszak tam polowałem.

— To tak!

— I mapa za mną!

— Moja mapa, gdzie stoi wyraźnie: Ostęp Zajamie *ante unionem* używalność wsi Kurzyłówki, *lapsu temporis ad* Turza-Góra *violenter* zajęty.

— To tak! to tak! — powtarzał mój dziad trzęsąc się od gniewu.

— A pańscy ludzie, uczciwi, sumienni ludzie, świadomi miejscowości i używalności, sami tryby bili.

— Dobrze! dobrze! zobaczymy!

— Tylko bez gniewu w sercu — dorzucił kapitan — ja pana mego kochając...

— A! kochaj pan sobie kogo chcesz i daj mi pokój ze swoim kochaniem.

To mówiąc, siadł stary do bryczki i pojechał.

Nazajutrz sprawa poczęta. Kapitan zaciera ręce, kłania się aż w krzyżach trzeszczy, uśmiecha się, .. zwycięża.

Mnie żal biednego starca; tyle go razem przykrości spotkało: schudł, zmizerniał, zmałał, nawet polowanie odtrąca już zamyślony. Nie wiem czy się z marszałkowstwa potrafi już wylamać; pan Graba, z obowiązku, jak mówi, ciągle nad nim siedzi, żeby go wyuczyć jak ma marszałkować, jak całkiem trzeba się poświęcić temu urzędowi, aby nie mieć na sumieniu niedopełnienia

swoich obowiązków. Utrapiiony koniuszy przyjeżdża odechnąć do Rumianej, a tu na dobitkę mnie jeszcze zastaje, mnie, co go tak niecierpliwie, którego tak nie lubi, i wiem, że każda bytność moja u Ireny srodze go niepokoi. Uważam jeszcze, iż wyobraża sobie, jakoby przeciw niemu miał żal i urazę. Tak nie jest: szanuję go i kochałbym nawet, gdyby mi się dał. Przy całej oryginalności swego charakteru, żywości dziwnej w jego wieku, prostocie rubasznej, jest to poczciwy i pełen uczucia człowiek.

Panna Irena podpieszcza starego jak umie i może, ale to kropla w morzu: tyle ma utrapień!

Pani Lacka ukazuje się znowu w salonie; anibyś postrzegł, że przechorowała, taką jest jaką była: zimną, szyderską, zobojętniałą, znżytą. Myślałem, że mnie wypytywać się będzie, ale czy się wstydzi, czy sądzi, że nikt nie widział, co się z nią działo... milczy. Irenie tylko opowiedziałem obszerniej jej historję, historję pana Piotra i życie jego teraźniejsze; odmalowałem jego charakter i opisałem mieszkanie. Niezmiernie to ją zaciekawilo i każde niezwykłe zjawisko robi na niej silne wrażenie; klasnęła w ręce i powiedziała mi:

— A! muszę widzieć to podziemie, ten zbiór, tego człowieka.

— To trochę trudno — odpowiedziałem — jest dziki, mało przystępny, najbardziej dla kobiet.

— Co mi tam do tego — rzekła — pan to wszystko musisz ułożyć i ułożyć pan sobie jak chcesz, a ja muszę być w horodyszczu i poznać pana Piotra.

Zadanie ciężkie trochę, najtrudniej samego pana Piotra nakłonić, aby się dał poznać; potem, jakże poje-

dzie panna Irena?... sama?... niepodobna; pani Lacka towarzyszyć jej nie może i nie zechce.

Spytałem odważnie o to: Irena się zamyśliła.

— Pani Lacka? — rzekła — spróbujemy, a może.

I uśmiech jakiś tęskny przebiegł po jej ustach.

— Przygotuj pan tylko pana Piotra — dodała — a o mnie się już nie kłopotz wcale.

Co tu począć? próbować będę, może mi się w jakimkolwiek sposób uda zadość uczynić jej rozkazowi: a jakbym był szczęśliwy! Lecz jak to się wziąć do tego? Najprzód muszę się przyznać, że papla, i że się niepotrzebnie wygadał. Bądź zdrow! idę szukać pana Dolskiego i łasić mu się jak umiem.

Twój *Jerzy*.

XVIII.

Irena do miss F. Willby.

Dnia 5. lipca 18... Rumiaua.

W tym liście, kochana Faniu, mało się dowiesz o mnie. Cóżbym ci nowego donieść mogła, kiedy nie ma koło niego nowego?... wszystko niestety po staremu, to jest jak wczoraj! Kocham go tylko więcej może (niepojęta!), bo widuję go częściej. Ten człowiek urok rzucił na mnie: gdybym go nie kochała, ileż wad i skaz naliczyłabym w nim z największą łatwością!

Koniuszy zdaje się pilnie patrzeć tylko, o ile możliwości stara się naklonić na podróż, na odjazd: ale to jakby z opiekuńskiego obowiązku. Jerzy zawsze ten

sam: malowałam ci go w pierwszym liście moim, śmiałym i dowcipnym; dziś się bardzo odmienił i zmiana ta zdaje się stanowcza, bo z rozważnego postanowienia pochodzi. Znajduję go za zimnym, za obojętnym, za rozważnym i nigdy słówka, coby objawiło uczucie, o którym wiem, którego jestem pewna. Prawda, że mu położenie jego zakazuje słowa, ruchu, najmniejszej oznaki uczucia; ale na cóż tyle ma mocy nad sobą? Darowałabym mu trochę śmiałości, trochę nawet zuchwalstwa; niecierpliwi mnie poddaniem się losowi z pokorą. Potrzebaż, żeby ja pierwsza zrobiła krok do wyprowadzenia go z tej odrętwiałości? Posłuchaj opowiadania i osądź: mniej cię ono zajmie jeszcze niż zwykle moje gawędy, bo nawet nie o sobie i nie o nim pisać będę.

Bawi przy mnie od niejakiego czasu biedna jedna pani Lacka: jest to kobieta, której los, jak pospolicie mówią (ludzie na losy i na kłosiów wiele zrzucają biedy ze swoich ramion), dał się niepospolicie we znaki. W młodości pokochał ją gwałtownie człowiek silnych namiętności; ona go odepchnęła dla ubóstwa, nie mogąc, jak się zdaje, znieść myśli całej przyszłości, złożonej z poświęceń, z ofiar, z cichego bardzo szczęścia! Ukaral ją Bóg za to: ten, za którego potem poszła dla majątku, stracił co miał, porzucił ją, a co gorzej, czy co lepiej (jak ty to znajdujesz), pierwsze przywiązanie do tego człowieka, którego odepchnęła, przetrwało w niej do dziś dnia.

Dziś stała się panią swojej woli, ale zatrute życie wie dzie jak nudny, długi, skwarny dzień lata, którego ntrapionej spiece nie ma końca: nic ją nie zajmuje, nic nie ciekawi, niczego się nie spodziewa. Trzebaż takiego zdarzenia, żeby ten pierwszy kochanek młodości zjawił

się pod naszym bokiem, w sąsiedztwie Rumianej! W dodatku, przedstawia się nam dziwacznie, oryginalnie, bo rozpacz doprowadziła tego człowieka do dziwactwa jakiegoś, do mizantropji osobliwszej: żyje zupełnie samowolny, zajęcie się jego myśliwstwo, wędrówki po mogiłach starych bojowisk, zamkach rozwalonych, wałach i cmentarzach; zbiera starożytne okruchy, szydzi z ludzi i gderze...

Zachciało mi się widzieć go koniecznie: Jerzy mówiąc mi o uim, zaostrzył kobiecą ciekawość. Ja się nie wstydzę, żem bardzo ciekawa; poleciłam Jerzemu, żeby koniecznie znajomość z nim ułatwił i wyrobił pozwolenie widzenia jakichś lochów (kłania ci się panna Radcliffe), które sobie obrał za mieszkanie. Jerzy pracował widać, żeby spełnić moje żądanie, i kiedy raz przejeżdżała o umówionej porze do pasieki około budki Jerzego i tego pana, zatrzymałam się (byłam bez Lackiej, sama z moją małą Józją wychowanką), weszłam odpocząć u nich. Pan Piotr Dolski (jest to nazwisko naszego dziwaka) chciał z początku uciekać, ale go kilka słowami wstrzymała; popatrzał na mnie, zawahał się, potem pozostał. W kilka chwil potrafiłam wplątać go w żywą rozmowę, ośmielić i wymódz obietnicę przyjęcia w horodyszczu, które mu służy za mieszkanie. Nadspodziewanie mi się to udało.

— Ale pani będziesz sama z tą małą? — spytał.

— A gdybym nie była sama lub nie z tą małą? — odparłam, myśląc o pani Lackiej, którą chcę zbliżyć do niego.

— To pani nie przyjmuję — rzekł spokojnie.

— Jak to! posunąłbyś pan do tego stopnia niegrzeczność dla kobiet? — spytałam.

— Dlaczego, proszę pani, mam być grzeczny dla kobiet, kiedy ich nie lubię? byloby to kłamstwem.

— W ich imieniu dziękuję.

— Są wyjątki — rzekł uśmiechając się.

— Wyjątkiem jest zawsze ktoś przytomny, to rzeczy wiadome. Ja nie chcę w ten sposób być wyjątkiem.

Zniecierpliwił się.

— Ale szczerze — rzekł — dlaczego pani nie masz być wyjątkiem?

— Nie czuję się godną tego — odpowiedziałam z uśmiechem — nie jestem ani lepsza, ani gorsza od drugih kobiet. Jeśli pan mnie przyjmujesz, czemużbyś nie przyjął ze mną razem przybywającego kogoś znajomego mu nawet może...

— Tem gorzej, że znajomego! — zawołał żywo, i dodał, patrząc na Jerzego i ruszając ramionami. — Gaduła jak stara baba! Pani wiesz już pewnie moją historję, więc tu nie ma co klamać. Chcesz muie pani zbliżyć do niej! do tej pani! po co? dlaczego? aby nam może wydrzeć nawet wspomnienie?

— Aby je odżywić.

— To niepodobna: dzisiaj to kto inny, tylko do kogoś podobny.

— Więc obojętny? — spytałam.

— Ktoś inny, ktoś podobny, i ten sam razem i nie ten: język się bałamuci, a nie powie myśli. Ona, lecz zmieniona!

— Tak... bo nieszczęśliwa! — rzekłam zcicha.

— Bo winna! — dorzucił z boleścią. — A jaż szczęśliwy jestem, i z Gwatymozynem nie mogę powiedzieć: jestem na różach? Zobaczywszy ją, cóżbym zyskał?

— Kto wie, może szczęście, może spokój?

— Spokój, brak apetytu, lub chleb gdy zębów nie ma: młode szczęście na stare lata! Daruj pani, że tak mówię: nie przywykłem do kobiet. Ale i w sercu już popioły, i głowa ciężka, i ten brodaty włóczęga, którego widzisz przed sobą, już nawet w imię tego czem był, nie potrafi wzbudzić żadnego uczucia.

— Któż to wie?

— Na co próbować? żeby drugi raz boleć? nie chcę! Przyjedź pani sama z tą małą: przyjmę panią, i to tak doprawdy, nie dlatego, żebyś mnie pani zachwyciła swoją pięknoscią, rozumem, dowcipem, ale że mnie o to prosił Jerzy; a ja Jerzego, choć paple, bardzo lubię, prawie tyle co Kastora mojego wyżyła: a to niemało!

Jerzy się rozśmiał i uklonił, a ja przyjęłam wystrzeżoną *a bout portant* niegrzeczność bez zadziwienia, bez bólu.

Nastawiałam jeszcze dłużej, żeby mnie przyjął z panią Lacką, ale Piotr uciekł w las, nie dawszy mi odpowiedzi. Rachując wiele na okoliczności, postanowiłam nazajutrz przyjechać do horodyszcza z moją towarzyszką, nic jej o tem nie mówiąc, gdzie i do kogo ją wiozę. Jerzy przyjechał po nas konno, myśmy się za nim udały w las małym wózczykiem, a dalej już piechotą.

Pan Piotr siedział na swoich wałach naprzeciw rzeki i dumał; gdy nas zobaczył, poznał, z początku jakby odrętwiał, nie ruszył się z miejsca, oczy tylko wlepił w panią Lackę, która pobiadła jak ściana, i bełkotała, opierając się o mnie:

— Co to jest? gdzie my jesteśmy? kto to? wróćmy się!

Patrzałam ciągle na pana Piotra, który walczyć się

zdawał z sobą; wreszcie zebrawszy się na męstwo, uśmiechnął się gorzko, zszedł z zielonej swej ławki i powitał nas milczący.

Lacka trzęsa się jak osina, a oczy jej wyrażały przestrach nieopisany: pierwszy raz widziałam ją w takim stanie. Dołski jakby nie znał jej, nic nie mówiąc, nie patrząc, wprowadził nas powoli do podziemia swego.

Wystaw sobie łożo starego zamku, jakich pełno w waszej starej Anglii, ubrany w dawne pamiątki, z pewnym wdziękiem i porządkiem ułożone, schronienie anachorety i archeologa razem; łożo z liści suchych, a nad niem, zgadnij, proszę cię? — kobieca rękawiczka!

Pan Piotr wiódł nas idąc przodem, a stanawszy wśród izby sklepionej, w której mieszkał, odezwał się szydersko:

— Nieprawdaż, piękne panie, że to bardzo ciekawe? bardzo dziwaczne? To grób żywego człowieka, coś naksztalt bajki nianek, coś nieprawdopodobnego jak powiastka. Człowiek co żyje z umarłymi, bo mu żywi zbrzydli, co się wyrzekł świata i zakopał za życia, a to wszystko dlatego, że mu jedna kobieta powiedziała: — Nie chcę cię, boś ubogi! — Patrzcie panie, to bardzo ciekawe, doprawdy!

Takiego życia mam już za sobą lat kilkanaście: dzień do dnia, godzina godzinie podobne jak dwie krople wody; i mogę zaręczyć, że ze wszystkich sposobów utopienia bóleści, najlepszy jest wypicie jej do dna odrazu, zamknięcie się z nią oko w oko. A że od dziecka w kolebce do starca na mogile, każdy mieć musi zabawki i lałki swoje: i ja się cackam, i ja się bawię, a bawię się — śmiercią. Wszystko co jak ja zgniło, strupieszalo, skonało i rozsypało się w proch, zbieram

i kładę koło siebie. Ja także zmarły jestem jak to wszystko: dobieramy się systematycznie.

Prawda, piękne panie, to ciekawe? — spytał, śmiejąc się gorzko. Moja pani Lacka marła mi, spierając się na rękę, przecież nie wyrywała się już: jakaś chciwa ciekawość pociągala ją ku temu.

— Wszystko to — mówił Piotr z zapalem coraz wzrastającym — dziwne jest bardzo, a każdy dziw czemuś się tłumaczy: szaleństwem, bolem, głupstwem. Wicież co mnie wpędziło tutaj? Panie jesteście ciekawe: powiem chętnie.

Dawno już temu, bardzo dawno, stał domek szlachecki w lasku z sosen i brzoź: w tym domku żyła piękna dziewczeczka, a obok niedaleko mieszkał młody chłopak, który ją kochał, i myślał głupi, że dosyć kochać mocno, żeby być szczęśliwym! Ona kochała go trochę, jak się kocha to, do czego się przywykło; ale gdy przyszło dla niego wyrzec się nadziei sprzedania się drogo, powiedziała mu: — Tyś ubogi, ja twoją być nie mogę! — Wszak prawda? — spytał mojej towarzyszki.

Pani Lacka upadła i zemdlala.

Piotr rzucił się do niej: wynieśliśmy ją na świeże powietrze, pokropiliśmy wodą, i gdy otrzeźwiona otworzyła oczy i przyszła do siebie, biedny włóczęga, kłęcząc u nóg jej, całował jej ręce, nazywając ją słodkimi, pieszczotliwymi imionami młodości. Ale to trwało niedługo: po pierwszych wyrazach przemówiowych, panią Lackę opanowała bojaźń znowu, a pana Piotra rozpacz.

— Dla sukienki — zawołał — dla błyskotki, dla marnych świecidełek, zabić szczęście, które nie wraca, stracić młodość, poświęcić serce, zgubić człowieka?! a!

tyś nigdy w piersi serca nie miała — rzekł żywo — i jeśli dziś cierpisz, toś zasłużyła!

To mówiąc, uciekł w las po swoimu.

Myśmy z Jerzym zmienioną, bladą, wzruszoną kobietę przewieźli w milczeniu do Rumianej. Żal mi było serdecznie, że ją na taką boleść wystawiła; ale mogłam takie rozwiązanie przewidzieć? Jerzy mi mówił, że Piotr nazajutrz z nim się spotkawszy, zlażał go okrutnie, rzucił się do niego wściekle, i wyrzekał, że ją zobaczył.

— Byłem wprzód szczęśliwy — wołał — teraz muszę ztąd uciekać. Muszę gdzieindziej szukać zapomnienia. spokoju, i kto wie, czy je odzyszczę?

Odtąd jużśmy go nie widzieli, i Jerzy powiada, że gdzieś daleką, nie wiem dokąd, przedsięwziął wędrowkę. Pani Lacka, nad wszelkie moje spodziewanie, nazajutrz wróciła do swej obojętności, milczenia i szyderstwa.

Mówiłam ci w początku tego listu, który zajęłam opisem sceny dziwnej, nie mogąc się wstrzymać, żebym się jej wrażeniem z tobą nie podzieliła, mówiłam ci, Faniu, że Jerzy zimny i milczący. Zaczynam się obawiać, patrząc na to panowanie nad sobą, czy nie za mało ma serca, czy nie zanadto niem szafował? Lecz z drugiej strony, możeż on, bojąc się zawsze posądzeń, pokazać uczucie? Obwiniam go i wymawiam, i sama nie wiem czego chcę. Mój opiekun wyjechał na czas jakiś, dla wymówienia się z włożonego nań urzędu i procesu z moim kuzynkiem kapitanem. Biedny człowiek! jeszcze ja i Jerzy niepokoił go w dodatku! Pisz do mnie, proszę, i wierz, że zawsze twoja

Irena.

Jerzy do Edmunda.

Oto już rok prawie jak w te strony przybyłem: cały rok mignął mi jakby jedna noc balowa, choć nie był bardzo wesół, ale pełen wzruszeń i pełen wypadków.

Rok temu, mógłbym przewidzieć co się ze mną stanie? Musisz się dziwić, że po długich wprzód i częstych listach, dziś tak rzadkie i krótkie nawet odbierasz: wierz mi, to nie moja wina. Im większa jest sprzeczność w naszych rodzajach życia, tem częściej myślę o tobie, kochany Edmundzie: ale pisać? czyżbym ci napisał z tak jednostajnych, jak moje, dni i godzin? Wiosna przeleciała, lato przeszło, i jesień złocista się zbliżyła. W ciągłej pracy nie było chwili odetchnienia: ziemia zazdrosna nie dozwalała z siebie spuścić oka, odjąć ręki. W każdej porze masz na co patrzeć, co robić, o czem myśleć; zbierasz plon za wczorajsze trudy i przygotowniesz razem jutro. Ciężkato jest rzecz to gospodarstwo! U nas cięższa jeszcze niż gdzieindziej, bośmy w sumieniu naszym i przed prawem odpowiedzialni za nżycie ludzi, którzy od nas tylko zależą, za których uważać mnsimy. Pośrednicy między nami a ludźmi tymi, są to po większej części bez moralnego wykształcenia i bez snimienia, a pojęć zdrowych spełniacze woli naszej, którzy często ją przechodzą i przekraczają przez gorliwość, lub psują wieśniaków dla swojej korzyści.

Nie można spuścić ich z oka. Widzisz więc, że nie próżnnję, nie mogę, a dotąd rodzaj zatrudnień nowo obranych samą nowością mnie nęci. W ciągu tego roku pierwszy raz, powiedzieć mogę, spotkałem się oko w oko z naturą: widziałem wiosne, lato, które dotąd

znałem tylko z nazwiska i opisów. W sąsiedztwie nieoszacowanego mego dziwaka pana Graby, ciągle korzystalem z jego rad, z towarzystwa, i pod wpływem człowieka, który wywiera silny wpływ na wszystkich, czułem się zbrojniejszy wolą stałą, przy wielu przeciwnościach drobnych a nieustannych, mogących mną zachwiać. Graba czuwa nademną troskliwie, a widząc że rachuję na niego, wspomaga mię z całym poświęceniem, do którego zawsze w poczciwym sercu swoim znajduje gotowość. W istocie osobliwszy to człowiek, którego społeczność nasza nie będąc warta, sądzi surowo i niesprawiedliwie. Znosi on mężnie swoje męczeństwo, z czołem podniesionem, z krwią zimną.

Przy tylu przymiotach nie mieć jednego przyjaciela, nikogo coby życzliwiej spojrzal, coby nie wykrzywił każdej czynności, nie przetłumaczył na złe każdego słowa — smutno. Młodzie i starzy, męczycy i kobiety szyczą z niego jak z szaleńca, śmieją się jak z głupca, litują jak nad obłąkanym, podejrzewają jak fałszywego.

— A! pan Graba! — wołają z uśmiechem zadowolenia — to zrobił pan Graba! Cóż dziwnego? // *n'en fait jamais d'autres!*

Są tacy, co bardzo serjo zapewniali mnie, że ma zajaczki w głowie i nie ze wszystkim zdrow jest na umyśle.

— Zkąd to przekonanie? — spytałem.

— Dosyć spojrzeć co robi.

— Cóż tak dziwnego robi? — badałem dalej.

— Ale najprzód, proszę pana — mówił mi na przykład kapitan — z żoną, aniołem cierpliwości, żyć nie mogli: to dosyć powiedzieć.

— Pan zna jego żonę?

— Toćto, panie, najpiękniejsza kobieta na cały kraj, to anioł! Ale cóż, panie, tak jej skąpił, tak z nią dziwaczył, że go nareszcie porzucić musiała.

— A może też i ona dziwaczyła?

— Gdzie tam, panie! dość spojrzeć: to anioł! to śliczność! a dobra! a łagodna!

— A dalej? — spytałem.

— Albo z ludźmi w swoich majątkach jak się on obchodzi?

— Cóż, źle?

— Bez sensu, panie. Ludzie potrzeba, żeby czuli rygor; a to porozpuszczał ich tak: czy wie pan, że już przed nikim nawet czapki nie zdejmują?

— O! to straszna rzecz w istocie.

— A jedziesz koło karczmy to nie powstają.

— I to okropne, w samej rzeczy!

— On ich do tego doprowadzi tą pieszczotą, że w końcu i nasi myśleć sobie coś zaczną. A do czego to, panie, chamom te wymysły: a to szkółka, a to ochrony, a to sio, a to to, to i nazwisk nie polapać? Albo to oni wieków tak nie przetrwali i było im dobrze? Tylko psuje i nic więcej.

— I cóż dalej? — spytałem.

— Albo i to — dodał kapitan — czy to milonowemu panu godził się być takim sknerą? tożto ani porządnego powozu, ani liberji jak u drugich, ani kucharza! A przyjedzie kto do niego, krupniczek, winko stołowe, lurka sobie, i więcej nic. Ale na fatalaszki to nie żałuje, i rujnuje się.

— Jakież to fatalaszki, proszę pana?

— A cóż, księżeczki, obrazeczki, strzelbeczki, stare

rupiecie i tym podobne głupstwa. Czy uwierzy pan, słyszałem, i to z ust pewnych, bardzo pewnych, że za jeden, ot, tyćki obrazek, dzieciństwo, zapłacił trzysta dukatów?! Widziałem nawet, bo mi pokazywano tę sztuczkę: nie ma nic, jabym za to trzy grosze nie dał. Takto w tem wszystkiem nie ma zdrowego rozsądku. A nudny, panie, aj! aj! o sto mił uciekać: żebyś mu pan o pogodzie zaczął mówić, to i z niej wyciągnie jakieś kazanie. Powiem panu, że my się go boimy jak ognia, i uciekamy jak od zapowietrzonego.

Takito jest sąd współobywateli o człowieku, który z nich wszystkich sam tylko pojął swe stanowisko surowiej, i żadnej słabości nie folguje, żadnego z obowiązków swych nie zapomina.

Na jednym wieczorze, gdy mnie zapraszano do kart, a jam odpowiedział, że się wyrzekłem gry w karty, pan Samurski krzyknął ze śmiechem:

— Jużto znać zaraz, że pan sąsiaduje z panem Grabą: to już jego lekcja! Coto za głupstwo wyrzec się kart! cha! cha! Et! coto już i gadać o tem. Jakto można oddzielać się od towarzystwa i chcieć być rozumniejszym od wszystkich? No, nie mówie zgrywać się, ale tak dla zabawki sobie pograć.

— Proszę pana — spytałem go — jakiż jest pożytek z gry?

— A jużciż zabawka, to i dość, zabicie czasu.

— To panu tak czas w naszym towarzystwie cięży, że go chcesz zabijać co najprędzej? Któż ma życia za nadto, żeby je zabijał? Jesteś więc pan znudzony, nie-szczęśliwy, że się chcesz pozbywać go choćby kartami?

— Coto gadać? coto gadać? ja wiem, że pan mnie przegadasz; ale co prawda to prawda: cały świat przecie

gra w karty, i jak świat światem, ludzie się bez tego obejść nie mogą. Gra niewinna, mała.

— Od tej gry idzie się do większej.

Pan Samurski słuchać mnie nie chciał. i siadł do swego nieszczęśliwego preferansa. Śmieją się teraz ze mnie, jako z ucznia pana Graby: niech się sobie śmieją.

Wprowadziłem, choć na dzierzawie, wszystkie ulepszenia, którychem się od Graby nauczył; ludzie się na nich poznali prędko: po chwilce nieufności przyjęli je i są mi wdzięczni. Jest wielka różnica między pobłażaniem a sprawiedliwością. Pobłażać złemu niegodzi się, i tego nie czynię, bobyu do niego zachęcał; ale zasypiam spokojny, bo czuję, że nie mam nieczyj krzywdy na sumieniu.

Prawda, kochany Munciu, że rok ten bardzo mnie odmienił?... myśli i wyrazy, które dziś czytasz w moich listach, niedawno były jeszcze dla mnie niezrozumiałe, znaczenia ich nie pojmowałem. Brałem życie jak szło, używając go na rozrywkę; dziś myślę, pracuję, i cierpiąc jeszcze jestem szczęśliwszy niż byłem. Ty się rozśmiejesz, stary roztrzepańcze: śmiej się, ale cię proszę, nie ubolewaj już nademną.

Wystaw sobie, że nawet Staś, ten wzór miejskich sług: próżniak, karciarz, bardzo się już przy mnie odmienił; wszystkie jego wady przelały się w jedną silną a nieszkodliwą namiętność: myśliwstwo. Jak mnie, tak jegobyś nie poznal. Chodzi w lisiurce jak Malcowski, w kozłowych butach, i choć zawsze sztywnie się trzyma i czysto ubiera, zniewieściała jego twarz przybrała wyraz bardziej męski: opalił się, pogrubiał, pije wódkę, je kielbase i za Saską-Kepą nie tęskni. Zaczyna rozumieć nawet, że lakierowane buty nie są do szczęścia

potrzebue, i że bez nich uczciwym człowiekiem być można.

— Możebyś wrócił do Warszawy? — spytałem go kiedyś.

— Jeszczeto kiedyś wrócimy, jaśnie panie, ale teraz nie tak mi bardzo pilno: ot, jakoś oswoiło się z tem życiem.

— Pamiętaszże jakieś się niecierpliwił i uciekał?

— To co innego, panie: teraz jesteśmy na naszym własnem gospodarstwie, i polowanie tu dobre.

Uśmiechnąłem się. Staś już przyjął się na tej ziemi, jak ja, i co dziwniejsza, spoważniał: małpuje mnie potrosze. To dobrze; podwójna korzyść z reformy życia, i ci co nie myślą, idą za nami, jak owce Panurga. Chwała Bogu!

Ale ja ci malując moje położenie, nie donoszę o tem, o czembyśmy najprzód powinien był napisać: o niej i o sobie.

Pomimo nalegań koniuszego, nie wyjechała nigdzie; przesiedzieliśmy lato na wsi, i zdaje się, że na jesień i zimę nie wybierze się także do miasta, bo za niem wcale nie tęskni. Ja bywam w Rumianej zawsze na jednym stopniu: jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, nie więcej. O tem co się w sercu dzieje nie piszę: ktoś to pisze?

Co dzień, co godzina wzrasta tylko potrzeba koniecznie być z nią, przy niej; nie pojmuję jakbym zniósł oddalenie lub rozstanie. Przecież, mimo tych uczuć co mnie burzą, słowo nie może wyjść na usta. Ona bogata, ja ubogi! posądzonybym był o chciwość, o interesowność: więc muszę milczeć, milczeć zawsze... Będę milczał, niech mnie tylko nie wypędzają.

Dziad mój trochę już dla mnie powolniejszy. Dziwna rzecz jak ten człowiek wie wszystko co się u mnie, ze mną, dokoła mnie dzieje; zdaje się, jakby w niewidzialny sposób ciągle za mną w ślad chodził. Widujemy się przecie rzadko, lecz z rozmowy przekonywam się, że doskonale jest uwiadomionym o najmniejszym kroku moim. Miałebym szpiega domowego? Niedawno wypadło mi płacić część pieniędzy za dzierżawę wedle uczynionej umowy; nie wyprzedalem się jeszcze, i trochęby mi to przyszło trudno, gdybym nie był pewien, że Graba ufa mi i pomoże. Właśnie gdym się wybierał do niego, nadjechał mój dziad, i po krótkiej rozmowie rzekł:

— Przywiozłem acanu pieniędzy.

— Jakto pieniędzy? — spytałem.

— A wszakże potrzebujesz na dzierżawę, a słyszę nie wyprzedaleś się, bo ci Joś zrobił zawód?

— To prawda — odpowiedziałem — ale na to mam sposób.

— Jużciż, pożyczysz! No, to pożycz u mnie.

— Nie, kochany panie koniuszy; bardzom mu wdzięczem, ale...

— Co? jeszcze? jeszcze ceregiele?

— Jeszcze i zawsze — odparłem.

Popatrzał na mnie i nie nalegał.

— A zkadle to weźmiesz? — spytał.

— Od pana Graby.

— To wolisz u niego pożyczyć, niż u mnie, u dziada?

— On mnie nie posądzi o żebraninę.

— E! porzuć-bo do licha te głupie wymówki: na co to, proszę cię, staremu krew psuć?

Zamilkłem; chodził po pokoju.

— A wszakto już blisko roku jak waćpan z nami? — zapytał.

— Blisko roku — odpowiedziałem z westchnieniem.

— No! a do miasta?

— Po cóżbym pojechał? interesu nie mam.

— A tak, trochę pobulać?

— Toby mi dziś nie smakowało.

— Patrzcie, jaki filozof!

I chodził, i mruczał ciągle coś niezrozumiałego: słyszałem tylko w przestankach:

— Kat go wie! kat go wie!

Z rozmowy dowiedziałem się od pana koniuszego, że doskonale wyliczyć mógł ile razy byłem i jak długo bawiłem w Rumianiej.

— Zkądże te wiadomości? — spytałem.

— Zkąd? alboto nie wiedzą sąsiedzi jak kto w domu nie siedzi.

— Czemuż ja nie wiem co się u pana koniuszego dzieje?

— Tobie co innego w głowie.

— Cóż? tak jak i panu, gospodarstwo tylko.

— Aha! żartuj zdrów! Na co to łgać? starego w pole nie wyprowadzisz: stary wróbel na plewę się nie złapie!

— O cóżbyś mnie pan koniuszy mógł posądzić? o fałszowanie asygnat?

Ruszył ramionami i umilkł; potem zawołał, siadając:

— Ot, tyle tu czasu mieszkasz, a krewnych swoich nie poznałeś!

— Jakich krewnych?

— Ubogich Suminów z Zamalinnego.

— Prawda, wina moja — odpowiedziałem — ale się poprawię i pojedę do nich.

— No, to jedź ze mną!

— Chętnie bardzo.

— Powiem ci pod sekretem — dodał, mrugając oczyma i dobrze się we mnie wpatrując, jakie zrobi wrażenie — to dobre ludziska, a strasznie ubodzy, i jest tego jak maku, zobaczysz. Ludzie mnie posądzają, że ja majątek mój zapiszę albo mojej pupilli, albo wacpanu dobrodziejowi.

— Jaby'm żadnego zapisu nie przyjął — rzekłem nawiasowo.

— No! ja to wiem — mówił. — Wasan nie przyjmiesz; a pannie Irenie na co dosypywać, kiedy i tak ma dosyć! he?

— Zapewne — odpowiedziałem — ubogim to potrzebniejsze niż jej.

— I ty tak znajdujesz? — spytał.

— O! jak najmocniej pochwalam myśl pana koniuszego.

— He! he! bo to się tobie zdaje, że dziad bankrut, dlatego że w wyszarzanej surducinie chodzi. No! a Turzogórszczyzna, niech sobie mówią co chcą, to złote jabłko, kochanku, na dobrego gospodarza; a wytrząsłszy kieszenie, to się i kapitaliki znajdują, i na dwóch dobrach wielkopolskich mam coś, nie bez tego żeby i gotówki nie było, a sterty i zapasy warte także grosik nieszeptny.

Obojętnie, jak pojmujesz, słuchałem tego wyliczenia, i przerwałem staremu:

— Wierzę, wierzę, na co to liczyć? mało, wiele: lepiej oddać uboższym i potrzebniejszym.

— A pojedziemyż do nich? — odwrócił rozmowę.

— Najchętniej!

Nazajutrz razem z panem koniuszym wybraliśmy się o kilka mil od Turzej-Góry do Zamalinnego, po drodze, jak się domyślasz, polując, bo stary bez psa i strzelby nie stąpi.

Musze ci opisać ten domek, bo to ci się należy dla dopełnienia obrazów już przesłanych dawniej, malujących kraj, w którym żyję. Zamalinne, maleńka wioseczka już ku Wołyniowi więcej posuniona, leży jednym bokiem przypierając do lasów poleskich, drugim do rozległych pól urodzajnych. Jest to, wyrazem zwyczajnym wszystkich dziedziców, „złote jabłko“, gdyż masz wiedzieć, że tu każdy majątek mniej więcej średniej dobroci, musi się tak nazywać koniecznie; ale to drobnostka: wieś, w której trzech dziedziców, a Suminowie mają tylko chat trzy czy cztery. Domek ich stary wśród wioski, oparkaniony jak za czasów, kiedy z za parkanów do Tatarów strzelać było potrzeba, opatrzony wjazdową bramą ogromną, słomą krytą i furtką zamczytą: ma dziedzińczyk osadzony bzami, ogród fruktowy, w którym rosną rozłożyste jabłonie i stare grusze, studnię koło stajni i tuż gospodarstwo całe.

Po staroświecku to, po staropolsku, ale nie modnie, wiszą tu jeszcze na kolkach od plotu czarne hladysze, bijanki do masła, leżą u progu dojniczki i neczułki, bieli się płótno na wąskim darniny pasku i geś z gąsietami, indyki, kury i kaczki chodzą poufale między gankiem a stajnią i oficynką, podobną do wieśniaczej chatki. Znać tu wszędzie pracowite ubóstwo.

Zaledwie nas spostrzeżono w bramie, białe figurki

w ganku powskakiwały do domku, a z domku w większej liczbie powyskakiwały na ganek.

Okrzyk: „pan koniuszy! pan koniuszy!“ dal się słyszeć we drzwiach, i ludzie z piekarni, ludzie ze stajni powysadzali głowy patrzeć na tak niezwyčajnego a pożądanego gościa.

Stanęliśmy u progu: a na progu już nas cała czekała rodzina, oprócz tych, którzy byli zajęci robotami w polu lub dozorem roboty. Rodzina uboga zawsze liczna: Pan Bóg daje strzesze słomianej to bogactwo, którego jej uieraz zlocisty dach zazdrości. Na przedzie stała otyła staruszka, matka pana Sumina, *de domo* Zawiska, imieniem Teresa, w szlafroczku cycowym, w białym perkalikowym czepku z ogromnemi wstęgami żółtymi, z pocziwą twarzą, uśmiechniętą, wesolą i zdradzającą pociąg do gadatliwości. Za nią synowa, już średnich lat kobieta, dosyć przystojna, ale blada trochę i mizerna, podobnie ubrana, we włosach tylko, z maleńkiem dzieckiem na ręku. Dwoje starszych trochę trzymały się jej sukni, dwie panieuk młodzieuchnych opodał wyglądały przeze drzwi, a dwóch chłopców w szkolnych mundurzykach u słupa czekali, czerwieniąc się jak jabłka, na ucałowanie ręki pana koniuszego. Naliczyłem ich siedmioro! Ale panienki starsze i jedna, której zrazu niedoliczyłem. były to siostry pana Sumina, córki starej pani Teresy. Wszystko rzucilo się z okrzykiem ku nam, ale się trochę stropilo, postrzegając mnie nieznanjomego. Ledwie przecie dowiedzieli się, że Sumin i krewny, a przybyłem umyślnie, żeby ich poznać: zaczęli miue wszyscy mniejsi w ręce, a starsi w twarz całować. Staruszka nie wiedząc jak mnie przyjąć, kłaniała się tylko z uśmiechem, nie domyślając się, że ją

w rękę pocałuję; lecz gdy to uczynił, uściskala mnie jak syna. Miły to uścisk macierzyński!

Samego gospodarza i głowy domu nie było: poszedł naturalnie w pole do siewaczy. Posłano po niego dziewczynkę od gęsi, z czego korzystając, całe ich stado weszło do sieni i gdało, a jedna śmielsza kilka razy zaglądała nawet do pokoju.

Nas posadzono jak było można najlepiej, najparadniej, i dom cały w ruchu był na przyjęcie. Ty nie masz wyobrażenia wnętrza takiego domku, więc ci je opiszę (wszak deszcz pada). Najprzód, ciasny pokój, zwany bawialnym, ale w istocie trudno go utrzymać na tej stopie tam, gdzie rodzina liczna, a dom mały. Nie znajdziesz więc tu tych wyprostowanych sprzętów, powyciąganych firanek i posadzki, na którą straszno stąpić: tej martwej fizjognomji salonu, co chłodzi i tak przykre robi wrażenie na duszy jak wejście do lochu na ciele. Owszem, pełno tu życia: tam porzucona robota, tu rozsunione sprzęty, owdzie chusteczka na kanapie i wyciągniona szufladka; kołowrotek staruszki stał przed jej wypoduszkowanym krzesłem, kołyska dziecięcia, którą zaraz wyniosły dzieci starsze, zajmowała kątek zaciszny; roboty panienek pochowano przy nas. Sprzęt ubogi i zużyty, ale to sprzęt-pamiątka, co z nami żył, do którego przywrzały wspomnienia, po którymbyśmy plakali choć stary i połamany, bośmy do niego przywykli i łza nań upadła nie jedna. Na kominię zegar wykwintniejszy, stary, ale stojący, po ścianach portrety matron z księgami i paciorkami w rękach, podgolone czupryny starców i genealogiczne drzewo, wyrastające z żołądka rycerza. Staruszka zaraz mi na niem pokazała gałązkę i listek z imieniem mojego dziada.

Obok izdebka, w której się mieści staruszka z wnukami, których połowę przy sobie trzyma, a dalej pokój gospodarstwa: z nimi tylko dziecię najmłodsze. Naprzeciwko panny aż trzy i obok studenci: ot i cały domek. Zapomniałem ci tylko powiedzieć, że z pokoju gospodarstwa wyjście zaszkłone na ogród, żeby w lecie przynajmniej przez pokój staruszki nie chodzić.

Przy tem ubóstwie wesoło, swobodnie i jakoś widać, że choć Bóg nie sypie złotem, ale błogosławi.

Wszystko mi się podobało: i staruszka wesoła, gadatliwa a serdeczna, i sama pani trochę smutna i chora a tak gościnna, wylana dla wszystkich i uiespuszczająca z oka swych dzieci, i paucienki co chwila czerwieniejące jak jabłuszka świeże, rumiane, śmiałe i naiwne, i studentciki patrzące w oczy ciekawie, różne, roztropne i jak należy swawolne. Nikt nas tu w początku nie nazywał tylko panami, ale koniuszy i ja protestowaliśmy przeciwko temu, i widać było radość, gdy braciszek i dziadunio wystąpił.

Nadszedł pan Sumin i wpadł do pokoju opalony, zmęczony, spotniały, aż do nóg dziadowi się kłaniając, wołając na ludzi, na żonę, na matkę, żeby przyjmowali. Był to suchy średnich lat mężczyzna, widać nie próżniak: otwartej twarzy, niebieskich oczu i jasnego wąsa, który przy opalonych policzkach jak liny się wydawał. Wycałowaliśmy się jak na braci przystało i uściskali serdecznie. Rozpoczęła się zaraz rozmowa, ale o czem-że? o nich i o ich gospodarstwie: o czem innem mówić nie mogli. Staruszka popisywała się z wnukami i córkami (panna już doroślejszą milczącą i smutną i dwiema młodszymi); ojciec kazał deklamować studentom, pokazano nam roboty na kanwie paucienek, żeby najmłodszego dziecka,

a Władzio, jeden z malców, koniecznie się uparł, żebym z nim poszedł zobaczyć ogródek, gruszę i huśtawkę. Pomimo matki, która mu nudzić mnie nie dozwalała, poszedłem z nim, a grono dzieci pobiegło za nami. Nie wiem czemu ta wesola rodzina moja rozpogodziła mi czoło: czegoś im zazdrościłem i rozbawiłem się z niemi szczerze po młodemu.

Obszedłszy ogródek, poznawszy się ze wszystkimi drzewami, z Joasią brzozą, z Władziową gruszą, z Józiovą wisienką; obaczywszy kwiatki Julisi i Helenki, wychwaliwszy zabawki chłopców niewykwintne, bo domowej roboty: powróciłem do pokoju, gdzie się już nakrywały stoliki, otwierały komody, oczyszczały z pyłu paradne filiżanki, kipiał samowar blyszczący i gotowała na kominku kawa dla pana koniuszego. Staruszka w najlepszym humorze śmiejąc się ciągle, rozpowiadała coś panu koniuszemu. Pan Sumin przerywał jej malując swe kłopoty gospodarskie i powodzenia.

Wszedłem na to, jak jęczmień wydawał po dwa korce, a pani Teresa przypominała koniuszemu, że była od niego starszą o lat pięć. Biedna starała się być grzeczną jak mogła... Usługa szła żywo, bośmy do niej nie potrzebowali slug, dzieci się same krzątały, tłukły, rozlewały z pospiechu, ale nie można było pozbawić ich przyjemności usłużenia gościom.

Oto próbka rozmowy choć małego:

— Pan brat podobno dzierżawi Zapadliska?

— Tak, już od roku prawie.

— No i jakże idzie?

Pani Teresa. Zapadliska! poczekajcie, toż to dziś Dolskich; wiem, dwóch braci, ubodzy byli: młodszy gdzieś z wojska zniknął, a starszy to się ożenił z Ba-

dylską, nibyto hrabianką. Wziął po żonie majątek, bo była jedynaczka, rodziła się z Przyjemskiej; dobra famija, stara: bardzo zaćny dom, ale zszedł na kądziel. Pamiętam nawet...

Pan Sumin. Jakże idzie gospodarka?

Ja. Zwyczajnie jak u nowego gospodarza: przyjeźdźno bracie i sam zobacz, to mi poradzisz.

Pan Sumin. Chętnie będę pauu bratu służyć.

Koniuszy. Na polowanie do niego jechać: lasy, niech go nie zuam!

Pan Sumin. Pan brat myśliwy?

Ja. Żeby to był czas, ale gospodarstwo!

Pan Sumin. Oj! i ja tak samo! jeszcze w dodatku i dzieci; rzadko się człowiek wybrać może, ale nie bez tego...

Pani Suminowa. Nie narzekaj kochanku, polujesz dosyć często.

Koniuszy. Co to za często, może raz w tydzień parę godzin i urywane: to licha warto.

Suminowa. A pau koniuszy bo co dzień podobno?

Koniuszy. A co ma robić stary próżniak? ot baki strzelam. No i do mnie tam przyjeździe panie Janie.

Pan Jan. Jak tylko się obsieję a chłopców do szkół odwiożę.

Koniuszy. E! ba! to nie rychło będzie! No, a jakże się tam chłopcy uczą w szkołach?

Pan Jan. Starszy, wziął promocję z pochwałą dzięki Bogu, a młodszy żeby nie chorował, toby był wziął toż samo, prawdaż?

Chłopak się zarumienił i wlaźł w kątek poglądając z uśmiechem na matkę.

Pani Suminowa. Już to powiem dziadowi, że

moim dzieciom jak i mnie Pan Bóg zdrowia nie dał; gdyby nie to jedno, człowiekby już nie żądał więcej: ale to wszyscy oni choć to rumiane, a delikatne jak pańskie dzieci. Mój Władzio trochę zdrowszy, to się też o niego najbardziej boję, bo tak było i z tamtym póki febry nie dostał. A od tej febry ciągle cherła.

— Ej nie narzekajcie pani Janowa — przerwała stara, której się milczeć nprzykrzyło: jak to wyrośnie, to zmeźnieje. Ot pamiętam panie koniuszy dobrodzieju moją młodość: kawał czasu, jeszcze to za Korony, za Poniatowskiego. Chwała Bogu teraz mięsa mam dosyć, a bywało ś. p. matka moja Kunegunda z Drabskich Zawiska (Drabszy z Wielkiej Polski, dobra szlachta, jeden był kanonikiem w Poznaniu), myślała zawsze, że się nie uchowam, taka byłam szczupła. Nawet raz księżę Sapieha, będąc w domu moich rodziców...

W tem kawę podali; wszyscy się rzucili nalewać, dolewać, przysuwać, i karmić, i poić, i cukru dorzucać, i sucharki zachwalać. Dzieci po szlachecku rączki położywszy na stole, brody założywszy na krawędź jego, patrzyły ciekawie na te gody i choć się nie napięrały, ale znać było, że im sucharki nie dawały pokoju.

Bóg wie czego nam tam jeść nie dali: były gruszki, jabłka, kawa, herbata, miód, orzechy, bułki, sucharki, obwarzanki, ciasteczka, wszystko co dom miał na stół zniesiono, wszystkiego skosztować było potrzeba. Gruszkę szczepił sam pan Sumin, zrazy, jabłek przywiozła od rodziców swoich pani Janowa, orzechy w Zamalinnem miały być szczególnego smaku i zapachu, miód przechodził lipiec... Jedliśmy dobrze i to tak widać cieszyło gospodarzy, a jak zaczęliśmy gawędzić, tak się i zmierzchło. Gwałtem proszono nas na noc, ale koniuszy powty-

kawszy dzieciom podarki i pann Janowi wsunawszy coś dla niego, pogadawszy coś z każdym z osobna, wybrał się do domu.

Wszyscy nas jeszcze wyprowadzili na gauek, posadzili, żegnali i stali póki nas widzieć było. Wiesz, żem pożegnał tych poczeiwych ludzi z prawdziwem uczuciem. Prawda, że możeby tu ktoś inny tysiące upatrzył śmieszności, ale my nie jesteśmy także śmieszni po swojemu; a gdzie dziś znajdziesz drugie serca tak poczeiwe, otwarte i gotowe do nslugi? Poszanowałem w matce jej przywiązanie do dzieci, w ojcu pracowitość odważną z jaką żywi tę całą rodzinę, w babce chrześcijańskie przy ubóstwie wesele ducha i spokój; dzieci nawet swoją naiwnością i prostotą. z jaką mi wszystko a wszystko opowiadały co się ich tyczy, za serce mnie ujęły.

Jużemy wyjeżdżali z bramy, gdy do niej na koniu zbliżał się jakiś jeździec, którego poznać nie mogłem. Zdawało mi się, że to Jan Graba: co by tu robił, nie wiem. Koninszy mówi, że go poznał i strasznie kiwał głową.

Dość Edmundzie na dzisiaj... Bądź zdrów.

XX.

Edmund do Jerzego.

Wczoraj u Marego byliśmy na wielkim proszonym objedzie, który Staś X. fundował; była tam mowa o tobie, piliśmy zdrowie twoje, a przypomnienie to i list ostatni przemogły lenistwo moje, żem siadł pisać. Biedny wieśniaku, nieszczęśliwy Cyncynacie! wkrótce modlić

się do ciebie będziemy w litanji: święty Suminie... módl się za nami! Co to się z ciebie zrobiło!

Wiesz, że ze strachem poglądam na siebie od czasu jakieś ty oblókł się w suknię filozofa-gospodarza i tak wycnotliwiał; któż wie, gotowo to nieszczęście i mnie spotkać! O! mój Boże, musiałbym się nudzić jak ty! Bo taki przyznaj się kochanku, uderz się w piersi serdecznie, ty się okrutnie nudzisz, ale wzięłeś na kiel i nie chcesz się przyznać.

Ale nie! nie! ze mną to nie będzie! nie głupim! już teraz za nic nie pojedę na wieś: wieś to smola, dotknij się a przylgniesz. Ja lubię miasto i w niem tylko jestem jak ryba w wodzie. Ty mnie już nudzisz kochany święty Suminie męczenniku, nudzisz swojemi moralami, swojemi obrazkami i swoją naiwnością spóźnioną. Kwitniesz w jesieni kochanku. Pisz mi już o czem innem. Ty, twój Graba, koniuszy, pan Piotr fiksat po prostu, pani Lacka jakaś Heloiza zamarzła, cała czereda twoich Poleszków już mi kością w gardle stoi.

Przecież znalazłbyś coś nowego.

Kończ-bo już ze swoją panną Ireną, z którą wyglądasz jak niepodobny do prawdy Koleauder z Leonildą; stoicie naprzeciw siebie i nie śmiecie sobie powiedzieć o czem oboje wiecie doskounale. W dziewiętnastym wieku!! Jeśli sobie przypominam dobrze, kochasz ją zapamiętałe: no to czegoż czekasz? żeby ci ją kto inny wziął z przed nosa? co niechybnie nastąpi. Żeń się, przyjeżdżaj do Warszawy i porzuć to swoje nieznośne Polesie. Tę ci radę daje najszczerzy przyjaciel

Edmund.

P. S. Pisałem w złym humorze, zgrawszy się i trochę chory: objad u Marego mi zaszkodził. Daruj,

bo mi się przepisywać nie chce, ale pisz o czem chcesz byleś pisał, listy twoje są mi potrzebne, przywykłem do uich jakoś: siadam po obiedzie w krzesło i czytam je drzemiąc na odpoczynek. To mi strawności nie psuje. Pisz więc byleś pisał, o czem chcesz, a żeś się jeśli możesz... *Dixi.*

XXI.

Jerzy do Edmunda.

Wczoraj byłem w Rumianie; zastałem panią Lackę samą przy kominku, jak zawsze milczącą, zuudzoną i znużoną. Spytałem o Irenę, odpowiedziała mi, że trochę chora.

— Chora? leży?

— Nie, nie leży, ale ją głowa boli, ma jakieś nerwowe ataki (ruszyła ramionami): zresztą nie wiem co to jest.

— Ale nie ma nic niebezpiecznego?

— O! nie, tak trochę cierpiąca.

Ledwieśmy tych słów domawiali, drzwi się otworzyły i Irena weszła, trochę bardziej ożywiona i bardziej różowa niż zwykle, ale ze smutkiem na czole.

— Pani cierpiąca? — spytałem — nie chcę więc być natrętnym: witam i żegnam.

— Ale nie, proszę pana zostać, panie Jerzy. Tak, czułam się zmęczoną, nie swoją tylko: nic mi nie jest zresztą.

Usiedliśmy, pani Lacka zabrała książkę, którą przed chwilą czytała, pochodziła uśmiechając się nieznacznie i wyszła jakby naumyślnie.

Rozmowa toczyła się z początku obojętnie: pytano mnie o Grabę, o koniuszego, nawet o kapitana; sparta o krawędź kanapy, Irena miała postać znużonej, cierpiącej. Drugi raz chciałem ją pożegnać i znowu mnie wstrzymała.

— Pan mi jesteś potrzebny — powiedziała — czy pan tego nie widzisz, że mi potrzebny jesteś?

— Jak oganka od much... oganka od nudów?

— Któż się nudzi? — spytała — ale myśl pan jak chcesz. — Ruszyła ramionami. — Rok już jak się znamy — dodała — a pan mnie, jak widzę, nic jeszcze nie znasz, nic nie rozumiesz.

Milczałem.

— Widzisz pan — rzekła, schylając się po książkę, jesteś mi potrzebniejszy niż sądzisz; będziesz mi czytał. Oto tę książkę w czarnych okładkach: są to listy Jakóba Ortiza.

— Książka tak smutna?

— Jak ja... to dobrze właśnie.

— Mogłażbyś pani być smutną?

— Dlaczego nie? Jak pan, tak wszyscy rozumieć mnie nie chcą: ja sama chwilami wątpię o sobie... No, czytaj pan.

Czytałem, książka była dziwnie rozłożona. Nie wiem czy znasz i bardzo wątpię, żebyś znalazł listy Jakóba Ortiza. Zastanowiła się Irena na 29. kwietnia i począć musiałem od wyrazów, które dziwnie i mój stan i moje nawet dzisiejsze położenie malowały:

„*Vicino a lei sono sì pieno della esistenza...*“
doszedłem do miejsca, w którym Ortiz maluje siebie i ją:

„*La pazza figura ch'io so quand'ella siede
lavorando, ed io leggo!*“

Właśnie Irena wzięła była robotę, spojrzeliśmy na siebie, uśmiechnęła się smutnie, czytałem dalej. Lepiej ci przetłumaczę com czytał: ty tylko tyle rozumiesz włoskiego języka ile jest w libretach oper.

„Jakże ze mnie pocieszna postać, gdy ona siedzi nad robotą, a ja czytam! Przerywam sobie za każdym wierszem, a ona? — Czytaj pan dalej: — wracam do czytania, lecz nim dwie karty skończę, coraz prędzej trzepać zaczynam i kończę mrużąc niezrozumiale: Teresa sie gniewa.”

— W istocie pan czytasz tak prędko i niezrozumiale jak Ortiz — przerwała mi — choć nie masz przed sobą Teresy.

— Mam czytać powolniej? — spytałem.

— Powolniej? a! jakżeś pan nudny z tem swoim posłuszeństwem: czytaj jak chcesz.

Czytałem dalej, ale dalej następowały karty pełne uczucia, które mnie przy niej siedzącego rozplomieniły. Niebezpiecznie jest czytać kobiecie, którą się kocha, której się tego powiedzieć nie może, książkę pełną wyrazów, co nasz stan malują; usta, oczy, głos co chwila zdradzają... przeszliśmy historję Lorety i posunęliśmy się ku 14. maja. Ja od dawna i po kilkakroć czytałem listy Jakóba Ortiz, nie chciałem więc czytać dalej.

— Pani to pierwszy raz czyta? — spytałem.

— Pierwszy raz.

Chciałem się wywinąć od tego listu z 14. maja, ale nie było możności, musiałem go przeczytać. Te wyrazy w języku dźwięcznym, miłym, śpiewnym, pełne uczucia silnego, zaczęły działać na mnie, hamowałem własne

myśli, które dolatywały do brzegu ust i zdawały się chcieć wybuchnąć. Zacząłem tylko:

„Si Lorenzo odilo... lu mia bocca e umida ancora di un bacio di Teresa...”

Irena ze spuszczoną głową robiła robotę i przeskoczyłem do drugiego listu tejże daty.

„O quante volte ho ripigliata la penna e non ho potuto continuare...”

— I ja — odezwałem się zamykając książkę — nie mogę iść dalej.

— Pan? cóż to jest?

— Ja... — już mi się wyraz dwuznaczny miał z ust wyrwać, już mi miał powiedzieć, że przy niej to czytać zimno, gdy w sercu się burzy, niepodobna; ale się powstrzymał.

— Czemuż? — spytała znowu.

— Bo... nie chcę, to nudne! — zawołałem — będę pani czytał co innego.

— Ale kiedy ja lubię Ortiza.

— Ja go nie lubię... długi, jednostajny; przynajmniej przerzućmy kart kilka.

Ruszyła ramionami.

— Widzę — dodała — że pan jesteś niesłychany skromniś; wiem przecie, że Ortiz miał usta zwilżone pocałunkiem Teresy; czytamyż opisanie tej chwili, ciekawa jestem pod względem artystycznym: to rzecz tak trudna schwycić uczucie na papier, uwiezić je w słowa.

— A! pani jesteś zimna jak lód — przerwałem — pani całą tę książkę uczucia sądzisz ze stanowiska sztuki... on wygnaniec, ja przecież pisałem sercem!

— Myślisz pan — spytała chłodno — pan sądzisz, że się pisze sercem?

— Dlaczegoż nie?

— Bo kto czuje, nie pisze; co najwięcej, wyrazy uczucia są tylko jego wspomnieniem. Kto siadł pisać, ten już przeboleł i przeczuł.

Zamilkłem przerzucając karty książki.

— Pod względem sztuki — dodałem — Ortiz nie dochodzi Wertera.

— Wertera pisał arcy-mistrz, co nigdy nie czując (dowodem życie tego Jupitera), doskonale znał anatomię uczucia, jak Cuvier, co nie widział mastodontów a prawa ich organizacji odgadł.

— Godzisz się tak surowo sądzić tego, co stworzył kochankę Fausta?

— Godzi się, bo życie pisarza to kamień probierczy.

— Nie pani: dwa, zdaje mi się, są życia w życiu poety, jedno powszednie, drugie odświeżające; często je dzieli cały świat sprzeczności, dwóch ludzi zamyka się w jednym... poeta nie może być natchniony całe życie.

— Iskra choć przygasła zostaje w nim ciągle.

— Poruszyliśmy zbyt wielkie pytanie.

Po chwili dodała uparcie:

— Czytaj pan dalej.

Mnie już książka z rąk wypadła, patrzałem na nią oczyma, jakimi spoglądał Jakób na Teresę, ale miłość jeszcze bojaźliwa, jeszcze nie pewna co ją spotka, gdyby na jaw wyjść śmiała: bała się zlecieć na usta. Oczy ją tylko tłumaczyły może. Uczułem, że trzeba było uciekać lub wszystko w jednym słowie odważyć.

Irena spoglądała na mnie z jakimś wyrazem czarującym, potężnym, który zdawał się pociągać z duszy tajemnicę moją.

Nieprzypadkiem prawie porwałem za kapelusz.

— A to dokąd? — spytała.

— Ja? nie wiem... (nie wiem co odpowiedziałem, ale rzucałem znowu kapelusz jakem go był wziął machinalnie i usiadłem opodał na krześle).

— Co panu jest?

Zrozpaczony, pomyślałem błyskawicą! Powiem jej wszystko, a potem pojedę... pojedę... ucieknę.

— Pani się mnie pytasz? — odparłem z gorączkowym niepokojem. — Rok jak na panią patrzę, rok jak cierpię, milczę... to dosyć, to nadto może. Niech mnie posądzą jak chcą, niech co chcą powiedzą, wreszcie z pogardą odtrąć mnie pani...

Irena była widocznie pomieszana, mnie głos zamierał na ustach, czułem com ważył, chciałem dokończyć: nie umiałem.

— Czyż zadziwię panią, gdy mi się nareszcie wyrwie nęciskające mnie słowo: kocham!

Zbliżyłem się do niej żywo: milczała, podniosła oczy pełne wyrazu, patrzyła na mnie długo, długo, długo i wreszcie podała mi rękę drżącą.

To było więcej niż szczęście, to była chwila niema, na której opis nie ma wyrazów, i któżby śmiał ją opisywać? Jej ręka drżąca w mojej dłoni... był to jakby ślub w oczach Boga; bo kobieta tak jak ona, nie podałaby jej nie wiążąc się na życie całe.

Nie wiem jak długo siedzieliśmy, ona na kanapie, ja przy niej na krześle w uroczystem, pełnem zachwytu milczeniu. Nakoniec wstała zamyślona i słabym głosem zwracając się do mnie, spytała:

— Mogę ci wierzyć? Miałebyś dla chwilowego, lekkiego uczucia, zrobić sobie igraszkę z całego życia kobiety?

Nie umiałem i na to odpowiedzieć, przysięga byłaby jej uwłaczała i mnie; ale widziała z oczów, z kilku próżnych słów tłumnie do ust się cisnących, że nie kłamał, że czułem.

Odjechałem pijany, szalony: piszę jeszcze w gorączce, zapewne to list ostatni... szczęśliwi nie piszą. Bądź zdrow.

Jerzy.

XVI.

Irena do miss F. Willby.

Rumiaua, 11. listopada 18...

Z góry cię proszę, nie dziwuj się długości tego listu kochana Faniu; wiele a wiele rzeczy mam ci donieść: chcę, żebyś wszystko wiedziała, chcę, żebyś tam przeczytawszy moje dzieje, mogła westchnąć życzliwie za mną. Rozumiem potęgę błogosławieństwa i siłę życzeń przyjaznych.

W ostatnim liście ¹⁾ donosiłam ci, zdaje mi się, że wszystko jeszcze było na dawnej stopie. Mój opiekun, chociaż poprzestał już gwałtownie się sprzeciwiać wszelkiemu staraniu Jerzego (a śladu jego nie było i domyślał się tylko z trafnością przywiązania), niemniej zawsze jeszcze korzystał z każdej zręczności, żeby mnie zastraszać przyszością. W końcu widać, że zwrócił uwagę na niego baczniejszą i sam począł innego o nim

¹⁾ Listu tego kopji nie mamy.

nabierać przekonania; zmiękczony trochę, milczał. Raz nawet, gdyśmy o nim mówili, odezwał się:

— Jużciż inaczej i dziś nie powiem, tylko, że szalawila; no, ale grunt jest, charakter jest... krew pocziwa. Zresztą co on tam winien, że sierota puszczonego samopas, szedł gdzie go oczy wiodły.

— Chwała Bogu, sam pan go już uniewinniasz.

— Ale ja go nie uniewinniam wcale! o nie! mylisz się moja panno! Szalawila, trzpiot, no, ale cóż robić: trzeba go brać jak jest.

— Mówisz pan, że go potrzeba brać? — spytałam ze śmiechem. Stary się przeląkł.

— Owszem, owszem, nie potrzeba go brać! na co go brać, niech go sobie kaci biorą!

Spojrzał na mnie, jam się uśmiechała.

— A co — rzekł — może, gdym ja marszałkował i procesował się, on się sobie chłodziem oświadczył?

— On nie, ja mn się chyba oświadczę: nie widze innego sposobu.

— To do tego już przyszło!

Stary ręce załamał.

— Panie koniuszy, on mnie kocha.

— A ba! wielka osobliwość! co dziwnego!

— I ja go kocham.

Chwycił się za głowę, pobiegł, wrócił!

— Nie strasz mnie... doprawdy?

— Ja go kocham — powtórzyłam.

— Teraz tylko pozostaje — rzekł gorzko — pojechać pani do Zapadlisk i oświadczyć mu się; a potem zjechać po niego karetą i zabrać go do Rumianej! Ślicznie! ślicznie!

— No! a gdyby do tego przyszło?

— Ale to szaleństwo.
— Nazwij jak chcesz.
— Przynajmniej już czekaj, żeby ci się sam oświadczył.
— Zdaje mi się, że tak nieośmielony, iż się tego nigdy nie doczekam.

— On! nieośmielony! dzieciątko! biedaczek!

— Słowa mi nigdy nie powiedział.

— Kalkulacja niezła! sztuczka cygańska!

— A godził się tak sądzić?

— Ja nie sądzę, ja się boję.

— A Bóg!

— E! mościa pauno, strzeżonego Pan Bóg strzeże, a ja jestem opiekunem i nie chcę być malowanym. Ulituj się przynajmniej, nie rób wstydu, czekaj.

— Będę więc czekała.

Pocałował mnie w rękę.

— Ale gdy przyjdziemy do tego, tatku mój, nie będziesz przeciwny?

Stary pomyślał jeszcze.

— Albo to ty ze mną nie zrobisz zawsze co zechcesz? Oj, gdybym ja miał więcej charakteru i mocy nad sobą, nigdybym na to nie powinien pozwolić.

Po rozmowie wymknął mi się i jak się sam zaraz przyznał, pojechał spiesźnie do Zapadlisk. Tam całem staraniem jego było wmówić w Jerzego, że ja nie mam i nigdy nie miałam uczucia; że kilku oświadczających się odprawiłam szydersko i nielitościwie; że cała żyję głową; że zimna i niezbadana, odstręczając go od wszelkiej próby oświadczenia. Wszystko było niepotrzebne, bo Jerzy do mnie nigdy nie miał nadto odwagi. Zbliżyła się wreszcie chwila dla mnie wielka i stanowcza. Byłam chora trochę, Jerzy przyjechał. Lacka, jak zawsze,

ustąpiła, żeby nie być świadkiem naszej rozmowy, która ją drażniła do niecierpliwości. Kazałam mu czytać: na stole jakby umyślnie, szczególnym trafem leżał Jakób Ortiz. Ty znasz listy Ortiza? wszakże Foscolo wydał je podobno pierwszy raz w Londynie? Kazałam, czytał, i gdy przyszło do obrazu sceny namiętnej między Teresą i Jakóbem, zawahał się i przestał.

Próżnom ualegała, nie chciał czytać dalej; był wzruszony, widziałam to; podbudzone czytaniem uczucie z ust mu się wyrывało. Może też i ja niecierpliwa wyprowadziłam go na wyznanie, które się stało koniecznością, a którego się lękał. Przemówił nareszcie: nie miałam siły i słów, by mu odpowiedzieć; podałam rękę w milczeniu i nie otwierając ust, siedzieliśmy długo, mówiąc oczyma tylko.

On mnie kocha! uczulabym gdyby kłamał: jakiś wyraz, półsłowo, skinienie zdradziłoby udawanie i zraniło mnie boleśnie... on mnie kocha! A ja! na cóż to mam pisać: kocham go pewnie nie mniej, gorąco... na zawsze... Pisząc ten wyraz, zamglilo mi w oczach, tyle razy w życiu człowiek pisze: na zawsze!... a zawsze jego bywa tak krótkie! Smutno, tęskno, straszno, nawet w progu szczęścia!

Nie widzieliśmy się następnego dnia, aż do późna nie przyjechał, jam na niego czekała. Ledwie wieczorem wytłumaczyło mi się to przybyciem koniuszego z nim razem. Stary cały dzień gościł w Zapadliskach, ale o wczorajszym dniu nic nie wiedział. Zobaczywszy mnie idącą na powitanie z twarzą wesolą i swobodną, koniuszy, który mi zawsze wyrzucał od roku jakiś smutek i tęsknotę, popatrzał na mnie, na Jerzego i domysleć się musiał wszystkiego. W istocie byłam promieniejącą,

szczęśliwą, odmlodzoną, a bez przyczyny nie mogłam zmienić się tak nagle. Szepnął mi zaraz stary na stronie :

— A co, pewnie już po oświadczeniu ?

— Zgadnij pan ? — spytałam żartobliwie.

— Tyś mu się gotowa była jeszcze sama narzucić ! — rzekł chmurząc brwi.

— Ja ? nie.

— Więc on ! śmialek ! tegom się nie spodziewał !

Trochę smutku, trochę zazdrości odmalowało się na jego twarzy.

— To on mi ciebie zabierze — rzekł — to ty mnie kochać nie będziesz ! On się jeszcze gniewa na mnie, jam mu tak dokuczył.

— Panie Jerzy — zawołałam — wszak prawda, że kochasz pana koniuszego i żalu do niego nie masz ?

Jerzy zmienił się na to nagłe pytanie.

— Ja ? któżby wątpił, że dziada nie szanuję, a żalu nie mam i mieć nie mogę.

— Bodaj ty tak zdrów był — wstrząsając głową odpowiedział koniuszy — a tożem ci sadła za skórę zalał co się zowie. No, ale teraz wszystko zapomniane, przepadło ? nieprawdaż !

— Jako teraz ? — spytał Jerzy.

— Alboż to ty myślisz, że ja nic nie wiem ?

I stary mój pocziwy Nemrod miał łzy w oczach.

— Słuchaj chłopcze — rzekł z powagą — Bóg tak chciał, stało się, jużbym napróżno głowę łamał, żeby to rozerwać, co On związał : widać takie było przeznaczenie wasze. Ale pamiętaj, pamiętaj, to nie są płoche żarty ! Bóg ci daje aniola nie kobietę, rozumną, odważną, piękną, dobrą (excusez du peu). Jeśli ty się nie

postarasz być jej godnym, no, to wiesz: jeśli ty jej nie uczynisz szczęśliwą, jak Bóg Bogiem i jak mnie widzisz żywego, pamiętaj, że ja się pomszczę, o! pomszczę bez litości!

Pocałował go w ramię, uściskali się i koninszy zapłakał; siadł potem u stolika i zamyślił się smutnie.

Żał mi było patrzeć na niego, tak mojemu szczęściu nie dowierzał, tak mi je psuł swoją bojaźnią, tak mu ono jakoś ciążyło. Widząc nas szczęśliwych sobą, zdrościł Jerzemu. Biedny stary! jam mu tyle winna!

Wieczorem mieliśmy gości, dwóch Grabów, kapitana i kilka jeszcze osób. Kapitan, który wiecznie z koniuszym wojuje i świeżo odciął mu kawalek drogiego lasu, przy którym się utrzymał; jako mój krewny dowiedział się pierwszy, żeśmy już sobie z Jerzym dali słowo.

Z najpociesznieszłą miną poszedł natychmiast winszować panu koniuszemu: widziałam ich już pojednanych po procesie, ściskających się, prawiących sobie grzeczności, sypiących nieznośnym dobrodziejem, całujących nogi, unizających się do stopek, a koniuszego aż tupiącego ze złości, tak go te powinszowania niecierpliwiły. Kapitan, nielitościwy, cały wieczór mówił mu o przysłem naszym szczęściu w sposób najbardziej drażniący.

Umówiliśmy się o wszystko.

Nie będziemy czekali na przybory weselne, nie będziemy spraszać świadków naszego szczęścia: koninszy, pocziwy Graba i pan kapitan wystarczą. Ślub odbędzie się po cichu w naszej domowej kaplicy; potem pojedziemy do W. Polski na grób jego rodziców, prosić ich błogosławieństwa. Sąsiedztwo spodziewając się szumnego wesela bardzo się biedne omyli - cóż robić? Nie mogłam nigdy pojąć weseli szumnych i wrzawnych:

człowiek za tym gwarem sam swego serca nie słyszy. Zresztą, na cóż z siebie, w tak uroczystej chwili, widowisko dla obojętnych?

Nie kończę listu, Jerzy nadjechał, przerywam go tylko.

D. 13 listopada...

Posłuchaj jeszcze choć już nie mojej historii: Jerzy mi ją opowiadał.

Był u Graby, gdy nadjechał bryczką swoją koniuszy z minką złośliwie uśmiechniętą i tajemniczą.

— A co sąsiedzie — spytał w ganku — gdzie to syn pański?

— Mój syn, zdaje mi się, że na polowaniu — odpowiedział gospodarz.

— Pewnie na polowaniu?

— Tak mi się zdaje.

— Niebardzo to pora do myśliwstwa. A pan masz trochę czasu dla mnie?

— Jestem na usługi.

— Może pan ze mną pojechać tak o mil parę?

— Dlaczegoż nie?

Odwrócił się tylko ku Jerzemu. — Ale pan Jerzy?

— Ja wracam do Zapadłisk zaraz.

— Nie, pan Jerzy pojedzie z nami — rzekł koniuszy.

— Dokądżeto?

— O! a zaraz ciekawość dowiedzieć się dokąd. No, a gdyby do Zamalinnego? odwiedzić pocziwych Suminów.

— Chętnie — odezwali się obydwaj i pojechali.

Podróż ta pachła czemś tajemniczem. Koniuszy zacierając ręce milczał i wyglądał rychło dojadą; już

dworek i dziedziczny widać było, gdy wychylając się z powozu wskazał staremu Grabie konia przywiązanego do płota.

— Cośto nakształt sarneczki pana Jana (tak zowie się jego wierzchowa).

— W istocie — serjo odparł Grabę — to sarneczka.

— Cóżby tu pan Jan robił? — spytał śmiejąc się koniuszy.

— A cóż — zimno odpowiedział ojciec — może jak my odwiedza Suminów.

— A nawet podobno często, gęsto, kochany sąsiedzie.

— Nic dziwnego: to bardzo poczciwi ludzie.

Koniuszy, który sądził, że to niesłychanie zdziwi pana Grabę, gdy pod ubożuchną strzechą zastanie syna, zawiedzionym się widząc, zamilkł. Cicho zajechali przed ganek, wysiedli. Koniuszy idąc na palcach, wiodąc za sobą starego Grabę, wszedł do bawialnego pokoju.

Staruszka matka Suminów drzemała z pończochą w ręku na krześle siedząc, panna Julja jej córka robiła w krosnach przy oknie, Jan Graba stał za nią i czytał głośno. Nic dziwnego, że przyjeżdżających nie posłyszeli!

Koniuszy wskazał ręką ojcu tę parę jakby pytał:

— A co?

Ojciec uśmiechnął się tylko; ale już w saloniku wszystko się z miejsca ruszyło. Staruszka z wykrzykiem: „A Jezus Marja! p. koniuszy!“ chwyciła się z poduszek; Jan odskoczył zaczerwieniony, panna ledwie się ukloniwszy, uciekła.

Powoli jednak wszystko przyszło do porządku i choć znać było pomieszanie na twarzach, wesołe oblicze poczciwego Graby najstraszniejszej tu postaci, dodawało

serca. Koniuszy sądząc, że ojcu potrzeba jasno bardzo pokazać jaki stosunek syna jego łączy ze szlacheckim domkiem, ciągle prześladował Jana panną Julją : Julję panem Janem. Graba jakby nie widział, jakby nie slyszal, wesół i swobodny rozmawiał o gospodarstwie z gospodarzem, który nadbiegł, z panią Teresą o genealogji rodzin obojgu im znanych, z pannami o kwiatach. Julja bojaźliwe, łzawe, przestraszone wejrzenie spłoszonego stworzenia rzucala na niego zdając się błagać o litość : syn był smutny ale spokojny.

Już prawie odjeżdżać mieli, i powstawali z krzesel, gdy stary Graba zbliżył się do pani Teresy, z ciężkością dźwigającej się z krzesła dla pożegnania go.

— Nie przybyłem tu — odezwał się — z odwiedzinami tylko do państwa, ale w interesie i w ważnym bardzo.

Wszyscy pobledli, koniuszy usta zagryzł ; czekał.

— Uprosiłem pana koniuszego, ażeby razem ze mną przybył uroczyście prosić o rękę córki pani, dla syna mojego Jana !

Staruszka nie mogła nic powiedzieć, uszom nie wierzyła, załamała ręce i upadła na krzesło.

— Tak jest, pani — mówił Graba — oddawna wiem o jego przywiązaniu do panny Julji ; wiem, że państwo staraliście się, uważając związek między nimi za niepodobny prawie, grzecznie dać do zrozumienia memu Janowi, żeby u nich bywać poprzestał ; wiem, że Jan wytrwał cierpliwie i stale, że kocha pannę Julję, i że ze wszech miar szczęśliwy z nią będzie : wiem wszystko i proszę o rękę córki pani dla Jana.

Któż odmaluje zadziwienie koniuszego, radość poczciwej ubogiej rodziny i uczucie z jakim syn rzucił

się ojcu na szyję, a starszce do nóg!

Ubodzy Suminowie brali tę osobliwszą rzeczywistość za sen i plakali z radości, Julja osłabła, koniuszy przebywszy chwilę osłupienia, gdyż nigdy takiego nie spodziewał się końca, silnie za rękę chwycił Grabę i szepnął:

— Do kroćset djabłów, zażyłeś mnie z mańki! Niech ci Bóg zapłaci!

Słowem, była to scena dramatyczna, a Jerzy co był jej świadkiem, nie mógł mi się dość naopowiadać o niej.

Późno w nocy odjechali, a koniuszy w drodze spytał Graby:

— To pan o wszystkim wiedziałeś?

— Wiedziałem panie: naprzód, że syn mój wiele się nie tail z tem; powtóre, że najpilniejszą zwracałem na niego baczną. Staralem się poznać Suminów, i przekonawszy się, że panna Julja choć uboga, warta mego Jana, gotowałem się oddawna skończyć błogosławieństwem rozpoczęte staranie.

— A coto jegomościu żona powie na to? — rzekł koniuszy śmiejąc się.

Graba westchnął. — Syn ją uprosi — odpowiedział cicho.

— At tandem wątpię.

Daruj mi kochana Faniu, że zamiast listu posyłam ci nieforemną scenę powieści, ale mnie ona z wielu względów zajmowała: musiałam się nią z tobą podzielić.

Na jutro zaproszeni jesteśmy wszyscy do Turzej Włóry; bądź zdrowa, idę się przygotować do wyjazdu, a posłaniec na pocztę odchodzi: twoja

Irena

XXIII.

Jerzy do Edmunda.

I szczęśliwi piszą czasem, kochany Munciu; nie obiecywałem ci listów więcej i spodziewałem się zamilknąć niedokuczając ci więcej naszą historją, która cię tak znudziła; ale nałóg to druga natura, skusiła mnie, nawykłem już donosić ci o sobie. Wiedz zatem, że za parę tygodni ślub mój z Ireną odbędzie się cicho, w kaplicy domowej, przy kilku tylko świadkach; po ślubie zaraz jedziemy na czas do Wielkiej Polski do mojego niegdyś, dziś wykupionego przez dziada majątku, który...

Ale posłuchaj od początku: musisz choćby cię dla wił, list ten jeszcze tylko przełknąć.

Ja, Irena i kilka osób jeszcze, zaproszeni byliśmy do Turzej Góry; nie wiedziałem wcale co to zaproszenie znaczyć miało, lecz dojeżdżając do dworu domyśliłem się jakiejś uroczystości po powozach stojących w dziedzińcu i po ruchu w kolo domu. Ze starej kuchni dymilo ogromnie. Malcowski był we fraku; poznałem przed wozownią stojący powóz mojej pani i żywo wbiegłem do pokoju.

Kouiuszy w granatowym garuiturze od wielkich uroczystości, w palonych butach z kutasami, świeżo ogolony, powitał mnie szczerem, wesołym uściskiem. Salka pełna była jak nigdy.

Wszyscy Suminowie z Zamalinnego, nie wyjmując nikogo przybyli; jedno tylko najmniejsze dziecię, przy niańce zostać musiało w domu. Ledwie poznał poczciwego Sumina tak był wyfrakowany i usiłuje wy-

strojony, a tak mu z tem było nie do twarzy! Pani Teresa siedziała w wielkiem krześle, tłumacząc pani Lackiej roztargnionej i żnudzonej jak zawsze, procedencję Suminów i koligacje ich z różnemi senatorskimi domami. Lacka patrzyła na muchy chodzące po suficie... starszka nie zważając na to, puszczała się w genealogiczne odmęty.

Dzieci bawiły się z psami, starsze panienki biedne i zaczerwienione szeptały w kątku. Julja tylko siedziała weselsza i śmielsza przy Irenie, która pieściła Władzia trzymając go na kolanach. Ten jej rozповідаł odważnie o jabłoni, o huśtawce i ogródku w Zamalinnem.

Graba rozprawiał z panem Suminem o roli i jej uprawie; kapitan coś kwaśny, tylko ruszał ramionami i zaproszony nie wiedział co zrobić z sobą, bo koniuszy był w dobrym humorze, a uie miał mu go czem popsuć i posprzeczać się grzecznie, nie wiedział sposobu.

Dano objad: przy objedzie, gdy wszyscy byli razem w salce, wszedł uroczyście koniuszy z kimś drugim nieznanym, ale potężnie kanclerją i piórem technącym. Zabrawszy głos, prosił nas o wysłuchanie swego — testamentu.

Irena rzuciła się do starego prosząc go, żeby nam tak smutno, dnia tak wesoło rozpoczętego, nie kończył; ale koniuszy zwołna ją odrzucił, pocałowawszy w czoło i kazał czytać.

Oto rozporządzenia pocziwego dziada.

Turzo-Górszczyzna podzielona na dwoje, dostaje się w połowie Irenie, w połowie ubogim Suminom, którzy słysząc to a nie spodziewając się wcale, wszyscy starem

do nóg popadali: Jan tylko prędko wstał i podając m rękę, rzekł:

— Ty byłeś bogaty i potrzebujesz więcej odemnie, tem co nam dziad ofiaruje, podzielę się z tobą.

— Ot jest! jaka gorączka — krzyknął pan koniuszy — daj wacpan pokój, będzie on miał dosyć, nie szastaj a słuchaj.

W milczeniu uściskałem Jana, a dziad ocierając zwilgocone oczy wymknął się i nie powrócił aż gdy przyszło do sumy na dobrach W. Polskich mnie zapisanej.

Oparłem się i nie chciałem przyjąć zapisu, ale dziad z zaognionem okiem porwał mnie za rękę, uściśnął do bólu i szepnął:

— Słuchajno, to już nie punkt honoru, ale upór nie do rzeczy. Wiem, że możesz tego nie potrzebować, ale ja tego chcę. — Zamilkłem, obiecując sobie jednak biedniejszym Suminom powrócić tę stratę. Irena także nie zechce pewnie przyjąć tej połowy Turzo-Górszczyzny! ale dziś staremu o tem ani mówić. Koniuszy pokładł w zapisach nam uczynionych za warunek, żebyśmy mieszkali przy nim, dając tylko pozwolenie odbycia podróży do W. Polski.

Trzeba go było widzieć dnia tego, jaki był rad, gdy się już ze mną całkiem pogodził, jak prawil o myślistwie, jak pił i zapraszał drugich, jak co chwila całował ręce Ireny. Trzeba też było widzieć twarze tych pocziwych a dziś szczęśliwych Suminów, którzy z ubóstwa przechodzą do dostatku; bo skutkiem rozporządzenia dziada, część Turzej-Góry, którą im przeznaczył, obejmują natychmiast w swój zarząd. — Jan dobry gospodarz, ja już stary, niech sobie bierze co jego, ja

tylko wymawiam polowanie w lasach i ludzi do oblawy choćby we żniwo.

— Jakto, we żniwo? — naiwnie spytał Jan.

— A co myślisz? he? — spytał sapiąc koniuszy — ot tak! choćby we żniwo! Ty sobie zresztą rób co chcesz, a ja muszę mieć polowanie i dosyć.— Stara Teresa trąciła syna w rękę, bo gotów był zabiegły gospodarz turbować się o te łowy w gospodarski czas.

Kapitan wysłuchał czytania testamentu do samego końca, ruszył ramionami i pojechał do domu, nie pożegnawszy się z nikim. Graba z synem pozostał, a wieczorem koniuszy siadając przy nas, śmiejąc się i oglądając dokoła, rzekł klepiąc mnie po kolanie:

— No! dzięki Bogu, że to się wszystko skończyło, aleś mi waść panie Jerzy tęgiego Piotra napędził! Ha! Pamiętasz jak się ja waści pozbywałem z Turzej Góry, a tu ani sposobu; jakbym przeczuwał, że mi zabierzesz Ireuę. Ale niech mnie teraz cygan sądzi: świstun, marnotrawca, szalun, ciarki poszły po skórze, a nuż wpadnie w oko? na biedę nie wiele potrzeba — to do kroć sto tysięcy zajęcy jeszcze człowiek będzie miał na sumieniu. Przyznaj się teraz szczerze Jurku, musiałeś mnie nienawidzieć?

— Nie, ale w sercu żal miałem.

— I masz?

— Dziś? za cóż?

— No pamiętaj! I uściskał mnie powtarzając:

— Dobrze, że to się wszystko skończyło, jeszcze mrowie chodzi po mnie, a daj Boże na dobre!

Spędziliśmy wieczór rozkosznie, otworzono przyległe pokoje, w których zwykle stała Irena, gdy przyjeżdżała do Turzej Góry; znalazł się fortepian, bo

koniuszy myślał, żeby i na chwilę u niego nie jej nie zabrakło, do czego była przywykła. Irena grała nam i dzieciom do późna.

Suminowie ze swem naiwnem uwielbieniem dla niej, rozczulali mnie bardzo i śmieszyli troszeczkę. Ale któżby duszy jaka się maluje we wszystko co czyni, nie ocenił, nie uwielbiał. Ona nie należy wcale do tych tuzinkowych pianistek salonowych, co grają trudne sztuczki Thalberga i Liszta z łatwością i *con brio* na zamydlenie nszów nieukom; gra z uczuciem i najwięcej starych mistrzów. Na piękności ich dzieł i prości poznają się ludzie, bo to muzyka wielka, co z duszy wypłynęła: takich wieczorów mało jest w życiu!

Siedzieliśmy potem we czworo w kątku, ja, ona, Jan i Julja i mówiliśmy długo, pierwszy raz tak poufale i tak wśród tłumu wyosobnieni. Ja nie kocham jej, nie... ja ją wielbię, to coś wyższego nad kobietę, to anioł, który się zsunął na ziemię na promyku słońca i mnie się dostał! Czym go wart? Nie! nie! tysiąc było godniejszych, ale nikt pewnieby jej mocniej, z większem poświęceniem się nie ukochał, niktby jej tak nie pojął i nie ocenił jak ja. Edmundzie! przyszły, ostatni list napiszę po ślubie.

Twój *Jerzy*.

XXIV.

Turza-Góra, d. 27. grudnia 18...

Przepędzamy tu z żoną święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok nadchodzi, chcę ci go powinszować. Nie mogę długo: przyjm tylko szczere życzenia moje. Od kilku tygodni ona moją, i codzień budząc się ze snu, muszę sobie przypomnieć pilnie, że to prawda, że to nie marzenie; niepojęte jest szczęście moje i tak nie śmiem mu wierzyć. Bądź zdrow drogi Edmundzie, nie pisz do mnie, już ci odpisać nie będę miał czasu: każda chwila tak droga! Twój

Jerzy.

EPILOG.

Pozostaje nam wedle przyjętego zwyczaju, dopełnić powieści, wskazując dalsze losy tych osób, które w niej poznali czytelnicy. Najłatwiejby zamknąć zakończeniem starych bajek: żyli długo, szczęśliwie i mieli wiele dzieci; ale dziś to już nie uchodzi.

Powiedzmy więc kilka słów o każdym.

Grabę sąsiedzi nie przestali nazywać dziwakiem; on ze swej strony nie przestał zasługiwać na to nazwisko i stale idąc do celu, nie poświęcił przekonania swego łakomej dla drugich popularności. Syn jego poszedł w ślady ojca, a małżeństwo z Julją Sumin jest jednym z tych fenomenalnych związków, które nie obiecują watku do plotek dla sąsiadów dostarczać. Żona pana

Graby wyjechała za granicę, bawi we Florencji, córkę wydała za jakieś gołe włoskie książątko.

Kapitan siedzi w Kurzyłówce, rozmyślając, czemu mógł dokuczyć koniuszemu, którego jak zawsze ściska i jak zawsze nienawidzi. Koniuszy niemniej gorliwie zasiada się na kapitana, ale rady sobie dać nie mogą. Proces o Zajamie skończył się kompromisem: ostęp przeszedł we władanie dziedzica, a co koniuszy krwi sobie popsuł a kapitan sarną nastrzelal, to przy nich zostało. Teraz przygotowuje się nowy spór: o zalanie łąk Kurzyłowieckich przez podniesienie grobel w Turzej-Górze. A że prócz tego została zapaśna kwestja o sukcesję, która przypadała na Irenę z czasu opieki pana koniuszego; kapitanowi nie zabraknie sposobów niecierpliwienia starego poleskiego Nemroda. Niedawno odmówił mu leśniczego, który doskonale wabił wilki, za co koniuszy się wścieka, ale cóż poradzić? Kapitan bije się w piersi, ściska, całuje i za każdą psotą wyrządzoną tak potulną przybiera minę, że trzeba plunąć i porzucić.

Ślub Ireny i Jerzego odbył się cicho w Rumianej. Przepędziwszy czas jakiś w Turzej-Górze, pojechali do W. Polski; za powrotem zamieszkał przy nich koniuszy, mając tylko niekiedy odwiedzać swoją chatkę, jak ją zowie. W Rumianej lasy piękne i niespolowane. Suminowie z Zamalińskiego objawszy kilka folwarków z Turzo-Górszczyzny im wydzielonych, a chcąc na nich gospodarzyć jak niegdyś na swoich kilku chatkach, nieustannie się gryzą i straszliwie męczą. Jan niekiedy do ostatniej niecierpliwości przyprowadzony, myśli o wydzierżawieniu i chce powrócić do Zamalinnego. Ale pani Teresa, z domu Zawilska, zdrowym swym rozsądkiem i

nieskończoną ilością przykładów, umie go na drogę wytrwania wprowadzić.

Piotr Dolski powrócił po długiej wędrowce do hordyszcza swojego w Zapadliskach, smutniejszy, dzikszy niż kiedy; czasem odwiedza Jerzego i towarzyszy mu w myśliwskich wycieczkach. Pani Lacka odjechała na Ukrainę i widziano ją ostatniemi czasy w Odesie.

Poznał się Dolski z koniuszym, znalazłszy w nim łowca wedle serca swego; poprzyjaźnił się z nim bardzo, uwielbiając ten instynkt myśliwski, którym długie włóczęgi i życie w lasach obdarzyły pana Piotra.

Cóż zresztą? domyślicie się może, a i tak boję się, żeby powieść nie wydała się wam za długą.

Więc...

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO

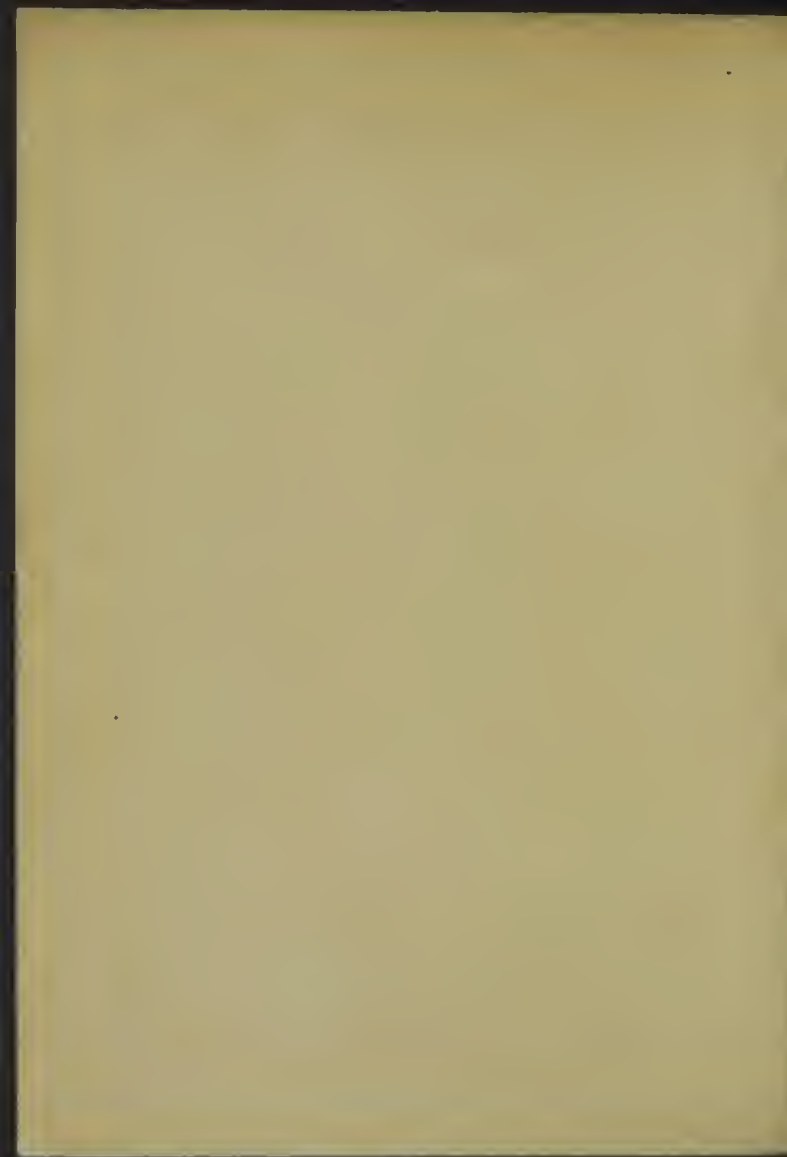
1848—1849.
Gródek-Hubin











100 330/2

15.
—
14

100

Biblioteka Raczyńskich

JIK **1427**



JIK1427